ESEJ KRZYSZTOFA MASŁONIA

Cenzurowanie programów szkolnych, czyli akt wandalizmu kulturowego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 9/567 28 LUTEGO–3 MARCA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Jak walczą ze sobą frakcje w PiS

JOANNA BOJAŃCZYK O FENOMENIE TAYLOR SWIFT

Janusz Korwin-Mikke zawiódł się na prezydencie Argentyny

LIBERAŁ TOTALNY

Tusk na wojnie z Kościołem i polską tradycją

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 09 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Ryszard CZARNECKI

DLA SILNEJ POLSKI W EUROPIE

209 moich raportów i kontrsprawozdań
w Parlamencie Europejskim.
To rekord 🇵🇱!

EKR GRUPA
EUROPEJSCY KONSERWATYŚCI I REFORMATORZY

eprasa.pl 5ec60e9ca7

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sankcje nic nie dają? Wprowadźmy je

Zwykle gdy człowiek napotyka przeszkodę i przekonuje się, że dotychczasowy sposób radzenia sobie z nią nie skutkuje, dochodzi do wniosku, że trzeba go zmienić. Jednak w przypadku współczesnych polityków sprawy mają się całkiem inaczej. Im bardziej dana strategia radzenia sobie z problemem nie działa, z tym większym zaangażowaniem i uporem w nią brną. Nic nie pokazuje lepiej tego zjawiska niż działania Zachodu względem wojny na Ukrainie.

Reagując na agresję rosyjską, Zachód od lutego 2022 r. postanowił po pierwsze wprowadzić i nałożyć na Rosję sankcje, po drugie dozbrajać i finansować walkę Ukraińców. Sankcje miały na celu zdusić rosyjską gospodarkę i uniemożliwić Moskwie prowadzenie wojny; wsparcie militarne i finansowe Ukrainy miało wzmocnić ją na tyle, by zadała państwu Putina śmiertelny cios.

Jakie są efekty sankcji? „Te sankcje nie zmienią nic. Sankcje okazały się nieskuteczne. Do tego wciąż jest opór, by używać zamrożone aktywa rosyjskie, a nawet procenty od nich. To raczej chodzi o uspokojenie własnego sumienia" – zauważył trzeźwo prof. Zdzisław Krasnodębski. Myślę, że niczego nie byłbym w stanie dodać do tej wypowiedzi. Sankcje nie zmienią nic. „Dwa lata po rozpoczęciu wojny w Ukrainie rosyjska gospodarka pozostaje niezachwiana. Działania wojenne podtrzymują gospodarkę, ale Rosja przystąpiła do wojny w dobrej sytuacji ekonomicznej. Moskwa wciąż dysponuje zapasem pieniędzy, który pozwala jej prowadzić wojnę" – to analiza zamieszczona na portalu onet.pl, a nie Sputnik. Konkluzja, którą wyciąga po dwóch latach minister spraw zagranicznych Węgier, jest oczywista: „Dotychczasowe sankcje na Rosję zaszkodziły europejskiej konkurencyjności, jednocześnie poprawiając sytuację innych graczy w światowej gospodarce" – powiedział Péter Szijjártó. Ale i tak się je wprowadzi.

Powód braku skuteczności jest oczywisty: towary z Rosji trafiają na rynek zachodni, tyle że po „ochrzczeniu" ich w państwach pośrednikach. Na przykład rosyjska ropa dociera na Zachód, tak jak docierała, tyle że po uprzednim jej „przetworzeniu" w Chinach, Indiach lub innym państwie. Podobnie produkty z Zachodu trafiają do Rosji w taki sam sposób – po krótkim pobycie i neutralizacji ich „zachodniości" w jednym z państw, z którymi Rosja sąsiaduje. Na samym początku konfliktu pisałem, że pomysł gospodarczego zablokowania danego państwa może być skuteczny jedynie wówczas, gdy ma się kontrolę nad wszystkimi drogami komunikacji, którymi dopływają do niego towary. Może to być możliwe tylko w przypadku wyspy, jak było to np. podczas drugiej wojny światowej wobec Japonii. Wobec Rosji, która zajmuje ogromną część globu, była to od początku strategia nieefektywna.

Chodziło w niej o uniemożliwienie Rosji prowadzenia wojny, a więc ograniczenie zdolności bojowych armii. Nie ma sprzętu, nie ma wojska, nie ma możliwości działania. Proste jak drut, nieprawdaż? Tylko że efekt zdaje się odwrotny do oczekiwanego. Nakładanie stopniowych, nieskutecznych i dziurawych sankcji sprawiło, że Rosja stopniowo przestawiła się na gospodarkę wojenną. W efekcie produkuje więcej lepszych czołgów, lepszych bomb i lepszych samolotów i pocisków, niż to było przed rokiem 2022. A to z kolei pozwala jej coraz skuteczniej niszczyć i zwalczać opór ukraiński, czego ostatnim dowodem było zdobycie twierdzy Awdijiwka.

Drugim pomysłem Zachodu było dofinansowanie Ukrainy i dostarczenie jej broni. Ale jak pokazuje rozwój sytuacji na froncie, także ten projekt przyniósł bardzo ograniczone efekty. To prawda, że front niemal stoi. Ale prawdą jest też to, że opór Ukraińców coraz bardziej słabnie z bardzo prostego powodu: dramatycznego wykrwawienia sił. Przerażające koszty ludzkie polityki zachodniej nie zmieniają jednak niczego. Dlatego czytam, że w Brukseli coraz poważniej myśli się o zaciągnięciu kolejnego, wspólnego długu, który pozwoli finansować upadający Kijów. „Unia Europejska powinna wypracować plan emisji wspólnych obligacji o wartości 100 mld euro na wsparcie przemysłu obronnego Europy" – zaapelowała w weekend premier Estonii Kaja Kallas. A więc tak jak w przypadku sankcji, będziemy gasić ogień benzyną. Więcej pieniędzy nie doprowadzi do rozwiązania podstawowego problemu Ukrainy: braku żołnierzy. Przedłuży konflikt i spowoduje jeszcze większe straty. Tak długo jak Zachód nie jest gotowy do bezpośredniego starcia z Moskwą, a nie jest do tego gotowy, bo mogłoby to oznaczać wybuch trzeciej wojny światowej, przedłużanie wojny jest w stosunku do Ukraińców nieodpowiedzialne. Łudzi się ich obietnicami, których nie można spełnić. Pozwala się im ginąć, nie mając w ręku realistycznego rozwiązania, które mogą przynieść tylko negocjacje i dyplomacja.

Co ciekawe, żaden poważny polityk europejski, z wyjątkiem może przedstawicieli Węgier i obecnie Słowacji, nie jest w stanie wyciągnąć z dotychczasowych błędów wniosków. Jak nie nazywać tego upadkiem rozumu? ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

TEMAT TYGODNIA

14 KRYSTIAN KRATIUK
PO CO TUSKOWI NOWY KULTURKAMPF?
Polityka przykrywkowa

17 LECH MAŻEWSKI
LIBERALIZM TUSKA W POSZUKIWANIU SIŁY

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
IGRZYSKA DLA NIKOGO
Pegasus nie taki straszny

25 KAROL GAC
JAK WALCZĄ ZE SOBĄ FRAKCJE W PIS

28 PIOTR SEMKA
WYBORY NA GRZĄSKIM TERENIE

31 KRZYSZTOF MASŁOŃ
AKT WANDALIZMU KULTUROWEGO

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
NAJSMUTNIEJSZA HISTORIA TOMASZA KOMENDY

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
W SERCU DIUNY
Nowe wielkie widowisko Denisa Villeneuve'a

38 SŁAWOMIR GRALKA
JUBILEUSZ WALDEMARA ŁYSIAKA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 JANUSZ KORWIN-MIKKE
MILOWE KROKI MILEI CZY DREPTANIE
Argentynie się nie uda

49 ŁUKASZ WARZECHA
TWARDA GRA

52 POLEMIKA
STRACONE LATA?

HISTORIA

56 SŁAWOMIR SIWEK
SZKOLNA DROGA KRZYŻOWA
Historia walki z chrześcijańskim symbolem

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
PUTIN BEZALTERNATYWNY
Agonia rosyjskiej opozycji

60 ROZMOWA Z WALDEMAREM TOMASZEWSKIM
WYKOŁOWANI PRZEZ LITWĘ

62 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
DEMOKRACJA TRZECIEGO WIEKU

65 ROZMOWA Z CHLOE COLE
PIEKŁO TRANZYCJI

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
MIESZKANIOWE SZALEŃSTWO
Eldorado na polskim rynku nieruchomości

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
KRÓLOWA JEST TYLKO JEDNA
Beyoncé czy Rihanna mogą jej pozazdrościć

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 5ec60e9ca7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Szydłowski/FORUM, gov.pl**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Czy wybuchnie wojna rosyjsko-polska?", Lech Mażewski, „DRz" nr 5/2024

Artykuł „Czy wybuchnie wojna rosyjsko-polska?" zawiera chyba najbardziej zaskakującą tezę dotyczącą historii Polski, z jaką zetknąłem się w całym swoim życiu. Przy całym szacunku, czy autor artykułu, Pan Lech Mażewski, uważa, że jednym z „dobrodziejstw" drugiej wojny światowej dla Polski było zakończenie naszej obecności na Wschodzie, która dodatkowo miałaby być nieudana?

Już samo stwierdzenie „Polska przegrała drugą wojnę światową, ale nie tak zupełnie" jest dosyć szokujące, ale określanie naszej polityki wschodniej z czasów końca Piastów czy Jagiellonów mianem „nieudanej" zastanawia mnie jeszcze bardziej. Przecież to właśnie bezkrwawa ekspansja Korony Królestwa Polskiego na Wschód umożliwiła narodziny potęgi Rzeczypospolitej Obojga Narodów [...].

Oczywiście odrębną kwestią pozostaje, co zrobiliśmy z naszą potęgą. Tragedia, która spotkała Rzeczpospolitą w XVIII w., w dużej mierze była wynikiem błędów i przewinień naszych przodków, ale nie można nie doceniać wielkich dokonań i mądrych posunięć. Dlatego też, myśląc o wielkim dziele unii lubelskiej, wolności religijnej i osobistej dla przedstawicieli różnych kultur czy o zwycięstwach pod Grunwaldem, Orszą, Kircholmem, Kłuszynem i pod Chocimiem, nie jestem w stanie zgodzić się z postawioną przez autora tezą [...].

Bartłomiej Wójcik, stały czytelnik

Od autora

Moja opinia co do efektów drugiej wojny światowej dla Polski nie jest aż tak zaskakująca, jak zdaje się sądzić autor listu. Zaraz po zakończeniu wojny formułowali taką opinię w kraju prof. Zygmunt Wojciechowski, twórca Instytutu Zachodniego w Poznaniu, czy prof. Eugeniusz Romer na UJ, niedługo potem na emigracji liberalno-lewicowe środowisko „Kultury" z Jerzym Giedroyciem na czele, a w okresie późnego PRL przyłączył się do tego poglądu także Wojciech Wasiutyński, odwołujący się do tradycji narodowodemokratycznej.

Polska nie była w stanie wykorzystać geopolitycznej próżni, która wytworzyła się na Rusi po spustoszeniu jej przez najazdy mongolskie. Nie doprowadziliśmy ani do zawarcia unii z Moskwą, ani utworzenia trialistycznej Rzeczypospolitej, o czym przesądziła ostatecznie ugoda kozacko-rosyjska, zawarta jeszcze raz w Perejasławiu w 1659 r., ani spolonizowania tych terenów. Ludobójstwo dokonane na Wołyniu jest tylko najbardziej jaskrawym – i, da Bóg, końcowym – przykładem tych niepowodzeń. Z kolei Gedymin jest tu przywołany symbolicznie, jako ten, który pozwolił na wytworzenie się mocarstwowej pozycji Moskwy.

Na skutek głównie decyzji Józefa Stalina otrzymaliśmy w 1945 r. państwo przesunięte na tereny środkowej Europy kosztem Niemiec, a ponadto, co równie ważne, bez znaczących mniejszości narodowych. Trzeba być bardzo zacietrzewionym, aby nie uznawać tego za sukces Polski. Inaczej po upadku PRL wyglądalibyśmy niewiele lepiej niż Jugosławia w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku. Teraz jednak próbuje się zmienić skład etniczny Polski, często odwołując się do naszej 600-letniej obecności na Wschodzie. Nie wolno ulegać tego rodzaju argumentacji, acz autor listu nie podnosi tej sprawy.

Lech Mażewski

eprasa.pl 5ec60e9ca7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie dla białych ludzi

Niemiecki dziennik „Die Welt" opowiedział swoim czytelnikom o najnowszej inicjatywie muzeum w dawnej kopalni Zollern w Dortmundzie. Zorganizowano tam warsztat wystawienniczy „To jest kolonialne". Przypominać ma on, że „egzotyczna ilustracja na opakowaniu z kawą, nazwa ulicy poświęcona kolonialnym zdobywcom Niemiec w XIX w. czy pewne uprzedzenia, które pozostały w społeczeństwie wobec przybyszy o innym kolorze skóry, każą stwierdzić, że historia kolonialna jest wciąż obecna w naszej codzienności, nawet w Westfalii".

Jak informuje muzeum, w każdą sobotę w godz. 10–14 placówka zarezerwowana jest na warsztaty wystawiennicze „dla osób czarnych, rdzennych i kolorowych" [użyto angielskiego zwrotu: Black, Indigenous and People of Colour (BIPoC)].

„Jest to szansa dla BIPoC na możliwość otwartej wymiany poglądów (z takimi jak oni) bez bycia obserwowanym, ocenianym i krytykowanym przez białych ludzi. W przypadku BIPoC takie bezpieczne przestrzenie rzadko są dostępne w życiu codziennym lub przestrzeniach wystawienniczych" – czytamy w definicji koncepcji muzealnej bezpieczniejszej przestrzeni.

Autorkę „Die Welt", Annę Schneider, zszokowało użycie określenia „biali ludzie". Zapytała więc muzeum, czy oznacza to, że osobie o białej skórze nie wolno tam wchodzić bądź nie powinna ona odwiedzać warsztatów. Odpowiedź muzeum: „Bezpieczniejsza przestrzeń do eksperymentu i prośba do zwiedzających, aby przez kilka godzin okazali szczególne względy osobom dotkniętym dyskryminacją, których temat kolonializmu dotyka znacznie bardziej niż innych. Z reguły nasi goście reagują ze zrozumieniem. Każdemu, kto mimo tej prośby zechce w tym czasie odwiedzić nasz warsztat, nie będziemy tego uniemożliwiać".

Schneider komentuje te słowa tak: „W prawdziwym świecie nie spotyka się wyłącznie osób podobnych do siebie na podstawie koloru skóry. I do tej pory myślałam, że właśnie o to powinno nam chodzić. O różnorodność, a nie jednolitość – czy to w umysłach, czy w odcieniach skóry. Tymczasem w wypadku muzeum w Dortmundzie biali ludzie mają zostać na zewnątrz".

Muzeum w Dortmundzie, tłumacząc się ze swojego pomysłu, wykonuje akrobacje umysłowe, aby udowodnić, że „określenie »biały« nie odnosi się do faktycznego koloru skory, ale raczej do konstruktu społecznego, który odnosi się do uprzywilejowanej pozycji społecznej".

Ta historia pokazuje, jak współcześni ideolodzy lewicy uznają, że czas przyjąć praktyki przypominające segregację rasową, aby wymierzyć uciśnionym sprawiedliwość, i odchodzą od sloganów o społeczeństwie „ślepym na kolor skóry". Lansuje się pozostawienie ludzi o podobnym kolorze skóry w swoim gronie. Taka sama intencja stała za segregacją rasową, która obowiązywała w południowych stanach USA do przełomu lat 50. i 60. Tam też dzielono sale kinowe na sale dla białych i czarnych, aby biali czuli się bardziej komfortowo. Teraz ten przywilej ma emancypować „czarnych". ©℗

FOT. INTUITIVE MACHINES

HISTORYCZNE LĄDOWANIE SONDY NA KSIĘŻYCU

„Twoje zamówienie zostało dostarczone… na Księżyc!" – tymi słowami NASA poinformowała w serwisie X, że Odyseusz, sonda prywatnej amerykańskiej firmy Intuitive Machines, wylądował w czwartek na Księżycu i transmituje już sygnał na Ziemię. To pierwsze amerykańskie lądowanie na Srebrnym Globie od ponad pół wieku. Sonda prywatnej firmy dostarczyła na Księżyc m.in. sześć ładunków z NASA. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

dwaj panowie g

Wiadomością tygodnia był apel prof. Andrzeja Nowaka, żeby naczelnik ustąpił, gdyż to odetnie paliwo wrogom Polski, a poza tym po przerżniętych wyborach trzeba na poważnie traktować własne słowa o braniu pełnej odpowiedzialności. Rozmawialiśmy ostatnio z kilkoma politykami PiS. I choć oficjalnie stoją przy prezesie niewzruszenie, to prywatnie część z nich skłania się ku tezom Nowaka. A jeden z posłów wręcz nam powiedział, że doły partyjne chciałyby, żeby w wyborach na szefa partii pojawił się jakiś kontrkandydat dla prezesa. Na razie nikt się jednak nie kwapi.

Skądinąd wiemy, że prof. Nowak konsultował swój apel. W dwojaki sposób. Po pierwsze, przedstawił w nim opinię nie tylko frakcji profesorskiej. Po drugie, konsultował też, gdzie umieścić swoją bombę w formie artykułu. Jak wieść niesie, np. pewni bracia prowadzący media nie byli zainteresowani. Tekst trafił zatem na portal dwumiesięcznika „Arcana". Rozumiemy decyzje redakcji, które odmówiły. Wszak wolność to uświadomiona konieczność.

A przecież zwykle słowa prof. Nowaka trafiały tu i ówdzie do tytułów wyglądających tak: „WAŻNE! Tych słów o Polsce NIE MOŻNA PRZEGAPIĆ" czy coś w tym stylu. Ale jak wiadomo, prof. Nowak zajmuje się Rosją, więc pewnie już został przez Naprawdę Wolnych Polaków Naprawdę Broniących Naprawdę Wolnej Polski zakwalifikowany jako putinowska onuca.

Tymczasem szeregowy poseł, były nadpremier oraz aktualny naczelnik nigdzie się nie wybiera. To znaczy odejdzie do Sulejówka, jak wróci z Kalifornii, tyle że nie jedzie do Kalifornii. Ostatnio często rozmawia za to o nowym projekcie medialnym na prawicy, czyli telewizji większej niż Republika. No i wysypał się kilka dni temu niejaki Dariusz Dębski, prezes TV Puls, że grupa prawicowych biznesmenów chciała kupić jego stację, ale on się nie zgodził.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wersje są dwie. Duże misie z PiS mówiły nam, że Dębski w ten sposób negocjuje, znaczy podbija stawkę. My uważamy, że w ten sposób chwali się przed nową władzą, że spuścił PiS na bambus. Żyjemy bowiem od grudnia w kraju tak wolnym i demokratycznym, że każdy przedsiębiorca może w dowolnej chwili oczekiwać wizyty smutnych panów. A po co Dębskiemu smutni panowie siedzący w siedzibie telewizji albo w smartfonie?

Tak czy inaczej, Naczelnik i szeregowy nadpremier spotkał się w sprawie nowej telewizji z Mateuszem Matyszkowiczem. Wiemy też, że gadał z Michałem Adamczykiem. Ale ponieważ nie mamy Pegasusa, to nie wiemy, czy w tej samej sprawie.

Żeby było jeszcze ciekawej, po długim okresie niełaski przez Naczelnika przyjęty został Jacek Kura Kurski. Atmosfera była jednak chłodna. Nas ofensywa Kury nie dziwi, gdyż są ku temu aż dwa, jak widzicie, powody. Nowa telewizja oraz miejsce na listach do europarlamentu. Dziwnym trafem wizyta Kury zbiegła się z pojawieniem w PiS raportu-donosu o tym, jak to bez Kury TVP przegrała PiS-owi wybory. W raporcie dostało się nie tylko Matyszkowiczowi, lecz także Joannie Lichockiej, którą prezes szykuje na Brukselę. Nawet wiemy w którym okręgu, ale nie powiemy.

W Krakowie gorąco. Na prezydenta miasta kandydować będą Aleksander Misztalski z PeŁo oraz były Palikociarz Łukasz Gibała z własnego komitetu. Do startu przymierza się też człowiek z kręgu obecnego prezydenta Jacka Majchrowskiego oraz pewien profesor z Akademii Ekonomicznej. PiS ma wystawić byłego wojewodę Łukasza Kmitę. Ponieważ jednak polityczni oponenci nie traktują go jako poważne zagrożenie, zaczęli się sami zagryzać wzajemnie i podrzucać liderom opinii kompromaty.

Misztalskiego ma obciążać fakt, że brał ciężkie miliony od PiS. A konkretnie chodzi o tzw. pomoc covidową na jego biznes hotelarski. Wprawdzie obecnie w papierach Misztalski już nie figuruje jako właściciel, ale mniejsza z tym. Profesora Akademii mają obciążać domniemane romanse ze studentkami. Nas to nie rusza, znamy licznych profesorów baraszkujących ze studentkami, a nawet kilku takich, którzy się z nimi pożenili. Z kolei człowieka Majchrowskiego ma obciążać to, że leczył się psychiatrycznie. E tam, to ma być szok? W Krakowie? Będziemy wdzięczni za jakieś bardziej pikantne kompromaty.

Tymczasem czas zmienić nazwę Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Ministerstwo Prawdy. W ubiegłym tygodniu rozesłało dwujęzyczną instrukcję dla ambasadorów „LTT dot. zmian w mediach publicznych". Czyste złoto, w pięciu punktach. TVP PiS siała nienawiść, zabijała ludzi i prała mózgi, Kamiński i Wąsik nie są posłami itp. Ale znaleźliśmy w tym dokumencie kilka słów prawdy: „Nie jest możliwe pojednanie narodowe". No teraz to już w sumie nie. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Sok z Moralesa

Zupełnie nieoczekiwanie – bo przecież od czterech miesięcy żyją w euforii – przyszły złe czasy na PO-wskich hejterów. Najpierw Szymon Jadczak, dziennikarz wp.pl, potwierdził domniemanie krążące od dawna w sieci, że bardzo aktywny hejter, występujący w mediach społecznościowych jako Pablo Morales, to Bartosz Kopania, były pracownik psychologii UW, „ekspert" Platformy Obywatelskiej (jego żonę właśnie nominowała obecna władza do kolegium NIK, czego trudno nie powiązać z przysługami oddanymi partii przez męża). Co więcej, Morales za skrajnie wulgarne i plugawe wpisy, w których znieważał nie tylko prawicę, lecz także – w czasach wymuszania „jednej listy" – Hołownię, dostał od PO ponad 300 tys. zł. I na dodatek PO zaprzeczała, usiłowała odnośne faktury ukryć, twierdziła, że zostały zniszczone i znalazła je dopiero, gdy Wirtualna Polska zagroziła pójściem do sądu.

Następnego dnia warszawski sąd orzekł, że Mariusz Kozak-Zagozda, twórca i administrator obrzydliwego profilu „Sok z buraka", wbrew temu, co sam uporczywie twierdzi, jest w istocie autorem zamieszczanych na tym profilu pomówień i jako taki ma przeprosić za zniewagi Samuela Pereirę i zapłacić mu odszkodowanie. Otwiera to drogę do roszczeń ze strony licznych osób, które Zagozda lżył i pomawiał w poczuciu całkowitej bezkarności, dufny, że korzystanie z zagranicznych serwerów i rżnięcie głupa, że on to nie on, współpracownik PO i warszawskiego ratusza oraz Romana Giertycha, skutecznie chronią go przed odpowiedzialnością.

Oczywiście PO wypiera się teraz, że nie wiedziała, kto kryje się pod internetowymi pseudonimami. To słabe, bo siłą Moralesa i „Buraka" było wszak to, że profile ich obserwowali i każde zamieszczone tam plugastwo natychmiast podawali „swoim" politycy PO i jej liderzy opinii, z samym Tuskiem na czele. Nie przypadkiem: wspomnianych dwóch było częścią machiny nienawiści i pogardy, którą zbudowano wokół PO, dwoma drobnymi jej trybikami. Dobrze, że zostali zdemaskowani, ale to przysłowiowy wierzchołek góry lodowej… czy raczej „hejtowej". ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Ciemność w południe

W trakcie wzburzenia/wzmożenia po akcji posła Brauna przeciw światełkom chanukowym pewna niezwykle e-aktywna żydoznawczyni autorytatywnie zdefiniowała charakter współczesnej religii żydowskiej: „Świątynię zastąpili synagogami, kapłanów rabinami. Podzielili się na sekty i wprowadzili do wiary elementy pogańskie". Te ostatnie to m.in. Chanuka, którą wspomniana żydoznawczyni określa jako „gusła".

Nie znam pozytywnych poglądów religijnych tej pani, ale jakoś trudno mi pojąć, że chodzi do kościoła. Chyba że lektura Ewangelii i Dziejów Apostolskich wywołuje w niej takie antyprotestanckie tremendum, że sobie uszy zatyka. W przeciwnym wypadku wiedziałaby, że synagogi nie „zastąpiły Świątyni", ale istniały w czasach Chrystusowych, i że Pan Jezus w nich nauczał, bo i co sobotę do synagogi chodził (por. Łk 4, 16), do Jerozolimy pielgrzymując na wielkie święta. Owo wypełnianie ludzkich (i żydowskich) obowiązków religijnych było objawieniem Jego Boskiego Człowieczeństwa, jak je pięknie określiła św. Edyta Stein.

Sprawa zburzenia Świątyni może być dla naszej żydoznawczyni trudniejsza, bo w Ewangelii jest tylko zapowiedziana, a domorosłe żydoznawstwo lektury Józefa Flawiusza się nie domaga. Być może stąd teza, że Żydzi świątynię „zastąpili" (skąd już blisko do przypuszczenia, że sami ją zburzyli).

Natomiast znowu prostszą sprawą powinien być rabinat, bo z rabinami („uczonymi w Piśmie") Zbawiciel stale rozmawiał i polemizował. Większość była przeciwna Chrystusowi, ale niektórzy, jak Nikodem i Józef z Arymatei, zostali świętymi katolickimi. Jeszcze inni, jak Gamaliel, przeciwstawiali się represjom antychrześcijańskim. Obawiam się jednak, że dla naszej żydoznawczyni wszystko to stanowi jedynie zaciemnianie problemu, najdosłowniej; bo przecież od czytania naprawdę oczy bolą, tak jak od myślenia – głowa. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Włoska hańba domowa

We Włoszech, jak w całej Europie, w związku ze śmiercią Aleksieja Nawalnego odbyły się demonstracje przeciwko reżimowi Putina. I jak nigdzie w Europie przepoczwarzyły się w haniebną polityczną awanturę.

Z doniesień i komentarzy włoskich mediów i polityków trudno się zorientować, że w Rzymie pod Kapitolem i w Mediolanie w parku Politkowskiej, innej ofiary Putina, odbyły się uroczystości w hołdzie pamięci Nawalnego i przeciw brutalnemu reżimowi na Kremlu. Wiec w Rzymie na prośbę organizatorów odbył się bez symboli i flag partyjnych. Ale włoskie siły postępu uznały, że należy go wykorzystać na potrzeby bieżącej walki politycznej.

Przybyła też delegacja Ligi, która ma na sumieniu wiele prorosyjskich gestów (jej lider, obecny wicepremier Matteo Salvini, paradował w Moskwie w koszulce z podobizną Putina). Rozległy się gwizdy i rozpoczęły się kontestacje. Niechby i były najsłuszniejsze, ale tym samym postępowcy postawili wyżej swoje polityczne cele nad sensem, powagą i celem demonstracji, nad Nawalnym. Wydawałoby się, że nawrócenie grzesznika Salviniego powinno cieszyć, a nie prowokować protesty. Włoskie media, zamiast spuścić na tę hańbę zasłonę wstydu, uznały, że kontestacja Ligi pod Kapitolem była najważniejszym wydarzeniem wieczoru.

Z kolei w Mediolanie organizatorzy kameralnej imprezy w parku Politkowskiej, ze złożeniem kwiatów pod portretem Nawalnego, uprzedzili o tym policję. Więc policja pojawiła się w parku. Gdy policjanci zobaczyli zmierzającą na miejsce sporą grupę ludzi, postanowili ich wylegitymować, żeby wiedzieć, z kim mają do czynienia. Trzeba pamiętać, że Rosja nadal ma w Italii swoich zwolenników.

Z tego powodu oburzeni włoscy lewicowcy ogłosili wszem wobec, że policja pod rządami prawicy, jak za czasów Mussoliniego, legitymuje demokratów i przygotowuje listy proskrypcyjne. Ta piramidalna bzdura była przedmiotem zażartych dyskusji w prasie, radiu i programach publicystycznych włoskich telewizji. Nawalny zniknął. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/DOTYK/EAST NEWS

POLITYCZNE ZWIERZĘ

Z okazji 40. urodzin były zawodnik NBA Marcin Gortat udzielił obszernego wywiadu o wszystkim. Jak to w typowym wywiadzie dla mainstreamowych mediów, nie mogło zabraknąć pytań o politykę – bo co to za gwiazda, która nie „je..e PiS"? A że koszykarz nieraz dał w ostatnich tygodniach dowody swojej niechęci do poprzedniej władzy, to Onet nie mógł przepuścić takiej okazji i nie zapytać o PiS. „Moim zdaniem ludzie rozpoznawalni, jakimi są m.in. sportowcy, nie powinni się wstydzić lub obawiać wypowiedzi na tematy polityczne tylko dlatego, że są popularni. Niech o pewnych zjawiskach mówią zgodnie ze swoimi poglądami" – mówi Gortat. „Żyjemy w wolnym kraju, a ja miałem już dość tego zakłamania z ostatnich lat rządów PiS. Kompromitacja goniła kompromitację, ale próbowano to przykrywać propagandą, której, jak się teraz dowiadujemy, towarzyszyło nagradzanie swoich ludzi z telewizji potężnymi, milionowymi umowami" – stwierdził koszykarz. Następnie Gortat opowiedział historię, jak to został „oszukany" przez TVP, ale była ona niezbyt ciekawa. Interesująca jest za to jego odpowiedź na pytanie, czy rozważa karierę polityczną. „Ja w parlamencie? Nigdy! Szybciej bym się zdecydował na... nawet nie wiem na co. Absolutnie mnie to nie interesuje. W żadnym wypadku! Nie ukrywam, że polityka mnie ciekawi, ale nie od strony procedur, a od strony postaw, jakie przyjmuje się w odpowiedzi na jakieś sytuacje" – zapewnia sportowiec. Czyli co, #Gortat2030?

POCAŁUNEK ŚMIERCI

Janusz Palikot aka Janusz biznesu prężnie promuje swoją książkę, w której zdradza sekrety świata show-biznesu. Napiszmy to wprost – uprawia towarzyski magiel, choć próbuje nadać mu otoczkę politologicznej analizy. Jeden z fragmentów „dzieła" został opublikowany w mediach. Zapewne przypadkiem, akurat ten, w którym Palikot pisze o Szymonie Hołowni. „To był zawsze człowiek z taką smykałką, z parciem do przodu i talentem do pewnego żartu, co mi się podobało. Jest w nim też niestety rodzaj klasztornej pyszałkowatości, co mnie wówczas dystansowało. Teraz, gdy został marszałkiem, jest to na szczęście niewidoczne. Może na ten moment, kiedy pełni naprawdę poważną funkcję, dorósł i umocnił w sobie wszystko, co najlepsze" – wskazuje „geniusz biznesu", opisując współpracę z Hołownią w tygodniku „Ozon". Dalej recenzuje Hołownię marszałka. „[...] Te pierwsze tygodnie pełnienia funkcji przez Szymona Hołownię pokazują, że być może jest w takim niesamowitym momencie, w którym też kiedyś znalazł się Tusk, gdy nagle z polityką trochę lżejszego kalibru stał się gwiazdą, jeszcze nie polityki europejskiej, ale krajowej. Jestem wprawdzie sceptyczny, bo dopiero po klęsce można być politykiem w sensie ścisłym, ale nie wykluczam sukcesu" – wskazuje Palikot. Jego zdaniem, jeżeli ego marszałka „nie nadmie się zbytnio od tego marszałkowania, jak nie zwycięży w nim ta pycha showmana, tylko zachowa cały czas pewną skromność, bo to jest kluczowe, to kto wie?". „To stanowisko właśnie pokazuje, że ma szansę" – podsumowuje były polityk. Dostać taką rekomendację od człowieka skompromitowanego na właściwie każdym polu? Polityczny pocałunek śmierci.

TRADYCYJNA INBA EUROWIZYJNA

Szanowni, zbliża się ten czas. Nie, nie wiosna, choć wielu na nią czeka. Zbliża się Eurowizja, a wraz z nią coroczna inba. W tym roku standardowo zaczynamy od oburzenia wyborem polskiego reprezentanta na konkurs. Do Szwecji poleci 25-letnia wokalistka Luna. Jej konkurentka w preselekcjach, Justyna Steczkowska, otrzymała w głosowaniu jury zaledwie jeden głos mniej. Internauci nie kryją oburzenia, ponieważ zdecydowana większość chciała, by na Eurowizję pojechała właśnie Jusia. „Dziewczyna szamana" wydała oświadczenie. „Kochani Moi z całego serca dziękuję Wam za wsparcie i to, że tak wielu z Was pokochało piosenkę »Witch-er Tarohoro«. To dla mnie największe zwycięstwo" – zaczęła, szybko przechodząc do autopromocji. „Już dziś zapraszam Was na jedyny koncert w Warszawie (COS – Torwar), który nosi tytuł »WITCH-ER«, na którym już jesienią będziecie mogli zobaczyć (mam nadzieję) wspaniałe show mojej nowej płyty, nad którą pracuję [...]. Przede mną dużo pracy, więc proszę Was o wsparcie, żebym mogła na nowo rozwinąć skrzydła, żeby móc cieszyć Was i siebie samą – dobrą muzyką" – napisała wokalistka. Steczkowska poświęciła też kilka zdań swojej rywalce. „PS Nie hejtujcie Luny, proszę" – apeluje. „Nie jest łatwo nieść na sobie taką odpowiedzialność, a jeżeli już dziś będziecie podcinać jej skrzydła, to trudno będzie się wznieść ponad tak ciężką energię i dać dobre eurowizyjne show. Trzymajcie za nią kciuki, tak jak i ja trzymam. Powodzenia dla całej ekipy" – podkreśliła Jusia. Na X przeczytałam zabawny i celny komentarz do całej sytuacji: może i Polska nie będzie miała CPK i atomu, ale za to chociaż nie będzie musiała za rok organizować Eurowizji. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ale przypał xD. Jak wiecie, Ministerstwo Edukacji planuje szeroko zakrojone zmiany związane z listą lektur i mieczem racjonalności chce obciąć brunatne podgolone łby polskiego sarmatyzmu, nacjonalizmu i szowinizmu. Natomiast dowiedzieliśmy się, iż na listę lektur uzupełniających, czyli takich, których jeszcze bardziej nie trzeba czytać, ma trafić książka pt. „Problem trzech ciał".

Pomyśleliśmy wzruszeni, iż to niezwykle odważne. Że sam tytuł wskazuje, iż do polskiej szkoły, tej samej wąsatej polskiej szkoły, w której się uczy tych bogoojczyźnianych patriotyzmów, nareszcie wchodzą postęp i nowoczesne powieści o związkach poliamorycznych. No bo sami pomyślcie: skoro książka ma taki tytuł, w którym istnieje wyraźne odwołanie do cielesności, to o czym w obecnych realiach ona może być? No na bank o braku akceptacji i zrozumienia dla poliamorycznych kohabitacji w różnych konfiguracjach. Przecież to brzmi wspaniale (ang. OSOM).

Postanowiliśmy się więc w tę książkę zaopatrzyć i… jesteśmy w szoku. Wyobraźcie sobie, iż nie ma w niej niczego o poliamorii czy rewolucji seksualnej, a jest całkiem sporo o rewolucji kulturalnej w Chinach, fizyce, planetach, gwiazdach i różnych innych pierdołach, które zazwyczaj czytają spocone kuce z polibudy.

Nie wiemy tylko, czy postępowy resort edukacji popełnił ten sam błąd co my i zasugerował się tylko tytułem czy ktoś tam jednak czytał tę książkę i chce ją wprowadzić do szkół celowo. Wygląda nam to trochę na sabotaż, no ale jednak chyba możemy zaufać ministrze i jej współpracownikom, iż wiedzą, co robią.

Podobno Polacy są mocno podzieleni, jeśli chodzi o handel w niedziele. Dziwi nas to, ponieważ ani my, ani nasi znajomi nie popieramy obowiązującego zakazu i chcielibyśmy normalnie, jak ludzie na Zachodzie, pójść se w niedziele do sklepu, poprzymierzać ciuchy, zrobić zakupy żywieniowe itd. Dlatego też uważamy, iż możliwość zrobienia zakupów w niedzielę to prawo człowieka, of kors, a także zwykłe udogodnienie, które pozwoliłoby nam przetrwać.

Nie raz i nie dwa zdarzało się bowiem, iż w tygodniu nie było czasu na zakupy, iż praca, siłownia, wyjście na piwerko, a potem przychodziła niedziela, sklepy zamknięte, a my przymieraliśmy głodem. I wielu naszych znajomych miało podobnie.

Handel w niedzielę, kochani, jest więc potrzebny, aby podtrzymywać funkcje życiowe młodych osób z wielkich ośrodków, iż my po prostu nie mamy czasu w tygodniu!

No i tak szczerze mówiąc, jak słyszymy, iż Polacy są podzieleni, to znów widzimy, iż to wina PiS i Kaczyńskiego, który doprowadził do takich głębokich rozdziałów i rozłamów. I jak słyszymy takie opowieści, to jesteśmy za tym, iżby handel był dopuszczalny wyłącznie w niedziele. Żeby jeszcze bardziej wkurzyć pisowców, katoli i wszystkich, którzy nam odmawiają prawa do normalnego życia!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Niezastąpiony

No i jak, Jarku? Będziesz znowu kandydował na prezesa?
A co cię to tak, Mariusz, interesuje?

A nie, ja tylko tak. Ja bym oczywiście głosował na ciebie!
A ty się przypadkiem na moje miejsce nie szykujesz?

Ależ skąd! Przecież ty jesteś niezastąpiony!
To chyba na koniec będziecie mnie musieli jak Lenina – zakonserwować i mianować wiecznym prezesem, jak Kim Ir Sen w Korei Północnej jest wiecznym prezydentem.

A jak to się robi? Tę konserwację, znaczy? Czy mam poszukać namiaru na jakąś firmę? Tylko żeby porządnie zrobili...
Ty serio mówisz teraz?

No... Tak, ty przecież też chyba?
Ech... Weź no tam kotu nasyp. To ci dobrze idzie. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przynajmniej politycznie gramy teraz w Lidze Europy".

TOMASZ LIS, *publicysta, na portalu X*

eprasa.pl 5ec60e9ca7

E30 Terespol

FOT. DANUTA PATYNSKA / FORUM

ROLNICY WŚCIEKLI NA DECYZJĘ RZĄDU

– Dla zapewnienia 100 proc. gwarancji, że pomoc wojskowa – sprzęt, amunicja, pomoc humanitarna, medyczna będą docierały bez żadnych opóźnień na stronę ukraińską, będziemy wprowadzali na listę infrastruktury krytycznej przejścia graniczne z Ukrainą i wskazane odcinki dróg i torów kolejowych. To jest kwestia najbliższych godzin – zapowiedział na czwartkowej konferencji prasowej premier Donald Tusk.

„Nie ma na to naszej zgody!" – ogłosili w serwisie X rolnicy z Oszukanej Wsi. „Panie @donaldtusk ludzie nie odpuszczą, za daleko to zaszło, zbyt długo żyjemy w niepewności jutra, zbyt długo oglądaliśmy się na wszystkich naokoło, słuchaliśmy waszych argumentów, dość tego, odzyskamy nasz kraj" – napisał z kolei Rafał Mekler, jeden z czołowych organizatorów protestów, a jednocześnie szef podkarpackich struktur Konfederacji i działacz Ruchu Narodowego.

W ubiegły wtorek rolnicy zablokowali drogi w wielu miejscach kraju, protestując przeciwko unijnej polityce Zielonego Ładu, a także żądając od rządu w Warszawie przywrócenia szczelności granic i dokładnego sprawdzania towarów, które wpływają na polski rynek. W niektórych miejscach rolnicy blokowali przejazd karetek na sygnale, problemy z dotarciem na miejsca wypadków zgłaszali również strażacy. We wtorek 27 lutego rolnicy wybierają się na protest do Warszawy. ©℗

Po co Tuskowi nowy kulturkampf?

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Krystian Kratiuk

W miarę, jak wyborcy rządzącej koalicji otrzymują kolejne informacje, których to obietnic wyborczych ekipa Tuska wcale nie zamierza spełniać, zaostrza się wojna światopoglądowa. Bo przecież od tysiącleci wiadomo, że jeśli tłum nie może otrzymać chleba, to trzeba dać mu igrzyska

W owej mądrości starożytnych Rzymian przeniesionej do współczesności metaforycznym chlebem są oczywiście deklaracje wyborcze, choćby te z listy „stu konkretów na pierwsze sto dni rządu". Minęła ponad połowa zapowiadanego terminu, a najbardziej „chlebodawcze" zapowiedzi nie zostały wprowadzone i niewiele wskazuje na to, by stało się to w najbliższej przyszłości. Dopłaty do wynajmu dla młodych i kredyty 0 proc. nie ruszyły, emerytura do 5 tys. zł bez podatku nie została wprowadzona, nie powstało ministerstwo przemysłu z siedzibą na Śląsku, zakaz handlu w niedzielę wciąż obowiązuje, wciąż nie wszedł w życie „urlop dla przedsiębiorców", w służbie zdrowia nie zmieniło się nic oprócz gróźb pani minister, nie podniesiono kwoty świadczenia z Funduszu Alimentacyjnego, nie ma zerowego VAT na transport publiczny, nie zaczęła się promocja polskich produktów spożywczych, nie obniżono kosztów prowadzenia gospodarstw itp. Choć – gwoli uczciwości – część ze stu zapowiedzi rząd Tuska zdążył już zrealizować, to wiele wskazuje na to, że będzie to rząd taki jak poprzednie gabinety PO – nie do końca poważnie traktujący własne zobowiązania. Wielu wyborców koalicji wzburzyły również idea zakończenia prac nad Centralnym Portem Komunikacyjnym, niejasna postawa wobec polskiej energii atomowej oraz ogłoszenie braku funduszy na laptopy dla uczniów – nie tego spodziewano się bowiem po przedstawicielach „nowoczesnej" strony sporu politycznego.

Właśnie z powodu tej konfuzji ludowi należało zorganizować igrzyska – a te są dla rządzących dziś Polską niezwykle proste do urządzenia. Wszak do owych igrzysk zaliczają się zarówno wszelkie metody rozliczania znienawidzonych poprzedników (włącznie z ekspresowym wsadzeniem do więzienia dwóch posłów), jak i walka z Kościołem oraz katolikami – postrzeganych przez wściekły, żądny rozliczeń tłum niczym niejako dostępni w pakiecie z „pisowcami". I trudno się Tuskowi dziwić – negatywne emocje wobec Kościoła są wśród zwolenników jego rządu cechą nie tylko immanentną, lecz także (lub przede wszystkim) integrującą.

To główny powód, dlaczego Tusk zdecydował się dziś na rozpoczęcie nowej wojny religijnej – wpuszczając do debaty publicznej tematy zamrożone za czasów rządu PiS, a więc tabletki „dzień po", finansowanie in vitro, związki partnerskie, ordynarną edukację seksualną, ograniczenie lekcji religii oraz wprowadzane z hukiem zmiany w strukturze finansowania instytucji katolickich z budżetu państwa, którego to katolicy stanowią przecież wciąż większość obywateli.

CYNICZNA PRZYKRYWKA

Kwestia aborcji za poprzedniej władzy oczywiście zamrożona nie była (o polskich sporach na ten temat rozpisywała się prasa na całym świecie), ale i ów temat – najważniejszy dla tabunów rozhisteryzowanych pań pragnących wyrywać szczypcami dzieci z własnych łon – musiał powrócić z oczywistych względów. To m.in. głośność i agresja środowisk toczących walkę o „prawa kobiet" wyniosła do władzy pełniący ją obecnie obóz. W tej sprawie jednak Tusk postępuje całkowicie cynicznie. Wie bowiem doskonale, że aborcja na życzenie w obecnym układzie politycznym nie przejdzie. I nie chodzi tu wyłącznie o ewentualne prezydenckie weto, lecz także o sprzeciw wśród koalicjantów z Trzeciej Drogi. Posłowie PSL w większości nie chcą popierać zabijania nienarodzonych dzieci, a politycy Polski 2050 niczym Poncjusz Piłat zamierzają umyć ręce i oddać decyzję w tej sprawie tłumowi – co w dzisiejszych czasach nosi dumną nazwę „rozpisania referendum". Plan premiera jest aż nadto widoczny do rozczytania – nie dość, że sam zagłosuje „za", podpisując się obiema rękami pod „walką kobiet", to winę za fiasko projektu zrzuci na koalicjanta, skłócając z nim drugiego, bardziej postępowego członka układu rządowego, a więc Lewicę. A gdzie dwóch koalicjantów będzie się bić, tam Tusk skorzysta.

Antykatolickie igrzyska mają jednak przykrywać opinii publicznej nie tylko niespełnione obietnice czy kompromitujące pomysły, takie jak wspomniana likwidacja CPK. Jeśli przyjrzeć się bowiem tematom, o których z lubością milczą największe media, a które to tematy do tej pory w jakikolwiek sposób łączyły Polaków, dostrzeżemy niezwykle ważną dla europejskich przyjaciół Tuska kwestię przymusowej relokacji migrantów. Łączyła ona Polaków w tym sensie, że według sondaży sprzed wyborów unijny plan w tej sprawie popierało zaledwie 17 proc. badanych. Ponad 60 proc. opowiedziało się przeciwko rozwiązaniu polegającemu na przywożeniu do Polski i przymusowym osiedlaniu tu przybyszów z Afryki i Bliskiego Wschodu, którzy nielegalnie wdarli się do Grecji, Włoch czy Hiszpanii z nadzieją na korzystanie z socjalu tych państw lub marząc o osiedleniu się w jeszcze hojniejszych Niemczech.

W ostatnich tygodniach w Parlamencie Europejskim zapadły w tej sprawie decyzje – w odpowiednich komisjach posłowie związani z obozem rządzącym Polską głosowali sprzecznie z wolą Polaków. Tak więc w czasie, gdy naszych rodaków ekscytują wrzutki Tuska, jego koledzy w ciszy brukselskich gabinetów decydują o tym, jak lada dzień będą wyglądać nasze ulice. I to właśnie w tej sprawie – rosnącej liczby przestępstw – wkrótce rzeczywiście dokonamy upragnionego przez liberałów i lewicowców dogonienia Zachodu.

DUCH RUCHU PALIKOTA W EDUKACJI

Najciekawszą jednak odsłoną nowej wojny światopoglądowej w Polsce pozostają kwestie edukacyjno-kulturowe. Nowa władza wie bowiem doskonale, że takie będą Rzeczypospolite, jakie młodzieży chowanie. Stąd agresywna polityka minister edukacji Barbary Nowackiej, która zaczynała karierę polityczną w okolicach Ruchu Palikota, a dziś odpowiada za wychowanie polskich dzieci. Wspominałem już na tych łamach o niezwykle symbolicznej zmianie

eprasa.pl 5ec60e9ca7

w instytucjach podległych Nowackiej – jednego dnia małopolskie kuratorium oświaty zdjęło z fasady portret Jana Pawła II, a drugiego dnia minister zaprosiła do siebie Anję Rubik jako eksperta od edukacji seksualnej. Ta swoista podmianka autorytetów doskonale obrazuje ideę, która przyświeca rządowi Tuska w edukacji.

W sposób jeszcze bardziej jaskrawy widać to w pomysłach na zmianę programu nauczania w polskich szkołach. W ramach „odciążenia" uczniów resort Barbary Nowackiej zaproponował odejście od przedstawiania uczniom kluczowych elementów dziejów Polski – i tak z kursu podstawowego zniknąć ma powstanie wielkopolskie, a nawet w programie rozszerzonym nie będzie wymagana znajomość np. wybitnych wojskowych Rzeczypospolitej szlacheckiej. Ale, co najważniejsze z punktu widzenia wojny światopoglądowej czy religijnej, z podstawy programowej wypaść mają liczne informacje o historycznej roli chrześcijaństwa, o ks. Piotrze Skardze czy św. Maksymilianie Marii Kolbem.

Według pomysłów ministerstwa z zakresu wymaganej wiedzy o czasach starożytnych zniknie wymóg opisania „kulturotwórczej nowości" chrześcijaństwa – sprawy zupełnie podstawowej dla zrozumienia dziejowej roli naszej religii. Z kolei podczas nauki o wczesnym średniowieczu uczniowie nie będą musieli już poznawać znaczenia pojęcia Christianitas, a i wiedza o reformie gregoriańskiej – kluczowej przecież dla historii powszechnej – konieczna będzie jedynie dla realizujących kurs rozszerzony. W liceach nie będzie informacji o współdziałaniu pierwszych polskich władców z Kościołem dla utrwalenia suwerenności kraju, a nawet na rozszerzeniu nie znajdzie się miejsce na opis… sporu króla Bolesława Śmiałego ze św. Stanisławem.

Choć doskonale wiemy, że polscy nauczyciele poradzą sobie – nie po raz pierwszy zresztą – z takimi redukującymi ruchami ministerstwa, to same owe propozycje doskonale obrazują, kto został przez rządzącą ekipę wskazany jako wróg do stopniowego „cancelowania".

KULTURKAMPF PRAWNUKA SIENKIEWICZA

O ile zmiany w edukacji są elementem, do którego powinniśmy się już niestety przyzwyczaić (wszak każda nowa ekipa ma własny pomysł na nową listę lektur), o tyle niezwykle ciekawe pozostają działania ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza w kontekście organizacji pozarządowych i mediów. Głośna stała się już sprawa „listy Sienkiewicza", na której wyszczególniono podmioty podejrzane – oprócz mediów opozycyjnych wobec nowego reżimu (w tym „Do Rzeczy") także organizacje katolickie.

Ktoś mógłby się żachnąć, że przecież ową listę z pewnością stworzono w taki sposób, by sprawdzić (w ramach kolejnych antypisowskich rozliczeń), które przelewy ze środków ministerialnych można uznać za jakkolwiek „podejrzane" i przywalić tym w poprzednią ekipę rządzącą. Ale na liście tej znalazły się np. Caritas czy Ruch Światło-Życie, a także chociażby Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi. A ta ostatnia organizacja nigdy nie korzystała z żadnych dotacji rządowych – oznacza to zatem, że listę stworzono nie po przejrzeniu jakichkolwiek przelewów, ale po prostu jako listę instytucji z definicji wrogich nowej władzy. Miażdżąca większość z owych podmiotów to właśnie organizacje o profilu katolickim.

Lista krąży między instytucjami podległymi ministerstwom i ma m.in. na celu wysłanie przez państwo Tuska sygnału do tych, którzy chcieliby korzystać z państwowych dotacji: Chcecie funduszy na działalność? Trzymajcie się z dala od katolików.

To porażający wymiar swoistego nowego kulturkampfu ekipy rządzącej – co ciekawe, prowadzony rękami Bartłomieja Sienkiewicza, którego wielki pradziadek pisał swe najdonioślejsze dzieła (krzepiące serca polskich katolików) zaledwie kilka lat po tym, jak pierwszy kulturkampf zaordynował kanclerz Bismarck.

ANTYCHRZEŚCIJAŃSKA REWOLUCJA TRWA

Zakończenie wywodu na wymienieniu wszystkich tych prozaicznych przyczyn walki z katolikami byłoby spłyceniem niezwykle poważnego tematu. Sprawa jest bowiem nieporównywalnie szersza. Wszak niedawna zmiana władzy w Polsce jest naturalną konsekwencją antychrześcijańskiej rewolucji, która przechodzi przez cały świat zachodni.

Proszę tylko przypomnieć sobie radykalne wzburzenie globalnej opinii publicznej, gdy Polakom udało się zakazać aborcji. Była to swoista iskra, która podpaliła do działania m.in. pro-liferów w Stanach Zjednoczonych. I to na tyle skutecznie, że niespełna dwa lata po wyroku polskiego Trybunału Konstytucyjnego Sąd Najwyższy USA zmienił dotychczasowe prawo, w konsekwencji pozostawiając decyzję o dopuszczalności aborcji poszczególnym stanom – spośród których część od razu podjęła kroki utrudniające mordowanie dzieci. Podczas gdy każdego roku na świecie zabijane są dziesiątki milionów, w Polsce wciąż jest to nielegalne.

Polska nadal istnieje pośrodku Unii Europejskiej, w której już w 16 państwach osoby tej samej płci mogą zawrzeć związek nazywany w prawie „małżeństwem" (w lutym do tego grona dołączyła Grecja). A u nas – mimo dziesiątek listów ambasadorów, setek filmów i seriali LGBT-friendly oraz miliardów dolarów wydanych na przeróżne tęczowe kampanie – nie udało się do tej pory przeforsować nawet „związków partnerskich". W Polsce nie ma prawa do eutanazji. Polscy rodzice nadal w większości nie chcą, by ich dzieci uczyły się masturbacji i wybierały sobie płeć na szkolnych zajęciach z drag queen. Polacy wciąż – mimo zmasowanej akcji propagandowej – chodzą do kościołów (w porównaniu z krajami zachodniej Europy wręcz tłumnie). Polscy kapłani nadal nie chcą błogosławić par homoseksualnych, a polscy biskupi pozostają w awangardzie sprzeciwu wobec zmian w nauczaniu Kościoła i od czasu do czasu mniej lub bardziej odważnie idą na udry z nowoczesnym światem promującym wszystko, co obrzydliwe, wulgarne i antychrześcijańskie. Co 11. kapłan katolicki na świecie jest Polakiem.

Taki kraj nie mógł nie trafić na celownik wszystkich tych, którzy marzą o budowie nowego, wspaniałego świata. Byliśmy na tym celowniku już dawno – i będziemy na nim nadal, bez względu na to, czy Donald Tusk jest tego świadom i celowo bierze udział w antykatolickim spisku czy też pozostaje jednym z setek użytecznych idiotów, sądzących może nawet, że tylko zmienia świat na lepsze.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Liberalizm Tuska w poszukiwaniu siły

Lech Mażewski

Jaki związek z realizowaną przez Donalda Tuska polityką ma liberalizm, do którego od połowy lat 80. zeszłego wieku się odwołuje? Gdzie szukał źródła siły dla urzeczywistnienia swoich liberalnych poglądów? Czy od 13 grudnia 2023 r. zachowywał się jak zawodowy polityk, jak zwykł ostatnio o sobie mawiać?

W 1983 r. rozpoczęto wydawanie w Gdańsku pisma „Przegląd Polityczny", które wychodziło dość rzadko (zazwyczaj dwa razy do roku), a do 1989 r. ukazało się tylko 12 numerów. Wkrótce pismo skupiło środowisko opozycyjnych liberałów, tworzących nurt określany mianem gdańskich liberałów. Bez wątpienia głównym ideologiem tego środowiska okaże się Janusz Lewandowski, a Tusk będzie redaktorem naczelnym pisma oraz będzie formułować politykę tego środowiska.

W pierwszym numerze w tekście „Od redakcji" Tusk pisał, że liberalizm to predyspozycja osobowościowa, styl myślenia, zbiór zasad o charakterze głównie politycznym, w mniejszym zaś stopniu gospodarczym. Ze względu na mnogość ekonomicznych wersji liberalizmu wspólne mogą być jedynie ogólne zasady: uznanie dla inicjatywy indywidualnej, własności prywatnej, rynku, konkurencji oraz negacja skrajnego etatyzmu. Szczegółowe zastosowania zasad liberalizmu gospodarczego będą różne, zależne od systemu politycznego, inaczej będzie to wyglądało w demokracji parlamentarnej, inne zaś cechy będzie on posiadał w autorytarnej dyktaturze, co nakłada obowiązek stałego dbania o realizację idei wolności.

Po raz kolejny Tusk wypowiedział się na temat modelu liberalizmu w numerze trzecim, występując jako Anna Barycz. Autor deklarował możliwość pogodzenia liberalizmu i demokratycznego socjalizmu, jako dwóch sposobów myślenia racjonalistycznego, oświeceniowego i humanistycznego. W podsumowaniu swoich rozważań pisał: „Można sądzić, że ochronne funkcje państwa, konkurencja i rynek, inicjatywa wolnych jednostek i własność prywatna nie wykluczają automatycznie dążenia do społecznego nadzoru nad gospodarką, mającego na celu uchronienie bezpieczeństwa i interesu większości. Mówiąc krótko, racjonalizm liberała jest do pogodzenia z marzeniem socjalisty; dbałość o maksymalizację produkcji i postęp technologiczny nie musi eliminować wrażliwości na ucisk, biedę upośledzonych, nędzę słabszych". Z tego powodu odrzucone zostają poglądy Friedricha Augusta von Hayeka, które określone zostały mianem „okrutnego liberalizmu". W artykule nie było mowy o sformułowaniu postulatu restauracji kapitalizmu w Polsce, ale za to bardzo wyraźnie pobrzmiewa echo myśli Johna Stuarta Milla, który w połowie XIX w., będąc twórcą demokratycznego liberalizmu, rozpoczął proces syntezy socjalliberalnej.

W latach 1985–1987 na łamach „Przeglądu Politycznego" (numery 5–9) Lewandowski, pod pseudonimem Jędrzej Branecki, zamieszczał bardzo wnikliwie napisane sylwetki ideowe czołowych przedstawicieli myśli neoliberalnej. Wszystkie opatrzone były autorskimi interpretacjami i ocenami. Lewandowski w całości odrzucał socjalistyczny system gospodarczy, niechętny był też polityce w stylu welfare state, ale jednocześnie podkreślał, że wskazania pod adresem polityki gospodarczej i społecznej formułowane przez von Hayeka są zbyt minimalistyczne, a nawet skrajne. Oczywiście nie ma mowy o krytyce autora „Konstytucji wolności" w sposób właściwy Tuskowi, pozostającego pod wpływami socjalizmu. Wkrótce ten ostatni, jako Tadeusz Donecki, w numerze 9 zmienił stanowisko wobec von Hayeka na wręcz entuzjastyczne, co stało się pod wpływem lektury artykułu Lewandowskiego poświęconego temu neoliberałowi.

TOROWANIE DROGI

Całemu środowisku gdańskich liberałów towarzyszyło przekonanie

eprasa.pl 5ec60e9ca7

o własnej wartości, publicystyka miała być tylko instrumentem torującym drogę do uprawiania w przyszłości polityki, obecnie jednak dominowało poczucie zupełnej słabości politycznej. Początkowo sądzono, że znaczenie NSZZ „Solidarność" w życiu publicznym Polski szybko powróci, bo sytuacja ukształtowana przez stan wojenny nie ma cech trwałości, wreszcie dojdzie do obiecywanego przez solidarnościowe podziemie strajku generalnego, który przywróci status quo sprzed 12/13 grudnia 1981 r.

Upływały lata i nic takiego się nie zdarzyło. W tej sytuacji zaczęto się rozglądać za innym źródłem siły, które mogłoby umożliwić realizację liberalnych postulatów. Dla większości gdańskich liberałów stał się nim Lech Wałęsa, w którego kręgu funkcjonowali najpierw Jacek Merkel, a po jakimś czasie też Jan Krzysztof Bielecki. Z tego powodu w numerze 12 „Przeglądu Politycznego" ukazał się blok materiałów bardzo przychylnych przywódcy związku zawodowego (warto pamiętać, że w numerze trzecim w podobnej sytuacji stawiano Andrzeja Gwiazdę, który teraz nie stanowił już żadnego aktywa politycznego). Opcja prowałęsowska była jednym z przejawów realizmu właściwego temu środowisku.

Swoistym ukoronowaniem dotychczasowej ideowo-politycznej i organizacyjnej działalności gdańskich liberałów był złożony 24 lutego 1989 r. wniosek o rejestrację Gdańskiego Towarzystwa Społeczno-Gospodarczego „Kongres Liberałów", do czego ostatecznie doszło pod koniec tamtego roku. W sformułowanej „Deklaracji ideowej" liberalizm oczyszczony jest z naleciałości socjalistycznych, preferuje się przede wszystkim aspekt gospodarczy doktryny z potraktowaniem celów politycznych jako drugoplanowych i wręcz negliżowaniem spraw społecznych, w tym socjalnych, docenia się znaczenie dla powodzenia przemian gospodarczych powstającej warstwy przedsiębiorców. Dość niespodziewane było odwołanie się do „etyki chrześcijańskiej", o której mówiono, że stanowi – obok tradycji myśli liberalnej – „kulturowy rdzeń wolnego społeczeństwa". Zaskakiwało to dlatego, że dotąd „Przegląd Polityczny" w ogóle nie zajmował się obecnością chrześcijaństwa w życiu publicznym. Wynikało to nie tyle z próby poszukiwania poparcia Kościoła, co będzie miało miejsce w momencie tworzenia Platformy Obywatelskiej na początku tego wieku, ile z chęci jakiegoś osadzenia w polskiej tradycji kulturowej, której trwałym elementem jest katolicyzm.

Jednocześnie na wiosnę 1989 r. w wyniku obrad Okrągłego Stołu, w których przedstawiciele gdańskich liberałów, z wyjątkiem Merkla, nie uczestniczyli, otwarta została droga do ewolucyjnego powstania w Polsce systemu demokracji parlamentarnej. Co w tej sytuacji ze stawką na Wałęsę w roli źródła siły tego środowiska?

W deklaracji ideowej Kongresu Liberałów odwoływano się do etyki chrześcijańskiej

KONGRES LIBERALNO-DEMOKRATYCZNY

Kongres Liberalno-Demokratyczny powołano do życia w lutym 1990 r. na ogólnokrajowym spotkaniu towarzystw gospodarczych i środowisk liberalnych w Warszawie. Na czele tymczasowego prezydium stanął Lewandowski. W 1991 r. na stanowisku przewodniczącego KLD zastąpił go Tusk.

Pod koniec czerwca 1990 r. odbyła się I Krajowa Konferencja KLD, na której

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Premier Donald Tusk na konferencji po posiedzeniu rządu, 30 stycznia, Warszawa FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

przyjęto „Deklarację programową KLD". Czytamy w niej: „Sprawą wielkiej wagi jest zachowanie fundamentów naszej moralności opartych o zasady europejskiej tradycji kulturowej, u podstaw której leży chrześcijaństwo", co byłoby nawiązaniem do niedawnego stanowiska GTS-G „Kongres Liberałów". Do zwycięstwa integralnego liberalizmu było zatem jeszcze daleko, aczkolwiek w sprawach społeczno-gospodarczych było to oczywiste.

Pod koniec 1990 r. odbyły się w Polsce wybory prezydenckie. Prezydentem został w drugiej turze Wałęsa, który dość niespodziewanie 29 grudnia podjął decyzję, że następcą Tadeusza Mazowieckiego na stanowisku premiera będzie Jan Krzysztof Bielecki. On sam trzeźwo stwierdził w rozmowie opublikowanej w 1991 r. w „Przeglądzie Politycznym": „Mnie nie wyniosła moja czy kongresowa polityka, brak politycznego znaczenia liberałów i mojej osoby był jedną z przyczyn tego skoku w górę". W sformowanym rządzie zasiadło kilku liberałów, m.in. Lewandowski jako minister przekształceń własnościowych. Utworzenie tego rządu potwierdzałoby, że stawka na Wałęsę w roli źródła siły gdańskich liberałów okazała się trafna, szybko przynosząc duży sukces.

W wyborach parlamentarnych z 27 października 1991 r. KLD uzyskało poparcie 7,5 proc. wyborców, co pozwoliło na wprowadzenie 37 posłów i 6 senatorów. Kampania wyborcza odbywała się pod hasłem: „Ani w prawo, ani w lewo, tylko prosto do Europy", dobrze odpowiadając stanowi świadomości tej partii. Trudno jednak uznać ten wynik wyborczy za w pełni satysfakcjonujący, spodziewano się większego poparcia, ponadto Bielecki przestał być premierem, a po pewnych wahaniach KLD nie weszło do nowego rządu premiera Jana Olszewskiego.

W październiku 1992 r. w Gdańsku-Sobieszewie miała miejsce konferencja programowa, która potwierdziła, że KLD chce być formacją integralnie liberalną nie tylko w sprawach społeczno-gospodarczych. W „Tezach sobieszewskich. Liberałowie wobec rzeczywistości" uznano, że „aborcja jako zjawisko społeczne jest złem, któremu państwo powinno przeciwdziałać", ale nie „przy pomocy zakazów prawnokarnych". Niedługo przekonamy się, co to praktycznie znaczyło, w jaki sposób nastąpi doprecyzowanie integralnego liberalizmu.

W 1992 r. funkcjonowała w Sejmie komisja nadzwyczajna pracująca nad ustawą o ochronie prawnej dziecka poczętego, co wykluczałoby możliwość dokonania aborcji na żądanie kobiety, jak było dotychczas. Zwolennicy utrzymania istniejącego stanu prawnego podjęli próbę zorganizowania ruchu, który wystąpiłby z żądaniem przeprowadzenia referendum w tej sprawie. Pewną rolę odgrywali tu działacze KLD – obok aktywistów lewicowych, feministycznych i antyklerykalnych. W listopadzie 1992 r. złożony został w Sejmie projekt uchwały żądającej przeprowadzenia referendum, za którym opowiedziała się grupa posłów liberalnych. 7 stycznia 1993 r. Sejm odrzucił ten projekt i tego samego dnia – przy sprzeciwie większości posłów KLD – uchwalił ustawę, która w istotnym zakresie zakazywała przerywania ciąży. W rezultacie integralny liberalizm okazał się w sensie światopoglądowym zdecydowanie lewicowy.

19 września 1993 r. odbyły się przedterminowe wybory parlamentarne. Tym razem KLD uzyskało niecałe 4 proc. głosów, nie przekraczając pięcioprocentowego progu wyborczego. Wcześniej nie udało się zawrzeć koalicji wyborczej z Unią Demokratyczną, co w jakimś stopniu mogłoby zastąpić dotychczasowy patronat Wałęsy. Za takim rozwiązaniem był Bielecki, przeciwne stanowisko

eprasa.pl 5ec60e9ca7

zajmował Merkel, kierujący kampanią wyborczą. W książce „Idee gdańskiego liberalizmu" z 1998 r. Tusk napisze: „Jako przewodniczący miałem możliwość podjęcia decyzji pozytywnej. Wyobraźnia jednak w tej najważniejszej być może chwili zawiodła mnie zupełnie". Wtedy zrozumie, że w takiej sytuacji nie ma miejsca na koleżeństwo, jakieś sentymenty czy zobowiązania z przeszłości, trzeba działać, mając na uwadze jedynie dalsze istnienie własnego środowiska, wszystko inne może bowiem prowadzić do politycznej katastrofy. Nie wolno też obciążać innych za popełniony błąd.

Był to w praktyce kres istnienia formacji gdańskich liberałów, którzy w pewnym momencie uwierzyli, że liberalizm uzyskał w Polsce dostateczną siłę, żeby nie ubiegać się o dalsze wsparcie ze strony dotychczasowego źródła politycznej mocy, którym był Wałęsa, ani zawierać koalicji wyborczej z UD. Tracąc zmysł realizmu, ułudzie tej uległ także Tusk. Chęć samodzielnego uczestniczenia w życiu politycznym pod hasłem integralnego liberalizmu, w sensie światopoglądowym z wyraźnym skrętem w lewo, zakończyła się dla KLD klęską. Tusk dobrze zapamięta sobie tę lekcję, za jakiś czas ponownie wyruszając na poszukiwanie siły dla wyznawanego przez siebie liberalizmu. Od 1995 r. wiadomo było, że nie będzie nią poparcie Wałęsy, skoro przegrał wybory prezydenckie z Aleksandrem Kwaśniewskim.

W kwietniu 1994 r. miało miejsce połączenie KLD z UD, w efekcie powstała Unia Wolności, a jej wiceprzewodniczącym został Tusk. Na tym kończy się ideowo-polityczny żywot środowiska gdańskich liberałów, ale nie jego lidera, który przez kilka lat będzie cierpliwie czekał na swoją następną szansę.

PLATFORMA OBYWATELSKA

Na początku stycznia 2001 r. Tusk ze swoimi zwolennikami podjęli decyzję o odejściu z szeregów UW. 10 stycznia Tusk, Maciej Płażyński oraz Andrzej Olechowski ogłosili decyzję o utworzeniu nowej formacji politycznej – Platformy Obywatelskiej. Nowa formacja skupiała osoby o poglądach socjalliberalnych, chadeckich i liberalno-konserwatywnych, przy czym ci ostatni stanowili główny trzon PO. Do 2003 r. przewodniczącym partii i klubu parlamentarnego był Płażyński, którego zastąpił na tych stanowiskach Tusk, a wkrótce przewodniczącym klubu stał się Jan Maria Rokita.

W sprawach światopoglądowych PO najpierw reprezentowała konserwatywne stanowisko, jednak później stopniowo przesuwała się w lewo

21 grudnia 2001 r. klub parlamentarny PO przyjął „Deklarację ideową". Trudno doszukiwać się w niej jakiegokolwiek związku z integralnym liberalizmem z okresu KLD, wzmianka o „etyce chrześcijańskiej" w „Deklaracji ideowej" GTS-G „Kongres Liberałów" to jedynie drobny przedsmak tego, z czym mieliśmy do czynienia w momencie narodzin PO, no i wreszcie w całości zostało odrzucone stanowisko gdańskich liberałów z okresu sporów o zakaz aborcji.

Równie interesujące były poglądy zawarte w deklaracji przyjętej przez klub parlamentarny PO w Krakowie 18 maja 2003 r. Okazją dla przyjęcia tej deklaracji była bliska akcesja Polski do UE. Parlamentarzyści obiecują: „Będziemy walczyć o pełne prawa w Europie dla polskiej tożsamości narodowej", a także „bronić praw religii, rodziny i tradycyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa". Deklaracja kończyła się bardzo podniośle: „U podnóża Wawelu, gdzie złożone są szczątki naszych królów i wieszczów – przysięgamy wszystkim Polakom, że od tych zasad nigdy nie odstąpimy". W kontekście „Szczerze", diariusza powstałego w trakcie pełnienia przez Tuska funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej (2014–2018), brzmi to jak jedno wielkie szyderstwo.

Mogłoby się wydawać, że powstanie PO stanowiło ostateczny kres istnienia charakterystycznego dla Tuska lewicowego liberalizmu i że klęska KLD ma charakter nieodwracalny. Czas pokaże, że tak nie było. W rozumieniu przewodniczącego Platformy mieliśmy bowiem ciągle do czynienia z liberalizmem poszukującym nowego źródła siły. Na razie był nim zwrot w kierunku wartości konserwatywnych, a nawet Kościoła, z wytłumieniem poglądów lewicowych. Początkowo PO reprezentowała liberalne poglądy gospodarcze i konserwatywne stanowisko w sprawach światopoglądowych, w późniejszym okresie jednak stopniowo przesuwając się w lewo.

Tusk w 2013 r. w wywiadzie dla „Polityki" stwierdził, że „im dłużej jest się premierem, tym bardziej staje się w jakimś sensie socjaldemokratą. Bo kiedy się rządzi, to w żaden sposób nie można uciekać od odpowiedzialności za słabszych […]. Dzisiaj mogę z pełnym oddechem powiedzieć, że ta lekcja Leszka Kołakowskiego, jak się stać liberalno-konserwatywnym socjalistą, mnie się wypełnia w stu procentach". Jego rozmówcy nie musieli wiedzieć, że w dużym stopniu to samo trzy dekady wcześniej Anna Barycz pisała na łamach „Przeglądu Politycznego". Ciekawe, czy sam Tusk o tym pamiętał? Poza wszystkim razi fatalna polszczyzna tego wywiadu.

„SZCZERZE"

W 2014 r. Tusk zrezygnował ze stanowiska premiera i udał się do Brukseli, żeby objąć na pięć lat funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej. Z tego okresu pochodzi diariusz zatytułowany „Szczerze". W formie książki ukazał się po powrocie autora do Polski w 2019 r. Ta praca jest o tyle ciekawa, że pozwala dobrze zorientować się, czym dla Tuska staje się liberalizm po bliskim zetknięciu się z UE oraz gdzie w tej sytuacji należy szukać siły dla realizacji liberalnej polityki.

Już na wstępie autor kreuje swój diariusz jako instrument służący do powstrzymywania populistów, cokolwiek miałoby znaczyć to niejasne określenie. Liberalizm jest łączony przez Tuska z dobrem, a inne poglądy ze złem. Ideowego oponenta trzeba raczej leczyć niż rozmawiać z nim. W tej sytuacji liberalna demokracja jest normą, a odstępstwa od niej rodzajem anomalii, tworzonej i wykorzystywanej przez populistów, mogących przybierać bardzo różne oblicza. Będą nimi zarówno antyglobaliści, jak i nacjonaliści, integralni konserwatyści czy zwolennicy społecznej lewicy, ale mogą takimi stać się też tradycyjni katolicy. Jedyne, co by ich łączyło, to sprzeciw wobec sił liberalno-lewicowych.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Wypowiedzi autora w sprawie nacjonalizmu czy katolicyzmu właściwie zawierają to samo przesłanie. Traktuje on jakikolwiek nacjonalizm czy ruch narodowy jako zło wcielone, uważając walkę z nimi za część swojej misji. Z drugiej strony jednak twierdzi: „Nie możemy pojęć, takich jak naród, ojczyzna, tradycja, pozostawić w rękach populistów". Słowem – trzeba tak zredefiniować te pojęcia, aby posługując się nimi, nie tylko uniknąć zarzutu wykorzenienia, lecz także kontrolować swoich oponentów. Podobnie sytuacja wyglądałaby z katolicyzmem, który o tyle może być tolerowany, o ile dostosuje się do poglądów liberalno-lewicowych. Autor przypisuje sobie prawo do określenia, kto jest chrześcijańskim demokratą, i nie powinno zaskakiwać, że byłoby to równoznaczne z byciem lewicowym liberałem.

Złem jest też jednak demokracja, rozumiana jako wola większości, która musi być moderowana przez postępowe elity realizujące zasadę praworządności. W tym przypadku, jak z populizmem, nie za bardzo wiadomo, o co chodzi poza tym, że „Unia jest bardzo czuła w kwestii praworządności", gdyż stanowi ona „fundament Unii Europejskiej". Prawdziwe obrzydzenie ogarnia autora na myśl o referendum. Patrzy na tę instytucję przez pryzmat brexitu, wynikłego z referendalnego zwycięstwa przeciwników UE. Stąd nie może dziwić, że w 2023 r. wzywał do bojkotu referendum w Polsce (zresztą skutecznie), sprzecznego z interesem liberalno-lewicowych elit UE.

Do UE Tusk odnosi się całkowicie bezkrytycznie. Unia „jest niczym innym, jak stałą gotowością poświęcenia części swoich narodowych i państwowych interesów i ambicji na rzecz międzynarodowej solidarności". W zapiskach Tuska jest, co prawda, wezwanie do centralizacji UE, ale nie postuluje się wprost dążenia do powstania państwa federalnego kosztem państw narodowych. Może chodzi o to, że po zdobyciu władzy nie chciałby on, aby wszystkie ważne decyzje zapadały w Brukseli, a nie w Warszawie. Bo kim byłby wtedy, decydując samodzielnie jedynie o budowie przysłowiowych ścieżek rowerowych? I wreszcie Tusk nie dostrzega roli Niemiec, dla których UE stała się wehikułem wzmacniania pozycji w Europie i realizacji szerszych ambicji mocarstwowych.

Liberalizm Tuska ma zatem po epizodzie brukselskim wymiar wręcz totalny, formatowany do dominacji ideologicznej przynajmniej nad Zachodem, a sprawy polskie to tylko drobna część tej całości. Zarówno ruchy narodowe, jak i katolicyzm nie mogą być sprzeczne z lewicowym liberalizmem, a demokracja rozumiana jako rządy większości nie budzi zaufania. Oprzeć się należy na liberalno-lewicowych elitach panujących w UE, ale nie na prawie do rządzenia uzyskanym w wyniku wygranych wyborów, choć tym też nie wolno gardzić.

Nie dziwi, że źródłem nowej siły dla liberalizmu Tuska stają się czynniki zewnętrzne w postaci Unii, a być może także liberalno-lewicowych elit z USA. Tyle tylko, że nie dostrzega on olbrzymich problemów wynikających z kontestacji panujących na Zachodzie porządków przez obywateli. W efekcie może to oznaczać zwycięstwo innych sił niż dotychczasowe, a w związku z tym stawka na dominację postępu zarówno w UE, jak i USA może się okazać chybiona. Dla Tuska byłoby to fatalne, natomiast dla Polski to szansa, pod warunkiem że zakończyłaby się polityka sprowadzająca się do wiszenia u klamki Zachodu.

Tusk to przede wszystkim sługa liberalizmu, którego wcieleniem obecnie jest UE, choć mocno artykułowany jest on też na wybrzeżach USA

CIĄGŁOŚĆ MYŚLI POLITYCZNEJ I DZIAŁANIA?

Od samego początku Tusk jest wyznawcą lewicowego liberalizmu, co dokładnie widać zarówno na łamach „Przeglądu Politycznego", jak i w okresie istnienia KLD. Podstawy, na których stworzono PO, były tego zaprzeczeniem, ale ta formacja nieustannie przesuwała się w lewą stronę, nabierając w praktyce liberalno-lewicowego charakteru, czemu bardzo sprzyjał jej lider. I wreszcie okres brukselski to odkrycie, że UE jest zdominowana przez liberalno-lewicowe elity, z których poglądami z nieskrywanym zachwytem solidaryzuje się Tusk, taką właśnie mając tożsamość, począwszy od skromnej genezy ruchu w Gdańsku. Jeśli chodzi o poszukiwanie źródła siły dla liberalizmu, to dziś w grę wchodziłoby oparcie się na zinstytucjonalizowanym liberalizmie całego Zachodu, choć głównie UE, a nie pomoc Wałęsy czy zwrot w kierunku konserwatyzmu z początku istnienia PO. O próbie samodzielnej polityki, opartej jedynie na woli wyborców, Tusk myśli z dużą obawą, bo mogłoby to prędzej czy później doprowadzić do katastrofy, która spotkała KLD w 1993 r.

Ideowo-polityczną przesłanką wydarzeń z przełomu lat 2023 i 2024 byłoby odzyskiwanie przez demokrację, ale rozumianej nie jako rządy większości, należnych jej praw, a więc ochrona systemu zinstytucjonalizowanego liberalizmu i – co z tym związane – całej liberalno-lewicowej klasy panującej. Lider PO daje wręcz przykład innym przywódcom państw liberalnego Zachodu, jak to należy robić, działając per fas et nefas. Czy służyłaby temu próba powrotu do integralnego liberalizmu z okresu KLD – chyba nie, ale w sprawach światopoglądowych zapewne będzie inaczej. Z pewnością jednak Polska ma przestać być tak odmienna w stosunku do innych państw UE, o tym właśnie traktuje „Szczerze".

Tusk to przede wszystkim sługa liberalizmu, którego wcieleniem obecnie jest UE, aczkolwiek mocno artykułowany jest on też na obu wybrzeżach oceanicznych USA (w stanach Nowej Anglii i Kalifornii), a nie reprezentant interesów Niemiec, jak uporczywie i błędnie twierdzi prezes PiS. Oczywiście w przypadku zwycięstwa Trumpa liberalno-lewicowy Berlin mógłby zastąpić Waszyngton w roli ideowo-politycznego, ale nie w sensie gospodarczym, a tym bardziej militarnym, przywódcy Zachodu. Działania podjęte na przełomie lat 2023 i 2024 miałyby doprowadzić do tego, żeby Tusk mógł się pochwalić, że Polska pod jego kierownictwem zaczyna nadążać za unijnymi wymaganiami. W tym tkwi sedno sprawy, czy staniemy się polskojęzycznymi unijczykami. A może nadal będziemy Polakami, dla których ułudy liberalno-lewicowe to coś, co prędzej czy później przeminie, choć samo się to nie stanie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Igrzyska dla nikogo

Rafał A. Ziemkiewicz

Komisje śledcze miały pogrążyć PiS w oczach opinii publicznej. Komisja do sprawy Pegasusa pokazuje jednak, że ludzie takimi widowiskami nie są zainteresowani

Nieoczekiwanie jedynym na razie podchwyconym szerzej „newsem", który dostarczyła mediom sejmowa nadzwyczajna komisja śledcza badająca domniemaną nielegalną inwigilację przy użyciu programu Pegasus, okazało się wyznanie sędziego Tulei, że on sam, pośród innych sędziów, zlecenia użycia Pegasusa zatwierdzał. W połączeniu z wcześniejszym, analogicznym stwierdzeniem innego „sędziego wolności" (jak z właściwym sobie, przyprawiającym o ból zębów patosem nazwała liderów sędziowskiego rokoszu propaganda PO) Piotra Gąciarka mocno rozmywa to medialną narrację, którą miała zbudować komisja i dla której zbudowania w ogóle ją powołano.

Cała sprawa Pegasusa wydaje się późnym pogłosem afery kelnerskich podsłuchów sprzed ponad ośmiu lat, która – wedle zbudowanej w kręgach lewicowo-liberalnych legendy – miała być głównym, a może wręcz jedynym powodem odsunięcia PO i satelickiego PSL od władzy. W istocie przyczyny katastrofy PO w roku 2015 były wielorakie i znacznie głębsze, ale proste prawidłowości psychologiczne sprawiły, że odrzuceni przez wyborców politycy, a zwłaszcza ich celebrycko-opiniotwórcze zaplecze, potrzebowali wyjaśnienia prostego i zdejmującego z nich odpowiedzialność za przegraną. Znaleźli to wyjaśnienie w jednym słowie: „ośmiorniczki".

Nieszczęsne ośmiorniczki – których zajadanie istotnie uczyniły media w potocznym dyskursie symbolem szemranych PO-owskich narad i dealowania w drogich restauracjach – dla politycznego plemienia Tuska stały się monumentalnym dowodem głupoty elektoratu, jak również skutecznego owym elektoratem manipulowania. Przecież, wmawiały sobie przez długie lata „wysadzone z siodła" elity, na tych kelnerskich taśmach tak naprawdę „nic nie było" poza wulgarnymi słowami.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Posiedzenie sejmowej komisji śledczej do spraw Pegasusa, 19 lutego, Warszawa

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

A kto od czasu do czasu nie użyje mocnego słowa? Przecież ośmiorniczki można kupić nawet w dyskoncie, to żaden luksus. Więc o co w ogóle w całym tym hałasie chodziło? Niewątpliwie musiała to być ukartowana przez jakieś służby (jakie, wskazał jasno sam Tusk, mówiąc o „scenariuszu pisanym cyrylicą") monstrualna prowokacja, wykorzystująca irracjonalne odruchy ciemnego ludu, który za pomocą przekazów medialnych uwarunkowano do bezmyślnej niechęci przeciwko rządzącym.

WŁASNE „OŚMIORNICZKI"

Wniosek, który się z tego nasuwał, był prosty: należy wymyślić własne „ośmiorniczki" i wykorzystać ten sam mechanizm wzbudzania bezmyślnej niechęci wyborców tym razem na korzyść PO, a przeciwko PiS. Próbowano różnych symboli, przyklejanych do różnych zdarzeń (z wolna o tym zapominamy: drzewa, dziki, banany, „koperty śmierci", wizy Schengen na afrykańskich targowiskach etc.), ale największy potencjał okazał się mieć właśnie Pegasus: tajemniczy program komputerowy, kupiony od Izraela, za pomocą którego można podsłuchać każdego, w łapach złowrogiego reżimu, obsesyjnie inwigilującego kogo popadnie. W istocie nikt poza specjalistami nie ogarnia, o co w ogóle z tym programem chodzi, na czym polega jego odmienność od tradycyjnych podsłuchów, ale w tym właśnie tkwi potencjał całej historii – to, co niezrozumiałe, powinno oddziałać na wyobrażenia ciemnej masy i przyprawić ją o dreszcz.

Dodajmy, że stratedzy PO mieli w pamięci sukces roku 2007, kiedy to, dzięki wykreowaniu na męczennika aresztowanego za korupcję doktora G., łzom posłanki Sawickiej, a przede wszystkim skupieniu całej kampanii PiS na taśmach z hotelu Marriott, narracja „PiS to szaleńcy podejrzewający, prowokujący i podsłuchujący wszystkich" rzeczywiście walnie przyczyniła się do przegranej partii braci Kaczyńskich.

Trudno twierdzić, żeby te nadzieje w jakikolwiek sposób się spełniły; ostatecznie o zmianie władzy w roku ubiegłym zadecydowały zupełnie inne czynniki. Ludzie, a politycy zwłaszcza, mają jednak zwyczaj mocno przywiązywać się do swoich pomysłów, więc wiara w propagandowy potencjał sprawy Pegasusa przetrwała i popchnęła zwycięską koalicję do stworzenia specjalnej, dedykowanej jej komisji śledczej.

Jest to dokładna powtórka behawioru PO z roku 2007, kiedy to, przypomnijmy, zwycięzcy również uwierzyli, że dobiją PiS i zniszczą go raz na zawsze sensacjami ujawnionymi przez sejmowe komisje śledcze. Pierwsza z nich, której kierowanie powierzono legendzie antykomunistycznego podziemia, Andrzejowi Czumie (co okazało się niewczesne, bo Czuma wykazał się odpornością na partyjne oczekiwania), miała udowodnić PiS nielegalne wywieranie „nacisków" na różne organa administracji państwowej; druga, pod wodzą Ryszarda Kalisza, miała wrobić partię i osobiście Zbigniewa Ziobrę w „zamordowanie" Barbary Blidy.

Czuma po zakończeniu prac komisji przyznał szczerze, że niczego nielegalnego w praktyce rządów z lat 2005–2007 znaleźć się nie udało, co zakończyło jego polityczną karierę. Kalisz brak jakichkolwiek sukcesów zamaskował buńczucznym obwieszczeniem, że jego komisja „stwierdziła rażące złamanie konstytucji". Miało ono polegać na stworzeniu przez rząd międzyresortowego zespołu do spraw wyjaśnienia afery węglowej, ponieważ konstytucja o zespołach międzyresortowych nie wspomina – było to groteskowe (konstytucja nie wspomina też np. o gabinetach politycznych w ministerstwach), zwłaszcza że poza tym z raportu komisji Kalisza wynikało, jeśli ktoś go uważnie przeczytał, że była minister w rzeczywiści była „umoczona" w aferę węglową, jej śmierć była nie samobójstwem, a skutkiem nieumiejętnie dokonanego samookaleczenia, mającego uniemożliwić aresztowanie, a jedyną winę ABW stanowiło nieregulaminowo łagodne potraktowanie zatrzymywanej, której chciano oszczędzić kajdanek i innych upokarzających procedur.

POWTÓRKA NIEUDANEJ OPERACJI

Mówiąc krótko, oba raporty – podobnie jak kilkadziesiąt śledztw prokuratorskich w sprawie rzekomych PiS-owskich nadużyć, poumarzanych po cichu – zamiast definitywnie zniszczyć PiS w oczach opinii publicznej, skompromitowały przedwyborczą propagandę, którą eksploatowały rzekome „naciski" i śmierć „dumnej Ślązaczki" równie intensywnie, jak ostatnio śmierć Adamowicza czy syna posłanki Filiks.

Można było się spodziewać, że z takim doświadczeniem po kolejnym objęciu władzy Tusk nie powtórzy nieudanej operacji, tym bardziej że kompletnemu zdeprecjonowaniu uległa sama instytucja sejmowej komisji śledczej, która znaczącą rolę odegrała w polskiej polityce tylko raz, przy sprawie Rywina (kto jeszcze w ogóle pamięta którąkolwiek z komisji późniejszych – „orlenowską", „bankową" etc.?). Rachuby i oczekiwania, które sprawiły, że mimo wszystko wiara w „niszczącą raz na zawsze" moc komisji powróciła, owocując powołaniem już dwóch (przed „pegasusową" rozpoczęła przesłuchania komisja do spraw wyborów kopertowych) i zapowiedziami trzeciej (afera wizowa), są, trzeba przyznać, niejasne i w dużym stopniu nieracjonalne.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Jest taki efekt psychologiczny, który stanowi zmorę twórców fantastycznych horrorów: na naszą wyobraźnię najsilniej działa to, co nieznane, przeczuwane, czego możemy się tylko domyślać. Każdy horror rozwija się doskonale dopóty, dopóki istnienie potwora jest tylko zasugerowane, atmosfera grozy narasta dopóty, dopóki budują ją niejasne przesłanki, wieloznaczności, obawy… Jednak przychodzi moment, gdy trzeba w końcu potwora pokazać, i wtedy w dziewięciu wypadkach na dziesięć nastrój „siada" – widz, widząc gutaperkę i dyktę, oddycha z ulgą, w skrajnych wypadkach wybucha śmiechem.

Na razie podobnie rozwija się praca sejmowych komisji. Tajemniczy Pegasus, który miał wzbudzić w przeciętnym Polaku magiczną trwogę, że oto złowrogi PiS śledzi każde jego krok i słowo, w nudnych przesłuchaniach okazuje się ot, po prostu jeszcze jednym sposobem zakładania podsłuchu, w takim samym trybie, w jakim zakłada się „zwykłe" podsłuchy telefoniczne, tylko trudniejszym do wykrycia. Nie taka znów wielka sensacja w czasach, kiedy wystarczy przy włączonym pilocie telewizora albo innym urządzeniu z funkcją rozpoznawania głosu powiedzieć raz do żony „Madagaskar", aby laptopy i telefony obojga zostały natychmiast zalane reklamami hoteli, tanich lotów i turystycznych atrakcji na tej wyspie.

MEDIALNY OBIEG

W sprawie Pegasusa wszystko, po bliższym przyjrzeniu się, okazuje się bazować właśnie na sugestiach, które miały wzbudzić niejasny nastrój zagrożenia. Jedynym twardym faktem jest, że Pegasusa polskie służby kupiły i używały w ramach prowadzonych śledztw. Domniemanie, że mogły podsłuchiwać polityków opozycji, by poznać ich tajemnice (ale jakiego właściwie rodzaju?), opiera się na opinii kanadyjskiego think tanku, który nie jest, wbrew nazwie, żadnym laboratorium, za którym stałby jakiś instytucjonalny autorytet. Wpuszczone w medialny obieg „listy prawdopodobnie podsłuchiwanych" mają mniej więcej takie same merytoryczne podstawy, jak „listy Żydów" sporządzane swego czasu przez Leszka Bubla i jemu podobnych maniaków. Nie wskazano, bo najwyraźniej nie da się wskazać, żadnego przypadku, który uprawdopodobniłby tezę, że PiS gdziekolwiek jakkolwiek użył przeciwko komuś wiedzy, która mogłaby pochodzić z Pegasusa czy jakiegokolwiek innego nielegalnego źródła (przeciwnie, to przeciwko PiS użyła opozycja nielegalnie zdobytych e-maili szefa KPRM). Wszystkie bulwersujące nagrania, ujawniane w ostatnich latach, nie wymagały żadnej wymyślnej technologii inwigilacji – wystarczały zwykły „gwóźdź" i wazonik, za którym chował go kelner bądź podwładny podsłuchiwanego.

W sprawie Pegasusa wszystko okazuje się bazować na sugestiach mających wzbudzić nastrój zagrożenia

Oczywiście, powie ktoś, i z góry przyznam mu rację, że uprawnienia do inwigilowania obywateli są w Polsce zbyt szerokie i powierzone zbyt wielu służbom, kontrola nad podsłuchami bywa iluzoryczna, a w procedurach dawno już – jeszcze za czasów podsłuchiwania dziennikarzy przez służby Tuska – wykryto luki, za pomocą których funkcjonariusz może wymóg prokuratorskiej bądź sądowej kontroli obejść.

Wspomniany na wstępie sędzia Igor Tuleya ze swym oświadczeniem, złożonym uprzedzająco po tym, jak PiS-owscy członkowie komisji zażądali ujawnienia wydanych przez sądy zgód na inwigilację, ośmieszył zresztą istniejący system i sędziów do imentu, wyznając z beztroską szczerością, że być może „klepnął" użycie Pegasusa, ale nie wie, bo nie wiedział, co właściwie zatwierdza ani po co, i czuje się teraz „wykorzystany" przez PiS – dodajmy, że lewicowo-liberalne media, podchwytując wątek „wykorzystania" biednego sędziego, niezorientowanego w sprawach, w których orzeka, skutecznie efekt kompromitacji spotęgowały.

Zwrócenie uwagi opinii publicznej na problem z podsłuchami mogłoby nawet być jakimś pożytkiem z całego tego szumu, gdyby nie to, że problem jest znany od dawna, a kreowanie Pegasusa na „antypisowskie" ośmiorniczki w najmniejszym stopniu nie przybliża nas do meritum sprawy, nie mówiąc o pomysłach na jej uporządkowanie.

Warto zauważyć, że w swych „100 konkretach", w których Tusk obiecał już, wydawałoby się, wszystko, co tylko można wymyślić, o uregulowaniu sprawy podsłuchów w ogóle ani Pegasusa w szczególności nie ma ani słowa. Prędzej czy później ktoś musi zapytać: No dobrze, co robił PiS z Pegasusem to robił, a co robi z nim teraz PO? Odpowiedź będzie zapewne przypominać zachowanie „likwidatorów" mediów państwowych, którzy ochoczo i z ogromnym oburzeniem ujawnili, jakie to bajońskie ponoć sumy zarabiano tam za czasów PiS, ale zapytani o zarobki obecnych „gwiazd" zasłonili się dobrem firmy. W czasie likwidowania przez PiS WSI i rozliczanie nieprawidłowości w służbach media PO rwały przecież włosy z głowy, że nie wolno ujawniać tajemnic dotyczących funkcjonowania służb, że to niszczenie państwa, straty, których przez wiele lat nie da się odrobić etc., etc. Wystarczy jedno „przełożenie wajchy", jeden kłopotliwy dla obecnej władzy wątek, wrzucony do prac komisji przez opozycję, a ta narracja powróci z nową mocą.

Z jednej strony nie sposób się nie zgodzić, że państwo musi stosować podsłuchy i technikę operacyjną, z drugiej nie można nie przyznać, że powinno się to odbywać pod należytą kontrolą, by nie dochodziło do nadużyć. Czy dojście do tak głębokiej konkluzji, do której prowadzą na razie prace komisji, warte było jej utworzenia? Analogicznie – czy warto było powoływać komisję wyręczającą prokuraturę w kwestii zbadania domniemanej niegospodarności na kwotę 70 mln zł (o 22 mln mniej niż wyprowadzono ze spółki Polnord wskutek transakcji między czterema fikcyjnymi, jak twierdzi prokuratura, spółkami, w których imieniu wszystkie umowy podpisywał sam ze sobą Roman Giertych, obecnie poseł PO i przewodniczący partyjnego komitetu do „rozliczania PiS)? To są pytania retoryczne, wiadomo, że komisje miały pogrążyć PiS w oczach opinii publicznej. Ta ostatnia jednak, jak widać po wynikach oglądalności i zasięgach internetowych, wydaje się komisjami w ogóle niezainteresowana. Jedynym powodem ich istnienia okazują się ambicje polityków rządzącej koalicji, którzy na swych występach w komisji wciąż mają nadzieję się trochę podlansować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Beczka prochu

Karol Gac

Im bliżej wyborów samorządowych i do Parlamentu Europejskiego, tym w Prawie i Sprawiedliwości widać coraz silniejsze napięcia oraz tendencje odśrodkowe. Trudno się dziwić – według wszystkich sondaży obóz Jarosława Kaczyńskiego poniesie dotkliwe straty, a lista chętnych na intratne stanowiska cały czas rośnie. A to, jak wiadomo, mieszanka wybuchowa

Wewnętrzne napięcia w Zjednoczonej Prawicy nie są niczym nowym. Wręcz przeciwnie, w ostatnich latach był to wdzięczny temat dla mediów. Tyle tylko, że PiS zasiada teraz w ławach opozycji, a tam „zła krew" ma szczególnie toksyczne właściwości. Na światło dzienne zaczynają powoli wychodzić zarówno konflikty z przeszłości, jak i te obecne. Jakie są obecne źródła wewnętrznych napięć? Jest ich przynajmniej kilka.

PAŹDZIERNIKOWY SZOK

Główną przyczyną problemów PiS jest oczywiście wynik wyborów parlamentarnych. Obóz Jarosława Kaczyńskiego był bowiem głęboko przekonany, że władzę – w takiej czy innej konfiguracji politycznej – po prostu utrzyma. To przeświadczenie było dodatkowo wzmacniane wewnętrznymi sondażami, które miały pokazywać stabilną przewagę nad pozostałymi ugrupowaniami. Wszyscy ci, którzy przestrzegali przed nadmiernym optymizmem, byli raczej ignorowani lub wyciszani. Skoro więc pewność trzeciej kadencji była tak duża, tym większy był szok, gdy okazało się, że nowy rząd utworzy Donald Tusk.

W PiS błyskawicznie odżyły dawne konflikty, które przez czas kampanii wyborczej udawało się trzymać w ryzach. Po 15 października puściły już jednak wszystkie hamulce, a lawina wzajemnych pretensji ruszyła. Politycy PiS zaczęli się otwarcie domagać wskazania i ukarania winnych utraty władzy. Argumentowali, że kampania negatywna była błędem, bo zmobilizowała liberalno-lewicowych wyborców i wzmocniła Trzecią Drogę. Faktem jest, że bezpośrednio po wyborach w PiS buzowało, a lista żalów była długa. Zdając sobie z tego sprawę, Jarosław Kaczyński na zamkniętym spotkaniu oświadczył, że to on ponosi odpowiedzialność za utratę władzy, a partia musi skupić się na nadchodzących wyborach. Ostatecznie do dymisji podał się Krzysztof Sobolewski, sekretarz generalny PiS.

Być może największa partia opozycyjna pogrążyłaby się w wewnętrznych konfliktach i rozliczeniach, gdyby nie... Donald Tusk. Szybkość, ale przede wszystkim polityczna brutalność rządzących i skala bezprawia ponownie skonsolidowały PiS w myśl zasady „oblężonej twierdzy". Ponadto odsuwa to PiS od centrum i spycha w stronę radykalizmu, czego dowodem są coraz mocniejsze tezy i wypowiedzi. Nie wszystkim się to jednak podoba. – Mateusz Morawiecki wykonuje pozytywną pracę i stara się przekonywać kierownictwo partii, że twardym kursem daleko nie zajedziemy. Trzeba pokazywać pozytywną pracę, punktować błędy rządzących, a także dawać Polakom ofertę, bo w przypadku „igrzysk" przegramy. Niestety, część partii zachowuje się tak, jakby miała władzę i trzy czwarte czasu poświęca na atakowanie tych, którzy pracują – mówi nam jeden z polityków PiS sprzyjających byłemu premierowi.

PODWÓJNE WYBORY

Stan, w którym znajduje się obecnie PiS, jest przez samych członków tej partii oceniany jako zły. Wielu lokalnych działaczy zwraca uwagę na problemy z mobilizacją, a także fatalne nastroje. Otwarcie o problemach mówi były minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski. – Trzeba się pogodzić z tym, że przegraliśmy. Rozliczyć się z tego, co było. Jeżeli nie staniemy w prawdzie, to będziemy się osuwać w kierunku nieliczącej się partii geriatryczno-kanapowej – powiedział w rozmowie z kanałem „Idź Pod Prąd". Jego zdaniem strategia „totalnej opozycji", którą miał przyjąć PiS, jest błędna. – To jest głupie, zabójcze i jednocześnie nieskuteczne, jeśli chodzi o odzyskanie w przyszłości władzy. Ja takiego kierunku nie akceptuję – dodawał.

Pewną szansą na przełamanie impasu i polityczne odbicie mogą być dla PiS nadchodzące wybory samorządowe i do PE. Problem w tym, że generują one w obozie Jarosława Kaczyńskiego kolejne napięcia. Dlaczego? Zgodnie z prognozami PiS straci władzę w kilku województwach (mówi się o pięciu), choć te najbardziej pesymistyczne wskazują wręcz, że utrzyma ją wyłącznie na Podkarpaciu. To zaś przełoży się bezpośrednio na utratę różnego rodzaju

eprasa.pl 5ec60e9ca7

stanowisk i wpływów. Z kolei w przypadku wyborów do PE prognozy mówią o utracie ośmiu–dziewięciu mandatów (dziś PiS ma 27 eurodeputowanych). Z jednej strony budzi to niepokój u obecnych europosłów, a z drugiej wzmacnia wewnętrzną walkę o obecność na listach. Tym bardziej że lista chętnych na intratną posadę z każdym tygodniem robi się coraz dłuższa. I to właśnie w przypadku eurowyborów widać w PiS największe emocje.

WEWNĘTRZNE ROSZADY

Kilka tygodni temu w siedzibie PiS odbyło się spotkanie Jarosława Kaczyńskiego z europosłami. Podczas niego prezes PiS nieoczekiwanie ogłosił, że prof. Ryszard Legutko nie będzie już przewodniczącym delegacji tej partii w PE, a jego miejsce zajmie europoseł Dominik Tarczyński. Ponadto lider PiS miał poinformować o nadchodzącej zmianie na stanowisku sekretarza generalnego Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR). Gabriela Beszłeja ma zastąpić były ambasador Polski przy UE Andrzej Sadoś. Tyle fakty, bo dalej zaczynają się polityczne interpretacje.

– Na odwołanie prof. Legutki zanosiło się już wcześniej, ale prezes miał do niego słabość. To paradoksalnie nie wzbudziło krytyki w partii, a wręcz przeciwnie, przyjęto to z pewnym entuzjazmem. Można to jednak było zrobić inaczej, bo prezes nawet go nie uprzedził, a przecież Legutko mógł np. sam wystąpić ze stosownym wnioskiem i wyglądałoby to zupełnie inaczej – mówi „Do Rzeczy" jeden z europosłów PiS. – Tylko że powołanie na jego miejsce Dominika Tarczyńskiego, mówiąc delikatnie, nie ma już tylu zwolenników – dodaje.

Nasi rozmówcy zwracają uwagę zwłaszcza na odwołanie Gabriela Beszłeja. Ich zdaniem, choć jest to mało medialna funkcja, to daje ona jednak ogromne możliwości i wpływy, ponieważ budżet EKR to ok. 7 mln euro. Jak dodają, powyższe zmiany miały nastąpić z inspiracji Mateusza Morawieckiego. Jeden z naszych rozmówców ocenia, że to „intryga Morawieckiego, któremu pomaga Adam Bielan, by osadzić swojego człowieka na stanowisku sekretarza EKR". – Morawiecki to zaplanował, gdy był w Brukseli, a tydzień później odbyła się polityczna egzekucja. Po co to robią? Po pierwsze, chcą się pozbyć frakcji profesorskiej, bo szukają miejsca dla swoich ludzi na listach do PE [...], drugi powód to oczywiście pieniądze. Morawiecki przegrał walkę o klub parlamentarny, który dawał możliwości. Jest odcięty od możliwości, pieniędzy, dlatego wymyślili, że przejmą EKR – tłumaczy.

Po wyborach coraz częściej zaczęły się pojawiać głosy, że Jarosław Kaczyński powinien odejść na polityczną emeryturę FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Z takim postawieniem sprawy stanowczo nie zgadzają się jednak stronnicy Mateusza Morawieckiego. – Premier nie walczy o żadne miejsca na listach dla tzw. swoich ludzi. Kompletnie nie interesuje go układanie list. To wierutne kłamstwo – mówi nam jeden z nich. Jak zatem tłumaczyć zmianę na stanowisku sekretarza EKR? – Konflikt z prof. Legutką jest banalnie prosty. Ten nie chciał zwolnić Beszłeja i poszło tylko o to. Sadoś od lat jest zaufanym człowiekiem Jarosława Kaczyńskiego, jeśli chodzi o struktury europejskie. To on często inicjował różne tematy z konserwatywnymi premierami. Dla mnie było oczywiste, że po zmianie władzy będzie miał robotę w Europie. Beszłej wchodził w okres emerytalny, nigdy nie był sprawny, bo był raczej „ciepłą kluchą". Sadoś ma w oczach prezesa wizerunek człowieka fightera, człowieka od zadań. To była wyłącznie decyzja prezesa – opisuje.

Na taką argumentację zżyma się jeden z polityków PiS. – Jak oni opowiadają, że nie mają z tym nic wspólnego, kiedy wiadomo, że beneficjentami będą ich ludzie, to opowiadają bajki dla dzieci. Problem polega na tym, że Jarosław Kaczyński najsilniej współpracuje z Mateuszem Morawieckim – mówi. – Listy osobiście będzie układał Jarosław Kaczyński i będzie to robił do samego końca. Było już wielu takich, którzy wyjeżdżali jako europosłowie, robili wręcz kampanię, a potem była zmiana. Wkładanie ręki pod jadący pociąg jest totalnie bez sensu – odbija stronnik Morawieckiego.

KTO DO PE?

Im bliżej do czerwcowych wyborów do PE, tym pojawia się coraz więcej nazwisk polityków, którzy mają być

eprasa.pl 5ec60e9ca7

zainteresowani startem. Swoje ambicje mają nie tylko europosłowie, lecz także politycy krajowi. Szczególne emocje, choć każdy z innego powodu, rozpalają Mariusz Kamiński, Maciej Wąsik, Daniel Obajtek i Jacek Kurski, których media wymieniają w gronie potencjalnych kandydatów na europosłów. To jednak budzi niezadowolenie w samym PiS. – Jeśli mamy wygrywać wybory, to trudno byłoby z takimi liderami. Niby słyszymy, że agenda będzie nam sprzyjać i mają to być szczególnie ważne wybory, a z drugiej strony liderami mieliby być Kamiński, Wąsik czy Przyłębski? – pyta jeden z polityków klubu PiS.

Jeśli wierzyć przedwyborczym przymiarkom, to obietnicę kandydowania miał dostać od prezesa PiS tylko Daniel Obajtek, były szef PKN Orlen. – Prezes zdecydował na „tak" w sprawie Daniela Obajtka. W partii jest duży opór z różnych środowisk. Jest duża niechęć w sprawie Kamińskiego czy Wąsika. Reakcje naszego sztabu są skrajnie negatywne – wyjaśnia „Do Rzeczy" jeden z polityków PiS. – Wiemy, że w badaniach tematem, który „żarł", był Obajtek. Wstawienie go na listy, podobnie jak Kamińskiego czy Wąsika, bardzo by zaktywizowało stronę anty-PiS – dodaje.

W przypadku Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika nasi rozmówcy zwracają także uwagę na rzekomą listę osób, które miały być inwigilowane Pegasusem. Choć niektórzy z nich wskazują, że mogą to być informacje, które mają podzielić PiS, to żaden z nich nie ukrywa, że jest to temat, o którym dużo się w partii mówi. Pomimo tego, że zarówno Kamiński, jak i Wąsik zaprzeczali medialnym rewelacjom. – Na pewno w naszym obozie byli ludzie, którzy byli podsłuchiwani. Oczywiste jest też to, że to nie jedna osoba. O tym się mówi. Zaufanie do nich nie jest największe, w tym w kierownictwie partii. To im nie pomaga – zdradza niechętnie jeden z polityków PiS.

Jakby tego było mało, przy okazji wyborów odżył również spór na linii PiS – Suwerenna Polska. Część polityków PiS chce bowiem wykorzystać nadchodzące wybory, by zmarginalizować formację Zbigniewa Ziobry. Zwłaszcza gdy ten z powodów zdrowotnych jest nieobecny i zastępuje go Patryk Jaki. – Skoro ma być 18–19 mandatów, to wiadomo, że ktoś idzie w odstawkę. Wielu uważa, że Suwerenna Polska ma za dużo i jeśli PiS ma stracić osiem–dziewięć mandatów, to dlaczego oni ani jednego? – mówi nam jeden z polityków. – Nasi europosłowie należą do największych atutów Zjednoczonej Prawicy, bo robią ogromne wyniki i zasięgi. W interesie PiS jest to, by z nich nie rezygnować. Jesteśmy potrzebni – odbija polityk SP.

SUKCESJA

Kolejną odsłoną napięć jest sam PiS. Tuż po październikowych wyborach parlamentarnych coraz mocniej zaczęły się pojawiać głosy, że Jarosław Kaczyński powinien odejść na polityczną emeryturę, ponieważ jego plan zawiódł, a on sam nie jest już gotowy na „długi marsz", który może czekać jego formację. Część polityków argumentowała, że prezes PiS stracił słuch społeczny, a i on sam nie jest w najlepszej formie. Warto przypomnieć, że w listopadzie ubiegłego roku sam Jarosław Kaczyński w rozmowie z PAP mówił o swoim odejściu z szefostwa PiS.

Niedawno na portalu Arcana opublikowany został obszerny tekst historyka z UJ, prof. Andrzeja Nowaka, zatytułowany „Głos starego wyborcy z myślą o młodszych", w którym możemy przeczytać, że „Jarosław Kaczyński niestety nie sprostał już tej wielkiej odpowiedzialności, którą sam na siebie przyjął". „Gotowość do odejścia jest miarą dojrzałości" – uważa prof. Nowak.

Dyskusja w sprawie przywództwa Jarosława Kaczyńskiego rozgorzała na nowo m.in. po wywiadzie Mateusza Morawieckiego na antenie Radia Zet, w którym były premier przyznał, że chciałby przejąć szefostwo w PiS, jeśli dotychczasowy lider uda się na polityczną emeryturę.

– Wypowiedź premiera była przede wszystkim uczciwa w kontekście własnego środowiska i środowiska PiS. To taki czas, w którym przestał chcieć obrywać za wszystko. Wcześniej musiał bronić różnych osób jako szef rządu. Ale dlaczego ciągle mamy to brać na siebie? – tłumaczy nam współpracownik byłego szefa rządu.

Wywiad Morawieckiego rozsierdził jednak jego przeciwników w partii, którzy nie zamierzają składać broni. – Morawiecki wręcz przebiera nogami, by przejąć PiS. Jego ludzie nieoficjalnie atakują prezesa różnymi sondażami. Oni nie rozumieją, że tu nie będzie sukcesji. O tym, kto będzie liderem, zdecydują wyborcy, a nie wskazanie polityczne. Morawiecki już jest zużyty politycznie, ale będzie coraz mocniej skompromitowany w elektoracie prawicy, gdy Tusk zacznie pokazywać różne dokumenty dotyczące praworządności itd. Morawiecki się przed tym nie obroni – słyszymy od jednego z nich.

Jak widać, PiS trawią konflikty wewnętrzne. Myli się jednak ten, kto składa największą partię opozycyjną do politycznego grobu. Trzeba pamiętać, że choć PiS znalazł się w poważnej defensywie, to Jarosław Kaczyński jak żaden polityk ma doświadczenie wynikające z bycia w opozycji i powrotu do władzy. Nie należy zatem go lekceważyć. Problem w tym, że naprzeciw siebie ma zdeterminowanego Donalda Tuska, który zrobi wszystko, by prawica nie objęła już rządów. Najbliższe półtora roku pokaże, czyje będzie na wierzchu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

PiS: wybory na grząskim terenie

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Piotr Semka

Partia Jarosława Kaczyńskiego przystępuje do swojej najtrudniejszej kampanii od 2010 r., kiedy to w listopadzie, pół roku po przegranej lidera PiS w wyborach prezydenckich, brała udział w boju o samorządy. Jak prezentują się kandydaci głównej partii opozycyjnej w 12 największych polskich miastach?

W głośnym już liście otwartym prof. Andrzeja Nowaka, dotyczącym sytuacji w PiS, umieszczony został specjalny rozdział o stosunku tej partii do wyborów samorządowych. „Dziś, to jest 17 lutego 2024 roku, na sześć tygodni przed terminem kolejnych wyborów samorządowych, PiS nawet nie wskazał jeszcze swojego kandydata czy kandydatki w Krakowie. To nie jest ostentacja, to jest po prostu pogarda okazana mieszkańcom milionowego miasta – a przecież podobnie jest w tylu innych. Teraz powinien być wybrany kandydat do urzędu prezydenta miasta na wybory, jakie odbędą się za sześć tygodni […]. A czym są wybory samorządowe dla prezesa wciąż największej partii w Polsce? Kłopotem? Sposobem na rozgrywanie roszad w polityce partyjnej?”.

W chwili, gdy piszę te słowa, w Krakowie ogłoszono już kandydata na prezydenta miasta w postaci byłego wojewody, Łukasza Kmity. Jednocześnie PiS wciąż nie wskazał, kto będzie go reprezentował we Wrocławiu, w Katowicach czy Białymstoku. Taka sytuacja nieco ponad miesiąc przed wyborami musi budzić zdziwienie. Coś najwyraźniej zatarło się w sprawnej wcześniej maszynerii sztabu wyborczego na Nowogrodzkiej.

SKĄD TE OPÓŹNIENIA

Oczywiście ostatnie cztery miesiące były dla Prawa i Sprawiedliwości niezwykle burzliwe. Najpierw szok po de facto przegranych wyborach, potem epopeja

eprasa.pl 5ec60e9ca7

rządu Mateusza Morawieckiego i atak ekipy Tuska na media publiczne. Po tej pierwszej, brutalnej fazie nadeszła kolejna w postaci aresztowania Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, kampanii na rzecz ich zwolnienia i wreszcie nieudanej próby wejścia Kamińskiego i Wąsika do Sejmu.

Czy jednak usprawiedliwia to przewlekły tryb wyłaniania kandydatów głównej partii opozycyjnej na stanowisko prezydenta w największych miastach Polski? „Lista kandydatów na największe miasta Polski powinna być gotowa już 1 stycznia – mówi jeden z ważnych polityków PiS. W chwili obecnej mamy ciągle wakaty w najważniejszych metropoliach. Nie ma nawet szans, aby skutecznie wylansować nieznanych wcześniej kandydatów. To, że na PiS zwaliły się represje ekipy Tuska, to żadne wytłumaczenie.

W każdej partii powinny być struktury uczestniczące w aktualnym politycznym boju i jednocześnie mądre zespoły, które potrafią wykreować nowych liderów. Jeśli szukać jakiegoś podstawowego wytłumaczenia dla tego minichaosu, to nasuwa się podstawowa prawda o wyborach. PiS nie ma szansy w żadnej metropolii w Polsce. Jeśli więc ktoś kandyduje, to musi brać pod uwagę przegraną, i jedyne, co uzyska, to stworzenie dobrego sztabu na przyszłość i zbudowanie swojej rozpoznawalności w danym mieście".

Oczywiście sytuacja, w której w wielu miastach wieloletni prezydenci rządzący z błogosławieństwem Platformy Obywatelskiej zderzyli się z nowymi kandydatami – czy to z Lewicy, czy to z ruchu Polska 2050 – rozszczelniła nieco grę wyborczą. Tyle że sondaże wskazują, iż w dużej liczbie największych miast szanse na przejście do drugiej tury mają dwaj kandydaci spośród partii niechętnych PiS. Cała sprawa ma jeszcze czysto praktyczne tło. Jeden z posłów PiS, któremu proponowano start w jednym z miast, mówi: „Całkiem niedawno, jesienią, były niezwykle ostre wybory do Sejmu. Wydałem na nie większość swoich osobistych oszczędności. Teraz, gdy zapytano mnie, czy wystartowałbym na prezydenta miasta, odpowiedziałem, że być może, ale musiałbym mieć gwarancje dofinansowania z budżetu centralnego. Czekałem na odpowiedź przez parę tygodni, ale nic konkretnego nie usłyszałem. A budżet osobisty mam wyczyszczony. Nie mogę ryzykować wkładania pieniędzy w kampanię, która niemal na pewno zakończy się moim niepowodzeniem. Jeśli Kaczyński wysyła kogoś na taki straceńczy bój, to musi mu pomóc finansowo. A jeśli takiej wyraźnej obietnicy nie słyszę, to staje mi przed oczyma z góry przegrana kampania i kupa długów po wyborach".

Na to wszystko jeszcze nakłada się coraz bardziej krytykowany kryzys podejmowania decyzji w partii. W prezydium komitetu politycznego, czyli tzw. PKP, zasiadają głównie najbardziej szacowni towarzysze walki Kaczyńskiego z ostatnich 30 lat. Brakuje w nim jednak (z wyjątkiem Mateusza Morawieckiego) wybijających się polityków młodszego pokolenia, choćby Przemysława Czarnka.

PiS wciąż nie wskazał, kto będzie go reprezentował we Wrocławiu, w Katowicach czy Białymstoku. Taka sytuacja nieco ponad miesiąc przed wyborami musi budzić zdziwienie

Jednak nawet biorąc wszystkie te czynniki pod uwagę, sytuacja, w której pod koniec lutego w wielu miastach nie ogłoszono jeszcze kandydatów PiS przed wyborami 6 kwietnia, jest czymś nowym. Nie odbyła się żadna wielka konwencja przedwyborcza w dawnym stylu. Taką rolę niektórzy przypisują spotkaniu Jarosława Kaczyńskiego z mieszkańcami w Opocznie w połowie lutego, ale nie było to wydarzenie, którym PiS mógłby zadziwić.

PRZEGLĄD KANDYDATÓW

A jak wygląda sytuacja w największych polskich metropoliach? Wśród kandydatów PiS wyróżnić można parę charakterystycznych kategorii. Pierwsza kategoria to byli wojewodowie. Jest ich trzech. Najważniejszy to oczywiście były wojewoda mazowiecki Tobiasz Bocheński, który kandyduje w Warszawie. Dobrze się prezentujący, nieźle przemawiający Bocheński nie przynosi wstydu swojej partii. Oczywiście w rywalizacji z Rafałem Trzaskowskim nie ma szans. Na szczęście lista kandydatów się znacznie poszerzyła i Trzaskowski musi rywalizować nie tylko z PiS, lecz także z całą grupą innych kandydatów, wśród których na czoło wysuwa się Magdalena Biejat z Lewicy.

Bocheński ma jedną słabość. Pochodzi z Łodzi, która tradycyjnie w Warszawie nie jest specjalnie lubiana. Ściągnęło to na kandydata PiS złośliwości Tomasza Lisa, że oto w stolicy partia Jarosława Kaczyńskiego wystawia „kibica najbardziej znienawidzonego w Warszawie klubu", czyli Widzewa Łódź. Bocheński zbywa tę złośliwość w dość zgrabny sposób, zaznaczając, że w Warszawie ludzi, którzy nie pochodzą ze stolicy, jest bez liku.

Swoją kampanię opierał na wyraźnym skupieniu się na praktycznych aspektach życia warszawiaków. Zaproponował aplikację WAVO, która ma zrewolucjonizować życie mieszkańców stolicy poprzez możliwość szybkich głosowań dotyczących danej dzielnicy. Ten pomysł zachwala hasłem: „Nie tylko raz na pięć lat będziecie decydowali o sprawach swojego miasta, tylko niemal codziennie". Oprócz tego wskazuje na opór mieszkańców wobec wypychania na siłę samochodów z centrum miasta, zwraca uwagę na problemy osób zagrożonych eksmisją i swoją kampanię. Dostosowując się do nastrojów w stolicy, zdystansował się od swoich wcześniejszych słów o „wirusie LGBT" i mówi: „To był błąd".

Czy dotrze do drugiej tury? Trudno orzec. Na pewno jego piętą achillesową jest stosunkowo słaba rozpoznawalność. Jednak przy tej liczbie kandydatów w Warszawie i przy mobilizacji PiS-owskiego elektoratu może dotrzeć do drugiej tury. A dla Trzaskowskiego druga tura to znaczne osłabienie jego szans prezydenckich w skali całego kraju.

O ile Bocheński ma 36 lat, o tyle jedynie o dwa lata starszy jest kandydat na prezydenta w Krakowie, wspomniany już Łukasz Kmita. Jako były wojewoda małopolski ma już pewną podstawową rozpoznawalność pod Wawelem. Prezentuje typ „dobrego gospodarza" i po odejściu wieloletniego prezydenta

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Jacka Majchrowskiego niektórzy widzą w kandydacie PiS czarnego konia w wyborach na gospodarza grodu Kraka.

I wreszcie trzeci, stosunkowo młody, były wojewoda – Zbigniew Bogucki w Szczecinie. Na odsunięcie od władzy rządzącego od dawna prezydenta Piotra Krzystka nie ma szans, ale wyraźnie może wzmocnić swoją pozycję, którą zresztą Bogucki buduje nad Odrą w bardzo konsekwentny sposób od lat.

Kolejna grupa to młodzi posłowie. Walczący o stanowisko prezydenta Bydgoszczy poseł Łukasz Schreiber ma tylko 36 lat. Co więcej, Schreiberowi udała się sztuka stworzenia komitetu wyborczego, który stanowi szeroką koalicję ruchów katolickich, Solidarności, rad osiedli, a nawet Konfederacji. Ta ostatnia w innych miastach startuje na własną rękę. W Bydgoszczy poparła jednak komitet Schreibera i weszła w jego skład. Miejscowa Platforma szydzi, że Schreiber schował się za formułą komitetu, aby nie świecić potencjalnym wyborcom znaczkiem PiS, ale są to głosy maskujące wyrażane w kuluarach uznanie dla zręczności, z którą Schreiber skonstruował stosunkowo duży blok w mieście nad Brdą.

Posłowie PiS obecnej kadencji startują jeszcze w dwóch stosunkowo mniejszych miastach. Są to Andrzej Śliwka w Elblągu i Bartosz Kownacki, który chce zostać prezydentem Inowrocławia.

Parlamentarzystów, którzy stają w szranki o fotele prezydentów miast, byłoby być może więcej, gdyby nie żądania lokalnych komitetów wyborczych PiS, aby tacy kandydaci rywalizowali jednocześnie o mandat radnego. Tyle że w razie wyboru na radnego mocą ustawy poseł musi zrzec się mandatu, a to już mało komu się uśmiecha.

I wreszcie nowe nazwiska. W Gdańsku jest to lokalny działacz Tomasz Rakowski, 42-latek. W październiku ubiegłego roku kandydował do Sejmu, ale się nie dostał. Teoretycznie lepszy byłby od niego Kacper Płażyński, który cztery lata temu dostał się nawet do drugiej tury wyborów na prezydenta Gdańska, tyle że – jak niesie kuluarowa plotka – Płażyński, mając już status posła, teraz po cichu liczy na dostanie się do europarlamentu. Walka w Gdańsku nie jest dla niego zbyt atrakcyjna.

Powstaje wrażenie, że jedyną osobą, która zaproponowała jakąś linię PiS w kampanii samorządowej, jest były minister Przemysław Czarnek

Mozaikę kandydatów PiS w największych miastach uzupełnia trzech debiutantów – w Lublinie jest to Robert Derewenda, 47-letni szef lokalnego oddziału IPN, który na czas kampanii wziął urlop. Jego zwolennicy wskazują, że jako nauczyciel potrafił nawiązać kontakt z młodymi wyborcami, ale – jak wszyscy przyznają – z Krzysztofem Żukiem, prezydentem urzędującym od 2010 r. popieranym przez Platformę i Lewicę, nie ma szans.

W Poznaniu PiS reprezentować będzie Zbigniew Czerwiński. W porównaniu z innymi PiS-owskimi kandydatami w metropoliach ze swoim wiekiem 63 lat zawyża nieco średnią. To doświadczony samorządowiec, specjalista od finansów samorządowych. Pytanie, czy dobije do wyniku z poprzednich wyborów, gdy w 2019 r. w Poznaniu Tadeusz Zysk uzyskał 21,31 proc.

I wreszcie Gdynia, gdzie startuje najmłodszy chyba kandydat spośród wielkich miast, liczący sobie 32 lata radny PiS Marek Dudziński. Jego problemem, podobnie jak w wypadku Czerwińskiego w Poznaniu, będzie stosunkowo słaba rozpoznawalność.

Na nominację czeka kandydat we Wrocławiu. Pytani o ten stan rzeczy lokalni działacze wskazują, że szefowa regionu, Elżbieta Witek, zarezerwowała dla siebie tę decyzję i na razie żadnego kandydata nie wskazuje. Jak już wspomniałem, na ogłoszenie kandydatów PiS czekają Białystok i Katowice. W tym ostatnim mieście bardzo długo PiS wspierał prezydenta Marcina Krupę. Ten jednak w grudniu zeszłego roku demonstracyjnie zerwał z niepotrzebnym mu już PiS i rzucił się w ramiona Koalicji Obywatelskiej i Lewicy.

GORĄCA WIOSNA?

Sztabowcy kandydatów PiS pokładają nadzieję w tym, że wybory samorządowe będą pierwszą dla wyborców okazją do pokazania czerwonej kartki rządowi Donalda Tuska. Faktem jest, że nowy rząd w ekspresowym tempie wycofuje się z większości swoich przedwyborczych obietnic. Składane one były na przełomie sierpnia i września 2023 r. z dużą dozą nonszalancji, a dziś 100 obietnic Tuska to ulubiony zbiór cytatów dla polityków PiS. A jednak sondaże nie wskazują, by fala rozczarowania rządami centrolewu była stosunkowo duża. Owszem, jakieś tąpnięcie w nastrojach wyborców może nastąpić, ale jeśli już, to raczej jesienią lub może nawet w przyszłym roku. Tak czy inaczej, jeśli PiS zakładał, że wybory samorządowe będą pierwszą okazją do policzenia się z Tuskiem, to na to jest chyba za wcześnie.

Faktem jest, że protesty rolnicze, które odbywają się w naprawdę wielu miejscach kraju, wskazują, że narasta jakaś fala kontestacji nowej ekipy. Tyle że jest to fala będąca odpowiedzią Polski na szerszy ruch agroprotestu w całej Europie. PiS nie bardzo wie, jak podejść do tego nowego zjawiska. Politycy mocno się zastanawiają, czy pchać się na pierwszą linię protestów wojowniczych rolników. Na pewno wypominano by im niezdecydowanie ekipy Mateusza Morawieckiego w sprawie protestów na ukraińskiej granicy.

Jednakże ruch rolniczej kontestacji jest na tyle masowy, a także pozbawiony wyraźnej organizacji, że aż się prosi o próby wykorzystania go przez rosyjskich agentów wpływu. PiS zastanawia się więc, w jakim stopniu popierać rolnicze protesty, by potem nie musieć za nie odpowiadać w razie jakichś nieodpowiedzialnych działań rolników. Już teraz zatrzymywanie ukraińskich autokarów czy próby blokowania pociągu Kijów – Chełm w ogromnym stopniu niszczą wizerunek Polski w ukraińskich mediach. Tak naprawdę powstaje wrażenie, że jedyną osobą, która zaproponowała jakąś linię PiS w kampanii samorządowej, jest były minister Przemysław Czarnek. Zaczął on lansować hasło, że od poparcia PiS w kampanii samorządowej zależy zablokowanie prób ideologizacji szkół według recept lewicy. Ten argument może być dosyć skuteczny w konserwatywnym elektoracie – ale jakiegoś całościowego pomysłu na kampanię samorządową nie widać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Minister edukacji Barbara Nowacka w czerwcu złoży podpis pod zmianami w podstawie programowej kształcenia szkolnego

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

Akt wandalizmu kulturowego

Krzysztof Masłoń

Pod hasłem odchudzenia rzekomo przeładowanego programu szkolnego, a w konsekwencji ulżenia doli ucznia i nauczyciela, dokonywany jest zamach na to, co w polskiej szkole najważniejsze i najwartościowsze. W bezwstydny sposób propaguje się pedagogikę wstydu, prymitywną laicyzację i zwyczajne nieuctwo

Premier Tusk wdaje się w futurystyczne dywagacje o zastąpieniu tradycyjnych podręczników szkolnych ich cyfrowymi odpowiednikami, jakby to był najważniejszy problem szkoły, w której nastąpiło znaczne obniżenie poziomu kształcenia, a postulowane obecnie zmiany stan ten pogłębią, i to drastycznie. Wystarczy zdać sobie sprawę, co oznacza w praktyce rezygnacja z zadawania uczniom prac domowych poza tym, że skorzystają na tym leniwi uczniowie i nauczyciele, zwłaszcza poloniści. O zrealizowaniu programu szkolnego można będzie jedynie pomarzyć, tak że obecne władze oświatowe coś musiały w tej materii zrobić, wykonały więc cięcie brzytwą, tym narzędziem bowiem posługują się – jak widać – najsprawniej.

Wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer stwierdziła wprost: „Zależy nam na tym, aby uczniowie mieli trochę mniej wiedzy przy tych samych podręcznikach". W skierowanym do konsultacji projekcie zmian w podstawie programowej kształcenia ogólnego w szkolnictwie ujęte to zostało tak: „Proponowane ograniczenia powinny dać nauczycielom i uczniom więcej czasu na spokojniejszą i bardziej dogłębną realizację tych zagadnień, które w podstawie programowej pozostaną". Z całą pewnością po tej oświatowej rewolucji ocaleje nauka czytania i pisania oraz liczenia, choć np. jeśli chodzi o matematykę, to w szkole podstawowej ograniczeniu ulec ma zakres sprawności rachunkowej wymaganej przy operowaniu ułamkami dziesiętnymi. Jeśli zaś chodzi o nauczanie historii, to – jak zgrabnie to ujął stosowny zespół ekspercki – dokonane w programie skróty „są krokiem w drodze od programu szerokiego na kilometry i głębokiego na palec do programu szerokiego na kilometr i głębokiego na kilometr". Brawo, no brawo! Na marginesie warto odnotować, że w składach zespołów opracowujących postulowane zmiany w nauczaniu poszczególnych przedmiotów dominują osoby związane ze Szkołą Edukacji Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności i Uniwersytetu Warszawskiego.

Co z jakąkolwiek wolnością mają wspólnego działania wybitnie

eprasa.pl 5ec60e9ca7

cenzorskie, ograniczenia poprawnościowe, sprowadzające się do usuwania treści uchodzących, w dniu dzisiejszym, za kłopotliwe? Argument, że tak było zawsze, jest nie do przyjęcia. Czym innym było bowiem „gumkowanie" Katynia w PRL-owskiej szkole, a czym innym usuwanie „budzących wątpliwości" fragmentów z „W pustyni i w puszczy" Henryka Sienkiewicza. Nauczyciel historii był w tamtej, słusznie minionej epoce w sporym kłopocie, gdy nazbyt dociekliwy czy skłonny do prowokowania belfra uczeń pytał na lekcji o pakt Ribbentrop-Mołotow. Podobnie czuł się polonista indagowany o emigracyjne wiersze Wierzyńskiego czy Miłosza. Ale co ma odpowiedzieć nauczyciel polskiego, gdy uczniak w podstawówce zagadnie go nie tylko o rasizm prezentowany jakoby przez Sienkiewicza w „W pustyni i w puszczy", lecz także deklarację złożoną Mahdiemu przez Stasia: „Jestem chrześcijaninem jak mój ojciec"? Czy będzie to bezprzykładny akt odwagi czy już propaganda religijna?

Za sprawą sławnego podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego najbardziej kontrowersyjnym przedmiocie szkolnym, czyli historii i teraźniejszości, pod lupę wzięto te fragmenty, „w których użyto terminologii ujawniającej wyraźną predylekcję dla jakiegoś wyboru światopoglądowego lub politycznego". To jest, niestety, proste niczym konstrukcja cepa, ale już konia z rzędem temu, kto pojmie głębię stwierdzenia, jakoby „usuwano wymagania lub ich fragmenty, które prezentowały jako rzecz ustaloną kwestie, które nie są przedmiotem konsensusu naukowego, a forma wymagania uniemożliwiała taką jego zmianę, aby umożliwić dyskutowanie na lekcji możliwej kontrowersji".

POD OBCYM ZNAKIEM

W nowej szkole czy może inaczej – szkole urządzonej po nowemu – ma nie być miejsca na kontrowersje polsko-żydowskie, do czego już się zdążyliśmy przyzwyczaić, a także polsko-ukraińskie i zwracające szczególną uwagę polsko-niemieckie. I tak z nauki historii, z okresu rozbicia dzielnicowego, usunięte zostały zagrożenia ze strony Marchii Brandenburskiej i zakonu krzyżackiego, a z okresu zaborów kulturkampf i „przejawy odradzania się polskości na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach". Zdaniem ministerialnych rzeczoznawców w okresie drugiej wojny światowej nie miała miejsca współpraca dwóch okupantów państwa polskiego – hitlerowskiego i sowieckiego. Jak widać, nie mieli okazji zapoznać się choćby z książką Aleksandra Bregmana „Związek Radziecki – najlepszy sojusznik Hitlera". O zbrodniach niemieckich, poza Auschwitz, mówi się ogólnikowo bez wyszczególnienia Palmir czy Piaśnicy. Po wojnie problem niemiecki widocznie nie istniał, bo jego charakterystyka nie znalazła uznania ekspertów MEN. Podobnie jak analiza rozliczenia się Niemiec z dziedzictwem nazizmu, która w programie nauczania historii i teraźniejszości obejmowała m.in. karierę kata Warszawy Heinza Reinefartha czy sprawę reparacji i restytucji zagrabionych w Polsce dzieł sztuki.

Unikanie konkretów doprowadza do tego, że w nauczaniu historii w szkole podstawowej możliwe będzie pominięcie w nauce takich postaci jak Zawisza Czarny, bo i nad samym zwycięstwem grunwaldzkim nie warto się będzie rozwodzić.

Odnośnie do kwestii żydowskiej najważniejsze wydaje się stwierdzenie, któremu podporządkowano wszelkie postulowane zmiany; otóż w obowiązujących zapisach programowych dostrzeżono „tendencję do ukazywania Żydów polskich jako przedmiotu tolerancji ze strony władz polskich i ofiar prześladowań ze strony innych potęg [! – przyp. K.M.], a zatem zawsze w relacji do władzy i zazwyczaj z pominięciem innych aspektów ich obecności na ziemiach polskich oraz problematyki lokalnego antysemityzmu (antyjudaizmu)". W efekcie w stosunku Kazimierza Wielkiego do diaspory żydowskiej nie znaleziono niczego godnego zainteresowania i całe zagadnienie usunięto z programu wraz z rodziną Ulmów, a także z wyjaśnieniem, czym jest syjonizm.

W omówieniu konfliktu polsko-ukraińskiego próżno będzie szukać ludobójstwa ludności polskiej na Wołyniu. Nie będzie go i już, bo przecież nikt nie zamierza tłumaczyć, że o decyzji o „pominięciu" tej kluczowej dla całej sprawy kwestii zadecydował tylko tchórzliwy gest hiperpoprawności politycznej.

Iście kuriozalne wydaje się potraktowanie z buta udziału Polaków w Wiośnie Ludów czy zmarginalizowanie powstania wielkopolskiego, powstań śląskich oraz wojny z bolszewikami w roku 1920. Naprawdę tego rodzaju działania mają charakter wybitnie antypatriotyczny. Można się uśmiechnąć na słowa stareńkiego wiersza Władysława Bełzy: „Kto ty jesteś? – Polak mały. / Jaki znak twój? – Orzeł biały" (oczywiście wyrzuconego z podstawy programowej). Ale jaki inny znak chcą wypromować sternicy polskiej szkoły?

TYTUŁY NIEPOPRAWNE

Minister edukacji Barbara Nowacka skonstatowała, nie bez racji zresztą, że na liście lektur nieomal nieobecne są tytuły powstałe w wieku XXI. „Warto się zastanowić nad tym – powiedziała w wywiadzie dla „Super Expressu" – że jak chcemy mieć młodzież z wiedzą, otwartą na świat, to uczniowie muszą też czytać literaturę współczesną".

Oczyma wyobraźni już zobaczyłem w tym miejscu naszą młodzież rozczytującą się w „Księgach Jakubowych" Olgi Tokarczuk niczym ich dziadkowie w „Potopie" Henryka Sienkiewicza (o dziwo, ocalał z resortowej czystki, której łupem padł za to biedny „Janko Muzykant", całymi latami utrzymujący się wśród lektur w podstawówkach). Tymczasem jednak sztandarowe dzieło naszej noblistki nie znalazło jakoś uznania twórców nowej podstawy programowej kształcenia ogólnego, ograniczających szkolną recepcję utworów Olgi Tokarczuk do „Profesora Andrewsa w Warszawie", powstałego, chwalić Boga, na przełomie stuleci, a odnoszącego się do stanu wojennego. Tego samego, który mistrzowsko sportretował Marek Nowakowski w „Raporcie o stanie wojennym", właśnie usuniętym z listy lektur, pewnie dla upamiętnienia przypadającej w maju bieżącego roku 10. rocznicy śmierci wybitnego pisarza. Aby jednak nie powstało wrażenie, że oświatowi rewolucjoniści odwracają się plecami do naszej historii najnowszej, do wzięcia pod uwagę podsuwają zarazem książkę Jacka Dukaja „Wroniec". To przecież znów stan wojenny, tyle że postrzegany okiem dziecka. Na pozór zabieg wydawać się może celowy, w końcu dla dziatwy szkolnej lata 80. zeszłego wieku odległe

eprasa.pl 5ec60e9ca7

są niczym dla młodzieży przedwojennej powstanie styczniowe, a dla roczników powojennych II Rzeczpospolita. Ale na tym właśnie polega sensowna edukacja historyczna i historycznoliteracka, by nie były to lata nazbyt odległe.

Tego jednak obecne władze oświatowe nie chcą przyjąć do wiadomości, skoncentrowane najbardziej na tym, by odchudzić programy, rugując z nich treści z ich punktu widzenia zbyteczne czy wręcz szkodliwe. A wspomnianemu już Dukajowi wyrzucono dla równowagi ze spisu lektur inną pozycję – „Katedrę". Podejrzewać można, że ze względu na wysoce niepoprawny tytuł. To wcale nie żart, podobnie zinterpretować można usunięcie z lektur „Świętego" Jana Józefa Szczepańskiego, fragmentów „Historyi o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim", „Wyznań" św. Augustyna, „Summy teologicznej" św. Tomasza z Akwinu, że o encyklikach Jana Pawła II i jego „Tryptyku rzymskim", jak również o „Zapiskach więziennych" ks. kard. Stefana Wyszyńskiego nie wspomnę. Tłumaczenia, że tego rodzaju literaturę, mylnie zwaną konfesyjną, a lekceważąco kościółkową, należy omawiać na lekcjach religii, brzmią wyjątkowo fałszywie, zwłaszcza w kontekście postulowanego zmniejszenia nauczania religii z dwóch godzin do jednej tygodniowo. A wracając do bardziej współczesnej literatury, którą szkoła podsuwać ma dzieciom i młodzieży, natknąłem się tylko na jeden taki tytuł wśród lektur dla uczniów szkół podstawowych, a mianowicie „Gorzką czekoladę i inne opowiadania o ważnych sprawach" autorstwa m.in. Barbary Kosmowskiej i Pawła Beręsewicza. Zaiste, istotne to uzupełnienie literackiego kanonu.

BYLE CIĘ MOŻNA WSPOMÓC

A teraz o tym, co boli najbardziej. Po długich latach zabiegów o docenienie pisarskiej klasy najlepszego prozaika polskiego połowy zeszłego wieku, pisarza spraw najtrudniejszych z trudnych – Józefa Mackiewicza, znów go nie ma w polskiej szkole, w której zabrakło miejsca na „Drogę donikąd". Co tam zresztą Mackiewicz! Usunięte zostało uznane pewnie za nadto religianckie „Quo vadis" Henryka Sienkiewicza, a z Mickiewicza wypreparowano „Konrada Wallenroda", a i – w szkołach podstawowych – takie utwory jak „Powrót taty", „Śmierć Pułkownika" i „Reduta Ordona". A skoro „Reduta Ordona", to od razu nasuwa się kolejny akt wandalizmu kulturowego dokonany przez uzbrojoną w brzytwy edukacyjną hołotę, bo inaczej nie nazwę tych, którzy usuwają z programu szkolnego „Syzyfowe prace" Stefana Żeromskiego z jej nadzwyczajną lekcją patriotyzmu, którą jest scena recytacji przez ucznia w apuchtinowskiej szkole właśnie „Reduty Ordona".

Cóż się jednak dziwić, skoro tępy, czerwony ołówek ministerialnego „eksperta" wykreśla z listy utworów obowiązkowych „Hymn do miłości ojczyzny" Ignacego Krasickiego?! Intencje są jasne, autor był wszak księdzem, do tego biskupem. Ale czy naprawdę w ramach akcji zadekretowanego przez Sławomira Nitrasa opiłowywania katolicyzmu nie można było poprzestać na wyrzuceniu „Żony modnej" tegoż Krasickiego, co zresztą też uczyniono. Ale żeby wraz z m.in. „Psalmami" Jana Kochanowskiego (!) i lirykami religijnymi Franciszka Karpińskiego skazać na zapomnienie te słowa:

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe.
Kształcić kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe,
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

Zasłanianie się trudnościami językowymi utrudniającymi uczniom zrozumienie powstałych dawno temu utworów jest jeszcze jedną zasłoną dymną. W końcu całkiem niedawno Antoni Libera właśnie dlatego uwspółcześnił „Odprawę posłów greckich" Jana Kochanowskiego, niejako tłumacząc ją na język bliższy współczesnemu odbiorcy. Zbędny wysiłek, można by rzec, bo pierwszy nowożytny dramat polski usuwa się ze szkolnych programów. Jak wiersze Cypriana Kamila Norwida, Jana Lechonia, Tadeusza Gajcego, Jarosława Marka Rymkiewicza.

STRACH SIĘ BAĆ

Barbara Nowacka widocznie pojąwszy, że posuwa się za daleko, zapewniła nagle, że w kierowanej przez nią szkole na pewno na lekcjach historii o rzeziach na Wołyniu i we wschodniej Małopolsce mówić się będzie jako o ludobójstwie. Oznaczać to może tylko jedno, że nie znała projektu kierowanego obecnie do konsultacji, nie firmowałaby bowiem tworu aż tak poronionego. Ale bądźmy poważni, znała ów projekt, i to bardzo dobrze, tyle że teraz w obliczu zmasowanej krytyki pojedyncze kwestie zostaną zredagowane inaczej, a z usuniętych ze szkolnego programu lektur jeden tytuł czy dwa zamieni się na inne.

Taka technika znana jest aż za dobrze. W PRL stosowana była przez twórców w ich grach z cenzurą. Autor książki czy filmu w wersji przedstawionej Głównemu Urzędowi Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk zamieszczał sceny, które w żadnym wypadku nie mogły zostać zaakceptowane, czego był świadomy, ale z pełną premedytacją wykłócał się o nie, by w końcu przystając na użycie nożyczek w kilku miejscach, przemycić to, na czym zależało mu najbardziej. Zyskiwał przy tym opinię człowieka rozsądnego, rozumiejącego rację stanu i doceniającego wagę argumentów swego polemisty. Tak też będzie ze zmianami w podstawie programowej kształcenia szkolnego dla szkoły podstawowej i ponadpodstawowej. W czerwcu ministra Nowacka złoży pod nimi podpis i od 1 września bieżącego roku wejdą w życie, począwszy od IV klasy podstawówek. Całkowicie nowa podstawa programowa, nad którą – strach się bać – już pracują ministerialni eksperci, obowiązywać będzie od początku roku szkolnego 2026/2027 w szkołach podstawowych, a od roku szkolnego 2028/2029 w szkołach ponadpodstawowych. Można mieć jedynie nadzieję, że wtedy już mieć będziemy zupełnie inne kierownictwo MEN.

Na razie poważnie wzmocnić trzeba nauczanie domowe, zwłaszcza języka polskiego i historii. Mamy pod tym względem bogate tradycje. A łaskawych czytelników proszę o zapamiętanie tych nazwisk: minister Barbara Nowacka, sekretarze stanu: Katarzyna Lubnauer, Joanna Mucha i Henryk Kiepura oraz podsekretarze stanu: Paulina Piechna-Więckiewicz i Izabela Ziętka. To towarzystwo, stanowiące obecnie kierownictwo Ministerstwa Edukacji Narodowej i firmujące przedłożone do konsultacji zmiany w programie nauczania, nie tylko nie powinno decydować o kształcie polskiej szkoły, lecz także otrzymać zakaz zbliżania się do wszelkich placówek oświatowych. Dożywotni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Najsmutniejsza historia Tomasza Komendy

Zuzanna Dąbrowska

Najpierw 18 lat spędzonych niesłusznie w więzieniu, następnie filmowy zwrot akcji i odzyskanie wolności, a później trudy życia i choroba. W wieku 46 lat zmarł Tomasz Komenda

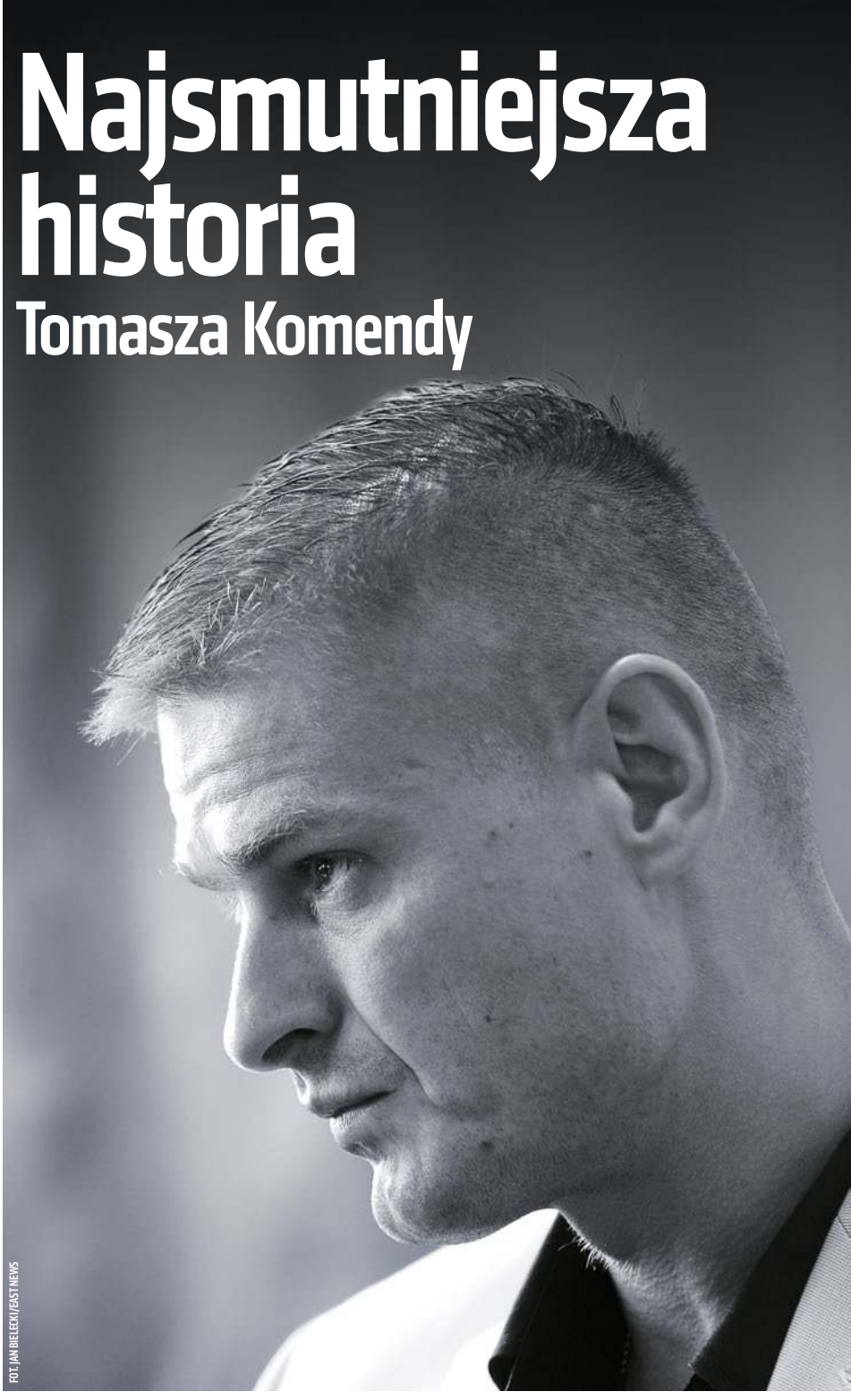

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Jestem na chemii, włosy już mi odrosły. Żyję z tym, że był rak, teraz nie ma, ale nie wiadomo, czy znowu nie wróci. Do operacji się nie nadawał. Ciężko mam. Ciekawe, kiedy zrzucę w końcu ten krzyż, już należałoby mi się trochę spokoju – mówił Tomasz Komenda w wywiadzie dla dziennikarki „Gazety Wyborczej". Komenda chorował na raka płuc. O jego chorobie po raz pierwszy powiedziała Anna Walter. To wielka miłość mężczyzny, była narzeczona. Ich związek nie przetrwał próby czasu. Para, która miała dziecko, rozstała się, a kobieta oskarżyła Komendę o niepłacenie alimentów na ich syna. „W sądzie przedstawił, że ma nowotwór z przerzutami i brak szans. Nie chciałam mu niszczyć ostatnich dni życia, prosiłam go i błagałam tysiąc razy, żebyśmy się polubownie dogadali" – pisała w oświadczeniu Walter.

Matka Komendy, Teresa Klemańska, prosi o uszanowanie prywatności i pozostawienie rodziny w spokoju. – To dla mnie i całej rodziny straszny czas – przekazała dziennikarzom w środę 21 lutego, czyli w dniu, gdy zmarł jej syn. Ich relacje nie były łatwe. Rok temu żaliła się, że syn odsunął się od rodziny i w ogóle się z nią nie kontaktuje. – Tomek chciał sam sobie życie ułożyć, ale nie udało mu się chyba, bo nie ma nic. Jeżeli może, to niech usunie tatuaż z rękawa z napisem „Kocham cię mamo", bo jest nieprawdziwy i fałszywy. To jest kłamstwo. Po co ten napis? Przecież ja już dla niego umarłam. On mnie pochował żywcem – mówiła. Jeszcze na początku roku nie chciała rozmawiać o synu. Nie mieli ze sobą kontaktu. – Mimo wszystko kocham Tomka. Gdy zapuka do drzwi, zawsze mu otworzę – powiedziała wtedy. Teraz przyznała, że udało się im pogodzić. – Ale z jego śmiercią nie pogodzę się nigdy – podkreśliła Klemańska.

Matka od początku nie miała wątpliwości, że jej syn jest niewinny. Regularnie przychodziła pod więzienie z lornetką, a on wypatrywał jej z okna. W przeszłości matka wspominała o zgubnym wpływie na jej syna pieniędzy, które otrzymał od Skarbu Państwa za lata niesłusznego uwięzienia. To 12 mln zł zadośćuczynienia i 811 533,12 zł odszkodowania. Gdy tylko wpłynęły na konto, Komenda wypłacił część i dał matce.

WIARA DO KOŃCA

Pełnomocnik Komendy, mec. Zbigniew Ćwiąkalski, powiedział, że „był informowany o poważnym stanie zdrowia

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Komendy". „Wydawałoby się, że po tych 18 latach nareszcie mu się życie ułoży, tym bardziej że sytuacja finansowa była w tym momencie korzystna ze względu na uzyskane przez niego odszkodowanie i zadośćuczynienie, ale w rzeczywistości los zgotował mu dalszy ciąg tragedii, która doprowadziła do jego śmierci" – wskazał w rozmowie z PAP.

Mecenas Ćwiąkalski wspomina, że pomimo traumatycznych przejść Komenda był spokojnym człowiekiem. „Nie słyszałem, żeby on kiedykolwiek podniósł głos, chociaż z drugiej strony wiadomo było, że 18 lat w zakładzie karnym, w bardzo trudnych warunkach, w celach wieloosobowych, gdzie szczególnie źle go traktowano, spowodował jednak zmianę w jego osobowości i trudno było mu się przystosować do warunków życia na wolności" – przekazał pełnomocnik.

Jednymi z pierwszych ludzi, którzy pomogli Komendzie po opuszczeniu więzienia w zorganizowaniu się na nowo, byli bracia Greg i Rafał Collins (przedsiębiorcy i działacze społeczni). „W restauracji podchodzi do nas kelner i proponuje różne wina, opowiada o nich, o tym, ile leżakowały, itd. Tomek spogląda na niego i mówi z uśmiechem na twarzy oraz ogromnym dystansem: Na leżakowaniu to ja się akurat znam. Takiego chcę go zapamiętać, bo to był wesoły chłopak, mimo wszystko i wszystkich okoliczności dobry człowiek. Co za historia…" – napisał na Facebooku Rafał Collins w dniu śmierci 46-latka. „Najgorsze jest to, że my mieliśmy wiedzę, jak poważna to jest choroba. Tomek jeszcze często miał takie przekonanie, że z tego wyjdzie. My specjalnie przez rok nie komentowaliśmy niczego, bo po prostu chcieliśmy, żeby miał jak najwięcej świętego spokoju i czas na leczenie. W ostatnich tygodniach i dniach już wszyscy wiedzieliśmy, że to po prostu jest bardzo trudna sytuacja" – dodał Collins.

OSIEMNAŚCIE LAT CZEKANIA

Tomasz Komenda trafił za kraty w 2000 r., w związku z tzw. zbrodnią miłoszycką. W noc sylwestrową z 1996 na 1997 r. doszło do zgwałcenia, a następnie zamordowania 15-letniej Małgorzaty Kwiatkowskiej. W 2004 r. mężczyznę skazano na 25 lat więzienia za zgwałcenie i zabójstwo Małgosi. – Przyznałem się do tego, ale tylko z tego powodu na policji się przyznałem, bo […] ci, którzy mnie zatrzymywali, powiedzieli, że mają na mnie takie, jakie mają, dowody. I zaczęli mnie bić, żebym się do tego przyznał, że ta sprawa za długo trwa, że nie mogą odnaleźć prawdziwych sprawców i ja muszę się do tego przyznać, bo inaczej nie wyjdę żywy z ich pokoju. I po prostu tak mnie bili, że nawet bym się przyznał, że strzelałem do papieża, nie? – tak Komenda tłumaczył po latach, dlaczego przyznał się do zbrodni, której nie popełnił. Zatrudniony w myjni samochodowej nieśmiały chłopak po szkole specjalnej stał się idealnym kozłem ofiarnym aparatu, który nie był w stanie ująć odpowiedzialnych za to bestialskie morderstwo. Oprócz przyznania się do winy na skazaniu zaważyły fałszywe opinie biegłych. Ponadto alibi Komendy, które potwierdziło 12 osób (sic!), zostało zignorowane.

W wieku 41 lat Tomasz Komenda zaczął życie po raz drugi. W licznych wywiadach wspominał, że ma nadzieję, iż zdoła nadrobić stracony czas

Wybawicielem Tomasza Komendy stał się policjant Remigiusz Korejwo z CBŚP. W 2016 r. zaczął na nowo badać „zbrodnię miłoszycką". – Pojechaliśmy do Tomka, żeby go przesłuchać. Przeczuwaliśmy, że może być niewinny, ale to był jeszcze początkowy etap. Nie mieściło nam się wówczas w głowie, że system, cała ta machina – sądy, biegli, organy ścigania – popełniła taki potężny błąd – opowiadał już po uwolnieniu Komendy. – Tomek nie mógł wiedzieć o naszych czynnościach, bo działaliśmy w największej tajemnicy. To była scena dokładnie, jak ta pokazana później w filmie. „Czekałem na was 18 lat" – powiedział. On wiedział, że wierzymy w jego niewinność – relacjonował Korejwo. Policjant przyznał, że stan Komendy w więzieniu był bardzo zły. – Wyglądał wtedy strasznie. Wysoki, przeraźliwie chudy, blady. Jak człowiek siedzi w więzieniu i nie wychodzi na słońce przez tyle lat, to jego skóra staje się papierowa, wręcz przezroczysta. To był człowiek bardzo zniszczony psychicznie, ale w tym momencie, kiedy do niego przyszliśmy, przywitał nas z taką nadzieją w oczach. Mimo że wyglądał na osobę, która nie ma siły już z tym wszystkim walczyć, widziałem w nim jednak wtedy taką nadzieję, ogromną chęć życia – opowiadał funkcjonariusz. Dzięki uporowi śledczych w marcu 2018 r. Sąd Okręgowy we Wrocławiu warunkowo zwolnił Komendę z odbycia kary, a w maju Sąd Najwyższy uniewinnił mężczyznę. Dwa lata później skazano prawdziwych sprawców śmierci Małgosi.

DRUGIE ŻYCIE

W wieku 41 lat Tomasz Komenda zaczął życie po raz drugi. W licznych wywiadach wspominał, że choć pobyt w więzieniu to był istny horror (mówił o znęcaniu psychicznym i fizycznym, trzy razy próbował popełnić samobójstwo), to ma nadzieję, iż zdoła nadrobić stracony czas. W blasku fleszy rozwijał się jego związek z Anną, którą poznał przez Internet. Zaręczyny pary odbyły się w niezwykłych okolicznościach – podczas premiery filmu Jana Holoubka „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy". Zakochanym urodził się syn Filip.

Sielanka nie trwała długo. Według relacji znajomych Komendy, wśród nich badającego od lat jego sprawę reportera TVN24 Grzegorza Głuszaka, ogromne zadośćuczynienie od państwa wcale nie sprawiło, że żyło mu się łatwiej. Komenda miał zostawić rodzinę z długami. Partnerka oskarżała go o przemoc i uchylanie się od alimentów. „On wynajmuje apartament we wrocławskim Sky Tower, w którym ceny zaczynają się od 500 zł za noc. Ma pieniądze, ale przestaje łożyć na syna. Najpierw podważa ojcostwo, potem grozi Annie, że zabierze jej dziecko" – opowiadał Głuszak.

Wokół Komendy i jego pieniędzy zaczęli pojawiać się różni „przyjaciele", którym zależało tylko na korzyściach majątkowych. Rozłam pojawił się także w rodzinie. Matka oskarżała jego brata Gerarda o to, że odcina Tomasza od bliskich z jej strony.

W ostatnich miesiącach Komenda bardzo niechętnie rozmawiał z dziennikarzami. Ostatniego wywiadu udzielił latem 2023 r., gdy opinia publiczna wiedziała już o jego chorobie. Ani prokuratorzy, ani biegli, ani sędziowie i ławnicy, którzy swoimi błędnymi decyzjami przyczynili się do odebrania Tomaszowi Komendzie 18 lat życia, nie ponieśli konsekwencji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

W sercu Diuny

Piotr Gociek

Druga część „Diuny" jest opowieścią o polityce i religii, a zwłaszcza o miejscu, w którym się przecinają i zaczynają nawzajem napędzać. Jednak przede wszystkim to niesamowity spektakl

Pierwsza część filmu „Diuna" była opowieścią o stracie. Ród Atrydów, któremu powierzono zarządzanie najważniejszą planetą we wszechświecie, wpadł w pułapkę zastawioną przez wpływowych wrogów: imperatora Szaddama oraz złowrogi ród Harkonnenów. Książę Leto został zamordowany, jego armia wybita, a wdowa i jedyny syn – Paul – cudem uratowani znaleźli schronienie na pustyni, wśród Fremenów, rdzennych mieszkańców Diuny. O ich ocaleniu nie wie jednak nikt, dla reszty imperium sprawa jest jasna: spokój panuje w Arrakin (stolicy planety Arrakis zwanej także Diuną), Atrydów już nie ma, Harkonneni triumfują i to oni będą się teraz bogacić na produkcji przyprawy – substancji, która umożliwia podróże międzygwiezdne.

Była to opowieść o stracie rodziny, o stracie sojuszników i stracie wiary. Zdrada legła u podstaw klęski rodu, którego nawet jego przeciwnicy uważali za rodzinę prawą i szlachetną. Młody Paul i jego matka Jessika mogliby powtórzyć za Zbigniewem Herbertem: „Patrzymy w twarz głodu twarz ognia twarz śmierci / najgorszą ze wszystkich – twarz zdrady".

Film zatytułowany po prostu „Diuna: Część druga" jest opowieścią o przemianie. Młody Paul z wygnańca staje się przywódcą, ze zwierzyny łownej zamienia się w mściciela, z niewinnego dzieciaka w zakochanego mężczyznę, z Atrydy we Fremena. Jego matka z narzędzia w rękach zakonu Bene Gesserit zamienia się w matkę wielebną, jedną z najważniejszych figur życia Fremenów; przemiana dotknie nawet nienarodzone jeszcze dziecko Jessiki, siostrę Paula. Arrakis, Diuna, odmienia ludzi. „Bóg stworzył Arrakis, by hartować wiernych" – zapisała w księdze „Mądrość Muad'Diba" księżniczka Irulana.

O POLITYCE I RELIGII

Jednocześnie jest druga „Diuna" opowieścią o polityce i religii, a zwłaszcza o miejscu, w którym się przecinają, przetykają i zaczynają nawzajem napędzać. „Kiedy religia i polityka jadą na tym samym wozie, kiedy wozem tym powozi żywy święty (baraka), nic nie może stanąć na ich drodze". To fragment nauk zakonu Bene Gesserit, którym autor powieści „Diuna" zakończył jeden z dodatków do swojej książki – ten poświęcony religii. Jest to także motto nowego filmu Denisa Villeneuve'a.

Żywym świętym staje się na naszych oczach Paul Atryda, już nie tylko dziedzic rodu Atrydów, lecz także także Paul Muad'Dib, Lisan al-Gaib, Głos Spoza Świata, mahdi, który poprowadzi wiernych do raju. Marzenie o raju jest na pustynnej planecie proste: kiedyś Diuna znów będzie zielona, kiedyś znów będzie tu obfitość wody, a zamiast morza wydm rozciągać się będą wokół prawdziwe morza. To wspaniały cel, nawet jeśli po drodze przejść będzie trzeba przez dżihad, świętą wojnę. Ale nikt nie poskąpi życia, bo „pamięć tego, kto zginął w ten sposób, żyć będzie dopóty, dopóki żyje ludzka pamięć" – uważają Fremeni.

Problem w tym, że proroctwo jest fałszerstwem. Aby zrozumieć jego naturę, trzeba wyjaśnić rolę, którą w uniwersum Diuny odgrywa zakon Bene Gesserit. Jest to organizacja quasi-religijna, której celem jest hodowanie lepszej ludzkości. Działając zakulisowo, koligacąc ważne rodziny, sięgając po wszelkie intrygi, członkinie Bene Gesserit doprowadzają do zachowania i przedłużania pożądanych – z ich punktu widzenia – linii krwi i do krzyżowania ich z innymi. Cel to stworzenie nadczłowieka, Kwisatz Haderacha, „tego, który może być w wielu miejscach naraz", istoty obdarzonej niezwykłymi zdolnościami umysłu. Jako że Bene Gesserit niezmiernie poważnie traktują swoje zadanie, równie poważnie dbają o własne bezpieczeństwo. Missionaria Protectiva, specjalna gałąź zakonu, prowadzi misjonarską działalność w całym zamieszkanym wszechświecie, rozsiewa informacje, plotki i legendy, które po latach i stuleciach mają pomagać

eprasa.pl 5ec60e9ca7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kolejnym generacjom Bene Gesserit w ich dziele. Jedną z planet, na której zasiano podobne legendy, jest Diuna. To właśnie dzięki temu lady Jessika i jej syn Paul tak łatwo zostali zaakceptowani przez Fremenów. Od chwili, gdy ród Atrydów pojawił się na Arrakis, rozpoczęło się tam niezwykłe ożywienie religijne, w którego centrum znaleźli się Jessika i Paul.

Film Villeneuve'a jest wspaniałym widowiskiem, które w warstwie wizualnej nie ustępuje pierwszej części, a może nawet w niektórych miejscach ją przewyższa. Zdjęcia Greiga Frasera są fenomenalne, ciężka i kosztowna robota speców od efektów jest doskonale wpleciona w materię opowieści; nigdy nie są to popisy same dla siebie. Do gwiazdorskiej obsady znanej z pierwszej części dołączają kolejne talenty. Austin Butler gra socjopatę Feyd-Rauthę Harkonnena (którego u Lyncha zagrał popisowo Sting). Florence Pugh wciela się w księżniczkę Irulan, córkę padyszacha Szaddama IV, a samego imperatora zagrał Christopher Walken obdarzony unikatową umiejętnością – zajmie wiele miejsca w naszej pamięci, choć jego czas ekranowy jest nader skromny.

PUSTYNNY HAMLET

W centrum opowieści mamy jednak przede wszystkim Paula Atrydę (coraz lepszy z filmu na film Timothée Chalamet) oraz jego fremeńską ukochaną Chani (Zendaya). Pierwsza godzina filmu to po prostu love story: Paul ucząc się życia na sposób fremeński, otwiera się także na uczucie. Chani głęboko pokocha Paula księcia, Paula mściciela, Paula wroga Harkonnenów, ale wątpiła będzie w jego wyjątkowe przeznaczenie jako mesjasza. A przemiana Paula – niechętna, bo on sam ma wielkie wątpliwości co do swego przeznaczenia i twierdzi, że żadnym zbawcą nie jest – okaże się najważniejsza w środkowych partiach niemal trzygodzinnej opowieści. Szczerze? Choć chwilami miałem poczucie znużenia, to nie miałbym nic przeciwko temu, by druga „Diuna" była o pół godziny albo i o godzinę nawet dłuższa. To wspaniały spektakl typu „w życiu czegoś takiego nie widziałem!". Villeneuve, w odróżnieniu od reżyserów i scenarzystów ze stajni Marvela, potrafi wywołać u widza prawdziwy efekt „wow!", podejmując często bardzo nieoczywiste decyzje. Przecież gdyby bracia Russo mieli w rękach ten film, to finałowa sekwencja ataku Fremenów na siły Harkonnenów trwałaby pewnie ze dwie nudne godziny. Villeneuve daje nam kilka niesamowitych kadrów (proszę spojrzeć, co wiatr robi z polem siłowym wokół statku imperatora), a potem – z zgrozo! – pozwala kluczowym scenom rozegrać się poza polem naszego widzenia. Bo nie bijatyka jest tu najważniejsza, lecz postacie i ich wybory.

Będą to wybory bardzo trudne i okaże się, że w chwili triumfu wszyscy w jakiś sposób będą przegrani: zarówno zwycięzcy, jak i pokonani. Paul nie chciał zostać mesjaszem, bo nowe moce, które posiadł na Arrakis, pozwoliły mu dostrzec niepokojącą przyszłość: jeśli zaakceptuje rolę pionka proroctwa, to działy się będą straszliwe rzeczy, zginą miliardy ludzi, opustoszeją dziesiątki planet. A wszystko to w jego imieniu, w ramach dżihadu prowadzonego pod sztandarami Atrydów i Fremenów. Ponadto akceptacja proroctwa jest jedyną drogą do pomsty za krzywdy rodziny, za niezmierzone zbrodnie Harkonnenów i za zdradę padyszacha Szaddama. Pustynny Hamlet nie będzie mógł w nieskończoność odwlekać wyboru.

TRZECI FILM CYKLU

Jeśli miałbym wskazać słabości drugiej części „Diuny", to – mimo aktorskiego kunsztu Chalameta – jedną z nich jest punkt zmiany księcia z mahdiego. W powieści stało się to niepostrzeżenie, w filmie wypada mniej przekonująco. Kluczowa dla kultu Muad'Diba postać Stilgara, Fremena głęboko wierzącego w przeznaczenie Paula, jest zanadto komediowa. Wiem, chodziło o wskazanie, że tylko łatwowierni nabierają się proroctwa, ale przecież w książce nigdy się ze Stilgara nie podśmiewaliśmy, tylko mieliśmy dla niego wielki szacunek (którego nie szczędził mu sam Paul, nazywając go najwierniejszym z wiernych). Podejście do kwestii religijnych to zresztą najbardziej dla mnie kontrowersyjna zmiana w filmowej adaptacji. W powieści Franka Herberta nigdzie nie znajdziemy słowa „fundamentalista", którego kilkakrotnie użyto w scenariuszu drugiej części „Diuny", wprowadzając pojęcie absurdalne z punktu widzenia spójności świata przedstawionego. Fremeni uwierzyli w Paula, nie zaś podzielili się na „Kościół otwarty" i „Kościół zamknięty". Podejrzewam, że ze względu na zadziwiające podobieństwo kultury Fremenów do kultury pustynnych Arabów cofnął się reżyser z obawy przed atakami zwolenników politycznej poprawności i postanowił znaczyć, że w proroctwa i dżihad wierzą jedynie „fundamentaliści", czyli tacy gorsi, głupawi wierni. Kłopot w tym, że „Kościół Muad'Diba" nie jest jeszcze na sekularyzacyjnym rozdrożu. Za wcześnie na to.

Przyklaskuję za to Denisowi Villeneuve'owi, gdy mówi, że chce nakręcić trzeci film. Tak, jest on konieczny. Dwa pierwsze, oparte na pierwszej powieści cyklu, wyczerpują historię księcia Paula – on dotarł już do swego kresu – ale nie wyczerpują historii Muad'Diba, proroka i przywódcy świętej wojny. Na razie opowiedziano dzieje jego narodzin i wzlotu. Trzeba też ukazać efekt jego działań i związany z tym upadek. Kto czytał powieść „Mesjasz Diuny", ten wie już wszystko. Reszta świata czeka na film numer trzy.

DENIS VILLENEUVE
„DIUNA: CZĘŚĆ DRUGA"
USA/KANADA
2024

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Jubileusz! Jubileusz!

Sławomir Gralka

8 marca 1944 r. urodził się w Warszawie przyszły wybitny pisarz, wyborny felietonista, doskonały historyk sztuki, bibliofil, patriota Waldemar Łysiak. Jednocześnie rok 2024 jest rokiem szczególnym, bo w tym roku mija 50 lat (pół wieku!) od ukazania się jego debiutanckiej powieści pt. „Kolebka"

FOT. JERZY GUMOWSKI

Waldemar Łysiak urodził się kilka miesięcy przed powstaniem warszawskim, a jego chrzest odbył się w bardzo niecodzienny sposób, mianowicie do chrztu pojechał „zarekwirowaną" esesmańską bryczką! Proszę sobie wyobrazić – w środku siedzi przerażona matka z małym dzieckiem, po bokach powozu ojciec i jego kumple (członkowie AK) z odbezpieczonymi pistoletami! A po uroczystości w kościele św. Floriana woźnica otrzymał sowitą zapłatę i obietnicę zgonu, jeżeli piśnie choć jedno słowo Niemcom. Wkroczyć w życie z takim przytupem… no! Ale że życie nikogo nie rozpieszcza, to w czasie powstania warszawskiego zginęły dwie jego starsze siostry. On przeżył…

NAGRODA Z CENZURĄ

Bardzo ciekawym rokiem w jego biografii jest rok 1957, i to aż z trzech powodów. Właśnie w tym roku nazwisko Łysiak ukazało się po raz pierwszy w prasie – Waldemar został zwycięzcą konkursu rysunkowego ogłoszonego przez czasopismo „Przygoda". Nagrodę główną (radio Pionier) otrzymał, ale jego zwycięska praca nie została opublikowana, bo cenzor dopatrzył się rzeczy potwornej: tłum walczących na rysunku Łysiaka ma detale skandaliczne – pułki smoleńskie, których tarcze ozdabiały mikroskopijne sierpy i młoty, strzelały w plecy polskiemu rycerstwu!

Zasłynął też jako „podpalacz szkoły". W szkole, do której wtedy uczęszczał, odbywała się akademia „ku czci" rewolucji październikowej, a więc żeby to wydarzenie odpowiednio „uczcić", podpalił w szkole z kolegą stare klisze fotograficzne. Dużo dymu, panika, straż pożarna i odwiedziny „smutnych panów" w domu rodzinnym Waldemara.

Skąd tyle pogardy u takiego młodego człowieka do lewactwa, komunizmu, czyli systemu pochodzącego z obory? A spod stołu! Naprawdę! Do jego ojca Stanisława przychodzili na „pogaduchy" jego dawni koledzy z AK, a wtedy mały Walduś z jeszcze mniejszym bratem Henrykiem wchodzili cichaczem pod stół, gdzie przysłuchiwali się opowieściom o niemieckiej okupacji, o polskich powstaniach i polskich bohaterach. Kto wie, czy te opowieści nie były najważ-

eprasa.pl 5ec60e9ca7

niejszym wychowaniem obywatelskim dla Łysiaka. Prawdopodobnie w tym samym roku nastąpiło pewne zdarzenie, bez którego być może nie zaistniałby Łysiak jako przyszły pisarz.

Do pokoju dziecięcego wszedł tata Stanisław, położył na stole piękną książkę z dużą literą „N" i poprosił: przeczytaj. Pod wpływem tej lektury młody człowiek już na zawsze został „zaczarowany" epoką napoleońską, a w przyszłości będzie najwybitniejszym znawcą tej epoki.

Ta wiedza była impulsem do wzięcia udziału w konkursie literackim z okazji 50-lecia ZLP i 25-lecia PRL. To była również chęć sprawdzenia się jako prozaik, bo przecież już od wielu lat był publicystą w różnych czasopismach (np. „Stolica", „Myśl Społeczna"), ale co innego pisać artykuły publicystyczne, a co innego tworzyć powieści.

Napisał powieść „Kolebka", która została nagrodzona w 1971 r., a na rynku księgarskim ukazała się w roku 1974. Powieść ta opisuje losy dwóch braci Polaków w momencie przybycia Napoleona i jego wojsk do Polski, która wtedy była od wielu lat pod zaborami. Książka ta zaskakuje niesamowitą dojrzałością warsztatową, a cały utwór napisany jest przepiękną polszczyzną. Nawet ci, którzy nie przepadają za książkami historycznymi, znajdą tutaj coś, co się nazywa radością z czytania. Do tej pory ukazało się pięć wydań „Kolebki" o łącznym nakładzie 150 tys. egzemplarzy. Ta powieść była swoistym „wejściem smoka" Łysiaka w świat literatury. Od tego debiutu wszystkie jego książki aż przez 40 lat zostawały bestselerami i sprzedawały się znakomicie.

Waldemar Łysiak i autor tekstu przed szkołą, którą pisarz próbował podpalić

FOT. ARCHIWUM SŁAWOMIRA GRALKI

OSOBA NIEPOKORNA

Z lektur książek Łysiaka można się nauczyć, że historia to nie tylko nauka, lecz także sztuka, że nie tylko zachodzące procesy są ważne, lecz także ludzie, którzy je tworzą.

Jednocześnie przez te wszystkie lata pisarz dał się poznać jako osoba niepokorna. W czasach PRL walczył z cenzurą (lub cenzura z nim…), a po 1989 r. walczył z polityczną poprawnością. I tutaj okazuje się, że człowiek, który ma jasne, konserwatywne poglądy, nagle otrzymuje łatkę „kontrowersyjnego", próbuje się go najpierw ośmieszyć, oczernić, a na koniec zamilczeć. Jednak Łysiak stworzył zbyt wiele arcydzieł, by takie gierki mogły mu zaszkodzić. Jeszcze dziś nawiedzone feministki, kiedy słyszą o wybitnej powieści mistrza – „Statek" – dostają furii! Dlaczego? Bo zbyt dużo prawdy mogły tam o sobie wyczytać!

A że nie wszystkich można kupić, niech świadczy ta urocza anegdota. Kiedy ukazało się pierwsze wydanie „Malarstwa białego człowieka" i było już wiadomo, że Łysiak stworzył dzieło pomnikowe, do autora zgłosił się przedstawiciel zachodniego wydawnictwa z propozycją przedruku, wielkich pieniędzy, za drobiazg, za zmienienie tego „rasistowskiego" tytułu. Łysiak odpowiedział krótko „Sp……. na drzewo!". Słyszycie? To „nie" wolnego człowieka?

Waldemar Łysiak to pisarz zadziwiający. Eremita, wybitny erudyta, doskonały gawędziarz, samotny wilk, odludek nienależący do żadnej koterii. Prawie w ogóle nie spotykał się ze swoimi czytelnikami, bo – jak sam twierdzi – „Łysiak jest do czytania, a nie do oglądania".

Jego twórczość trudno zaklasyfikować, bo napisał kilka znakomitych prac o epoce napoleońskiej (np. „Cesarski poker", „Empirowy pasjans"), książki poświęcone kulturze Włoch i Francji („Wyspy zaczarowane", „Francuska ścieżka"), napisał też doskonałe nowele kryminalne („Perfidia" – 400 tys. sprzedanych egzemplarzy!).

Waldemar Łysiak jest również znakomitym twórcą powieści współczesnych, a zwłaszcza przepięknej trylogii – „Dobry", „Konkwista", „Najlepszy". Brawurowo się rozprawił z tezą tzw. mniejszego zła w swojej powieści „Cena". Jednocześnie wyszło aż osiem tomów jego publicystyki, która ukazywała się w różnych czasopismach. Te ostatnie – wiadomo – w „Do Rzeczy".

Trudno jednym słowem określić tak wszechstronnego pisarza, który odniósł sukces w każdej dziedzinie, którą zaszczycił swoim piórem. I jeszcze jedno: Łysiak jest wybitnym polskim bibliofilem, a bibliofilstwo to jeden z ostatnich bastionów patriotyzmu. Zbiory, które ujawnił w „Wyspie zaginionych skarbów" czy też w „Empireum", mogą powodować zawrót głowy…

Drogi Waldemarze, w tym szczególnym roku wielbiciele Twojej twórczości życzą Ci długich lat życia w spokoju i w zdrowiu, a czas pokaże, że Twoje dzieła będą nieśmiertelne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE

Problem dwóch ciał

★★★★☆☆

REŻ. THIERRY POIRAUD „MISJA INFINITI" („INFINITI")
FRANCJA 2022

wyst. Céline Sallette, Daniyar Alshinov, Vlad Ivanov

Po zderzeniu kapsuły z zaopatrzeniem z Międzynarodową Stacją Kosmiczną załoga walczy o życie. Kontrola misji w kosmodromie Bajkonur wzywa na pomoc kosmonautkę, która miała pół roku wcześniej polecieć na orbitę, ale z powodów zdrowotnych została zastąpiona. Czy ruszy na ratunek? A może ważniejsze rzeczy dzieją się na Ziemi, gdzie kazachski policjant głowi się nad zagadką bezgłowych ciał? Czy to możliwe, żeby te same osoby przebywały jednocześnie na orbicie oraz leżały w miejskiej kostnicy?

Sześcioodcinkowy serial krzyżujący fantastykę z kryminałem można śmiało określić mianem „Kazach noir", realia podupadającego Bajkonuru są oddane świetnie. Kazachowie, choć biedni, dumni są ze swojej niepodległości i nie cierpią, kiedy Rosjanie wtrącają się w ich sprawy. A czasem się wtrącają, bo Bajkonur to rosyjska enklawa w obcym kraju. I nie jest to spokojne sąsiedztwo. Z odcinka na odcinek robi się ciekawiej, bo najwyraźniej kilka konkurencyjnych frakcji (za misję odpowiadają Rosjanie, Francuzi, Amerykanie i Chińczycy) zaciekle ze sobą walczy, tymczasem wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z zagadką nadnaturalną. Byłby z tej opowieści dumny Chris Carter, twórca serialu „Z Archiwum X".

Jest nastrój tajemnicy, jest posępny obraz kazachskiego pustkowia, są wiarygodne realia. Siedziba misji kontroli lotów Bajkonur wygląda jak centrum konferencyjne z lat 70., policjanci jeżdżą gruchotami, miejscowe knajpy i pensjonaty to baraki opatrzone szyldami wciąż pisanymi cyrylicą.

Z kolei gdy zaczynamy mieć wątpliwości, czy aby fabuła nie jest zanadto wydumana, rzecz ratują aktorzy. Dobra jest Céline Sallette jako astronautka Anna, lecz przedstawienie kradnie dwóch miejscowych: Daniyar Alshinov jako uparty gliniarz oraz Yerken Gubashev jako jego szef i szwagier.

Pięć intrygujących odcinków i szósty, który podzieli publiczność – to nie jest zły bilans. „Misję Infiniti" ogląda się jak komunikat z innego świata. Serial nakręcono w 2022 r., ale w tle nie ma ani słowa o wojnie, Ukrainie, Putinie. Za to Amerykanie spiskują z Chińczykami (?), by wyrzucić Rosjan z kosmicznego biznesu. Nie mogło też zabraknąć sceny, w której szefowa Roskosmosu wraz z weteranem sowieckich misji kosmicznych wspominają, jak dobrze było być kiedyś zwykłymi towarzyszami socjalistycznymi. ©℗

NOWE SERIALE: „NOWY STYL"

tv

Christian Dior (Ben Mendelsohn) kontra Coco Chanel (Juliette Binoche) we Francji pod butem Hitlera, na okrasę John Malkovich i gościnnie Glenn Close. Co mogło pójść źle? Serial tonie pod ciężarem kiepskich dialogów, fatalnych akcentów i historycznych nieścisłości. Czy naprawdę największym złem niemieckiej okupacji było to, że ciężko było szyć sukienki? Niektóre sceny robią wrażenie parodii wyjętych z programów „Saturday Night Live", a przecież miało być wzruszająco i na poważnie. ***Piotr Gociek***

• *miniseria* ***„Nowy styl" („The New Look")***, *USA 2024*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Ted"***, *USA 2024* — sky SHOWTIME

• *sezon 3* ***„Rojst. Millenium"***, *Polska 2024* — N

• *reż. Ray Romano* ***„Gdzieś w Queens" („Somewhere in Queens")***, *USA 2023* — HBO max

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Śmierć pod Alpami

KINO

Są filmy długie, które się nie dłużą. „Anatomia upadku" należy do najbardziej udanych dramatów sądowych w historii kina. Hüller zaś to jedna z najlepszych europejskich autorek średniego pokolenia, a może nawet najlepsza z nich. Stary Kontynent, wiadomo, jest przeżarty cynizmem, więc padający z ekranu bon mot o korzyściach płynących z posiadania pieniędzy nie dziwi. Rzeczywiście „lepiej płakać we własnym samochodzie niż w metrze". Pieniądze są główną przyczyną kryzysu małżeństwa Sandry. Jego koniec jest drastyczny: Samuel leży martwy pod domem. Okoliczności zrazu wskazują na nieszczęśliwy wypadek, ale z czasem śledczy zaczną podejrzewać, iż sprawy miały się inaczej. Wdowa oszczędnie dawkuje informacje, jej francuszczyzna odbiega od ideału, a na domiar złego kobieta para się pisarstwem. Literat morderca? Kryminalistyka notuje podobne przypadki, kinematografia tym bardziej. Sandra pomysły czerpała z własnego życia, w jej prozie da się znaleźć podejrzane fragmenty. Kluczowe są jednak zeznania nieletniego syna.

★★★★★☆

REŻ. JUSTINE TRIET
„ANATOMIA UPADKU" („ANATOMIE D'UNE CHUTE")
FRANCJA 2023

wyst. Sandra Hüller, Milo Machado Graner, Swann Arlaud

Dorośli wiedzą, że w sądach najmniej chodzi o prawdę, a „ludzie kryształowi" istnieją tylko w politycznej propagandzie. Wyrok nie przynosi więc pożądanego katharsis. „Anatomia upadku" może zepsuć humor, zwłaszcza producentom aspiryny i widzom uczulonym na ambiwalencję. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIE ZAPOMNISZ MNIE

NINATEKA

Ostatni film wyreżyserowany przez Konrada Toma, króla przedwojennego kabaretu, był oczywiście komedią. Z dzisiejszego punktu widzenia okropnie infantylną (choć aż trzech panów biedziło się nad scenariuszem). „Zapomnianą melodię" wydobył z pułapki banału duet Henryk Wars/Ludwik Starski. Pomijając synkopowaną wersję „Pana Jana", ozdobili fabułę tylko dwiema piosenkami. Ale za to jakimi! Kina pękały w szwach, bo każdy mężczyzna chciał zobaczyć w akcji Grossównę, a każda kobieta Żabczyńskiego, amanta numer jeden końca lat 30. Jak na ironię, aktorsko bije ich na głowę Michał Znicz w roli konserwatywnego pedagoga pomstującego na „dzikie murzyńskie rytmy" i „kabaretowe błazeństwa". Cztery lata później zabili go Niemcy. Zginął też Józef Orwid, grający sympatycznego dozorcę, a uczennice słynnej szkoły tańca Tacjanny Wysockiej rozjechały się po świecie. Czekoladowe mydło wycofano z produkcji. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. JAN FETHKE, KONRAD TOM
„ZAPOMNIANA MELODIA"
POLSKA 1938

wyst. Helena Grossówna, Aleksander Żabczyński, Michał Znicz

ZAMKNIJ OCZY!

KINO

„Biedne istoty", „Dream Scenario", „Club Zero", a teraz „Vincent musi umrzeć". Moda na opowieści bizarne nabiera rozpędu. Do ostatniego z wymienionych tytułów najlepiej pasuje określenie: paranoiczny komediodramat. Punkt wyjścia jest obiecujący. Tytułowy bohater staje się celem ataków ludzi, których zna słabo albo wcale. Coraz bardziej poobijany bierze urlop i wymyka się z miasta, lecz prześladowcy są wszędzie. Bezinteresowna agresja to wyróżnik naszej epoki. Cóż jednak po trafionym pomyśle, jeśli nie umie się go rozwinąć? Castang grzęźnie w schematach, mnoży sceny bardziej obrzydliwe niż straszne. Widz ma dość czasu, by odkryć absurdalność fabuły (hollywoodzki najemnik w trosce o swą przyszłość w branży nigdy by takiego błędu nie popełnił). Wnioski? Czekając na apokalipsę, spraw sobie psa tudzież ciemne okulary. A najlepiej zamknij oczy. ©℗

Wiesław Chełminiak

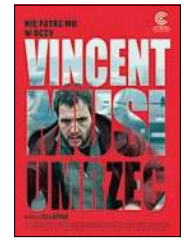

★★★☆☆☆

REŻ. STÉPHAN CASTANG
„VINCENT MUSI UMRZEĆ"
BELGIA/FRANCJA 2023

wyst. Karim Leklou, Vimala Pons, François Hattot

GRA TYGODNIA: „TOMB RAIDER I–III REMASTERED"

Odświeżone trzy pierwsze części serii „Tomb Raider" wyglądają dużo lepiej niż w oryginale (o czym się przekonamy, przeskakując dynamicznie pomiędzy obrazem zremasterowanym i klasycznym), ale już próba uwspółcześnienia prawie 30-letnich gier wyszła tak sobie. Do tradycyjnego sterowania nikt już nie będzie miał dziś cierpliwości, a nowoczesne nie działa najlepiej. Irytacji tu sporo. Ale czy przed laty było inaczej? Mimo tych wad bawiłem się dobrze, bo to wciąż ciekawa przygoda, no i swoje robi sentyment do panny Croft. Całość w niezłej cenie. Warto sprawdzić. ©℗ ***Radosław Wojtas***

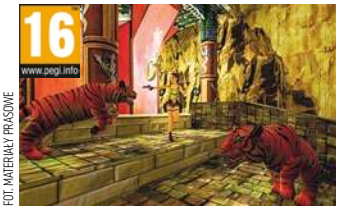

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Aspyr Media, Inc.*

eprasa.pl 5ec60e9ca7

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mała Francja

Dziadek autorki urodził się we Francji i część jego rodziny nadal tam mieszka. Miał francuski paszport, ale mówił przecież po polsku, miał polskie obywatelstwo. To stąd, z małej górskiej wioski, wywodziła się cała jego familia. I jeszcze to „ł" w nazwisku, tym samym, które ona nosi.

„Nic się w tej historii nie kleiło" – czytamy, ale w dzieciństwie to nie przeszkadzało, a powiedzenie na szkolnym korytarzu, że „moja rodzina pochodzi z Francji", gwarantowało absolutny towarzyski sukces w rywalizacji z tymi, którzy swoje parantele wywodzili z Krakowa czy z Warszawy. Zwłaszcza gdy można było podeprzeć się pocztówką „stamtąd" czy gadżetem z paczki, bo takie od czasu do czasu przychodziły, a znajdowały się w nich te wszystkie rzeczy, których tu nie było. A że nie było niczego, wszystko wydawało się cudowne.

Później jednak ta rodzinna francuskość uwierała coraz bardziej, a pytania o tu, kto kiedy wyjechał, kto został, a kto wrócił i dlaczego, domagały się odpowiedzi. A gdy dowiedziała się, że takich jak jej dziadek, przybyłych do Polski po wojnie z emigracji, na którą ich rodziny zdecydowały się z powodów ekonomicznych, w czasach II Rzeczypospolitej było od 50 do 80 tys., uświadomiła sobie, że losy jej rodziny są częścią znacznie większej historii. I stąd wzięła się ta książka, którą Aleksandra Suława musiała napisać.

Powstała zajmująca opowieść rodzinna, a także solidnie udokumentowana historia polskich reemigrantów, namówionych do powrotu do ojczyzny, zrujnowanej przez lata wojny i okupacji, ale – w zapowiedziach – urządzonej całkiem na nowo, w innych granicach, ale sprawiedliwie, w której człowiekowi pracy nie zabraknie chleba, nauka i opieka zdrowotna będą bezpłatne, a już górników czekają szczególne względy.

Tak zapewniali ambasadorowie Skrzeszewski i Putrament, o tym pisano w ulotkach i gazetkach i choć nie brakowało głosów ostrzegających przed bolszewizacją Polski, to wracali do kraju pełni nadziei na lepsze jutro. Tak też w 1946 r. pojawił się w Suliszowie, dzielnicy Jedliny-Zdroju koło Wałbrzycha, urodzony w Hallicourt, w departamencie Pas-de-Calais, Franciszek Suława, by stać się Franciszkiem, już odtąd zawsze tęskniącym za miejscem swego urodzenia. Tam, gdzie w Polsce zamieszkali tacy jak oni, tworzyły się „Małe Francje"; jedzono w nich ratatouille, a sałatę podawano oczywiście z sosem vinaigrette, a nie ze śmietaną, grano w pétanque, śpiewano francuskie piosenki, słowem – robiono wszystko, by żyć i tam, i tu. A tak się, niestety, nie dawało.

Komunistyczną nowomowę łykali na ogół bezboleśnie. We Francji przesiąknęli ideami lewicowymi, a o Polsce przedwrześniowej wspomnienia mieli niedobre, w końcu do pracy za granicą wygnały ich bieda i bezrobocie. Ale rzeczywistość skrzeczała, poniemieckich domów nie wystarczało dla wszystkich, a zarobki dalekie były od obiecywanych i oczekiwanych. Do czasu jednak dawali się wciągać w działania propagandowe, stąd przylgnęła do nich łatka pupilów Polski Ludowej. Jeśli nawet przez jakiś czas takimi byli, to już w 1950 r., po szpiegowskiej aferze André Robineau, pracownika konsulatu w Szczecinie, stali się podejrzanymi elementami, i to bardziej niż inni. A potem klepali komunistyczną biedę w myśl znanej kabaretowej piosenki: „Pchamy taczki, pchamy, gówno z tego mamy".

Wielu z nich pluło więc sobie w brodę, narzekając przez lata: „Myśmy więcej Polsce dali, niż ona dała nam". Wywoływało to pewne napięcia w stosunkach z, rzekłbym, „krajowcami", którzy skądinąd słusznie uważali, że Polska Ludowa, co jak co, ale równość zapewniła swoim obywatelom – w biedzie. Wyjątki zdarzały się, o tych najbardziej spektakularnych pisze Aleksandra Suława, opowiadając o emigracyjnych perypetiach Edwarda Gierka czy o Wincentym Pstrowskim, inicjatorze współzawodnictwa pracy, górniku, który – jak wynika z relacji znających go osób – nie potrafił pracować jak inni. Był urodzonym przodownikiem, z czego dał się poznać już w kopalniach francuskich i belgijskich. W „Jadwidze" w Zabrzu było tak samo, a że życiorys miał wzorowy i do PPR wstąpił od razu po powrocie, stał się bohaterem pracy socjalistycznej. Pomieszczone w książce Aleksandry Suławy jego zdjęcie z sylwestrowego balu w 1947 r., na którym tańczy z żoną Cyrankiewicza, Niną Andrycz, warte jest każdych pieniędzy. Niestety, już w roku następnym Wincenty Pstrowski zmarł, mając zaledwie 44 lata. Przyczyną śmierci była białaczka, ale złośliwy naród skwitował zgon dwuwierszem: „Wincenty Pstrowski, górnik ubogi, / wyrobił normę, wyciągnął nogi".

W Zabrzu stoi pomnik Pstrowskiego, a w Wałbrzychu upamiętniono w ten sposób gen. de Gaulle'a. Tyle pozostało z „Małej Francji". ©℗

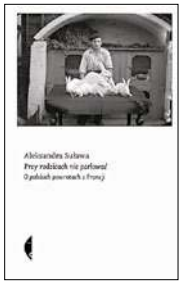

★★★★★★

ALEKSANDRA SUŁAWA
„PRZY RODZICACH NIE PARLOWAĆ. O POLSKICH POWROTACH Z FRANCJI"
CZARNE, WOŁOWIEC 2023

eprasa.pl 5ec60e9ca7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nasi umarli

Znaliśmy tę opowieść przez długie dekady jako „W kleszczach lęku", teraz autor nowego przekładu – Jerzy Łoziński – proponuje tytuł bliższy oryginałowi. I tak „The Turn of the Screw" zamieniło się w „Nacisk śruby". Klasyczna opowieść o duchach napisana pod koniec XIX w. pozostaje do dziś jednym z najpopularniejszych i najczęściej wznawianych utworów Henry'ego Jamesa. No właśnie, ale czy o duchach? Zamierzona przez autora dwuznaczność sprawia, że część badaczy literatury szuka klucza do opowieści w psychoanalizie.

W tomie przygotowanym przez wydawnictwo Zysk i S-ka otrzymujemy także pięć innych opowieści literatury grozy. Choć waham się przy słowie „groza", bo nie czujemy się specjalnie przestraszeni – zresztą nie to jest celem autora.

Bo czegóż tu się bać, kiedy goście z zaświatów funkcjonują w tych niby-nadnaturalnych opowieściach w sposób zupełnie naturalny? Świetnie opisał ten fenomen Łukasz Kozak w książce „Upiór. Historia naturalna", w której przyglądał się XIX-wiecznej wyobraźni zbiorowej: to oczywiste, że śmierć niczego nie kończy, że są wśród nas nasi umarli. James skupia się więc raczej na powodach, dla których owych umarłych widzimy. Zemsta za miłosne odtrącenie, wyrzut z sumienia zza grobu – znamy te powody.

Intrygujące jest opowiadanie „Ostatni z Valeriów", którego bohater – miłośnik starożytności – wykopuje z ziemi posąg antycznej bogini, by stać się jej wyznawcą. Dopiero chwilę po lekturze się zastanawiamy: A czy aby to nie ona sama nakazała mu te działania? Zabawny i strapiony zarazem jest „Sir Edmund Orme", który widzi nieustannie obok ukochanej ducha zmarłego odtrąconego przez nią kochanka. „Upiorny czynsz" to historia, którą mógłby napisać Arthur Conan Doyle i kazać rozwiązać zagadkę Holmesowi, tyle tylko, że odpowiedź jest nie z tego świata. I tak dalej.

Proza Henry'ego Jamesa nie zawsze starzeje się dobrze – te drobiazgi przetrwały próbę czasu z klasą. Wszystkie są świadectwem epoki, w której pisarze byli szczęśliwsi, gdyż nikt na siłę nie szufladkował ich dokonań, w księgarniach nie istniały półki z napisem „horror" czy „kryminał". Każdy miał prawo opowiadać zajmujące i/lub pouczające historie przy pomocy takich metafor, które uznał za stosowne. I nikt nie czynił wyrzutów Dickensowi, Dostojewskiemu czy Jamesowi, że sięgnął po formułę opowieści o duchach. ©℗

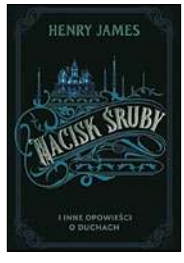

★★★★☆☆

HENRY JAMES „NACISK ŚRUBY I INNE OPOWIEŚCI O DUCHACH" ZYSK I S-KA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Eseje wydane oryginalnie w 1950 r. Rozważania o sztuce, religii i duchowym kryzysie. Wśród punktów odniesienia El Greco, Goya, Hogarth. A jako lek na agresywny nacjonalizm proponuje Huxley monoteizm.

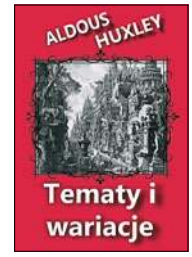

ALDOUS HUXLEY „TEMATY I WARIACJE" VIS-À-VIS ETIUDA

Wznowienie jednej z najlepszych książek autorki „Opowieści podręcznej". Prowokacyjna wizja przyszłości (Ziemia po katastrofalnej epidemii) i bardzo oryginalna historia miłosna. Otwarcie trylogii „MaddAddam".

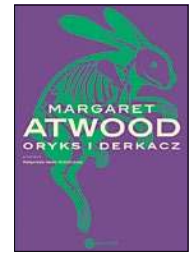

MARGARET ATWOOD „ORYKS I DERKACZ" WIELKA LITERA

O wybranych aspektach twórczości Jacka Dukaja – nie biografia, nie monografia, ale ciekawa próba nakreślenia mapy problemów, które interesują autora „Lodu" i „Wrońca".

ŁUKASZ KUCHARCZYK „GRANICE LUDZKIEGO POZNANIA" INSTYTUT LITERATURY

Niby o duchach, a tak naprawdę o relacjach w rodzeństwie, o tym, jak kształtują nas rodzice, i o tym, że kiedy dwoje patrzy na to samo, widzi zupełne różne rzeczy. Pastisz z dodatkiem czarnego humoru.

recenzuje Piotr Gociek

GRADY HENDRIX „JAK SPRZEDAĆ NAWIEDZONY DOM" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „MURY SAMARIS"

Pierwszy tom serii „Niewidzialne miasta", uznawanej za arcydzieło frankofońskiego komiksu. „Mury Samaris" ukazały się w 1983 r. i pozostają jedną z najlepszych opowieści z równoległego wszechświata, który stworzyli Peeters i Schuiten. Klimat jak z Italo Calvino: młody oficer rusza do odległego miasta Samaris, z którego nikt nie powraca. Dlaczego? Nie chodzi o kryminalną zagadkę, lecz o samą naturę rzeczywistości.

Piotr Gociek

BENOÎT PEETERS, FRANÇOIS SCHUITEN „MURY SAMARIS" SCREAM COMICS 2023

eprasa.pl 5ec60e9ca7

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Muzeum nowej ekspresji

Od samego początku lat 80. XX w., od narodzin Solidarności, rozwijało się w Polsce zjawisko zwane nową ekspresją. Szersza publiczność poznała je dopiero w drugiej połowie dekady (szczyt popularności to lata 1986–1987). Obieg międzynarodowy był oczywiście niemożliwy, a z obiegu krajowego młodzi artyści odcięli się sami za sprawą bojkotu państwowych sal wystawowych.

FOT. CSW W TORUNIU

Nowa ekspresja żyła krótko, wypaliła się w zasadzie przed rokiem 1989, mimo że ostatnie wystawy odbywały się jeszcze na początku lat 90. XX w.

Wystawa w toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej przypomina twórczość artystów z kręgu niezależnej sztuki lat 80. XX w. „Wśród pokazywanych prac znajdują się dzieła klasyczne dla tego kierunku, niezwykle istotne dla rozwoju poszczególnych artystów. Ale są także obrazy, rysunki i instalacje mniej lub prawie wcale nieznane [...]. W zamierzeniu kuratorskim wystawa jest niczym tymczasowe »Muzeum Nowej ekspresji« [...]”. ©℗

GDZIE? ***Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu***
KIEDY? ***do 5 maja***

FOT. SŁAWOMIR MIELNIK

MUZYCZNE DETALE

Zbigniew M. Bielak projektuje okładki albumów z muzyką bardzo współczesną – m.in. dla zespołów Carcass, Darkthrone, Mayhem i Paradise Lost – ale „wybrzmiewają echa estetyk ostatnich pięciuset lat historii sztuki i architektury – od renesansu, poprzez barok, aż do twórczości dwudziestowiecznej, przede wszystkim europejskiej”. Wystawa prac jednego z najbardziej znanych polskich projektantów okładek. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu***
KIEDY? ***do 5 maja***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zdecydowanie zostań

Nazwa zespołu przetłumaczona na angielski to „new wave”, a na portugalski „bossa nova”. Przed 20 laty producenci muzyczni Marc Collin i Olivier Libaux uznali, że recykling hitów nowej fali z lat 80. zaaranżowanych w stylistyce brazylijskiej bossa novy może sprawdzić się w chill roomach wytwornych dyskotek.

Panowie zaangażowali młode wokalistki, które nie znały oryginalnych wersji przebojów, i w 2004 r. wydali album, którego sukces przerósł nawet ich najśmielsze oczekiwania. Libaux niestety zmarł trzy lata temu, ale najnowsza płyta Nouvelle Vague udowadnia, że koktajlowy pop dla starzejącej się klasy średniej wciąż ma sens.

Inteligentnie spreparowane, tęskne reinterpretacje nagrań sprzed 40 lat robią wrażenie. Przeboje Yazoo i ABC przypominają lukrowane hity girlsbandów z lat 60., kompozycje Bauhaus, Billy Idol, Duran Duran czy Blondie brzmią, jakby były wyjęte z ścieżki filmowej o przygodach Bonda, a nowe wersje hitów The Clash, Dead Or Alive, The Smiths, Depeche Mode czy Tears For Fears musują jak wytworny szampan. Całość ma kabaretowy wdzięk, co najlepiej ilustruje tytuł otwierającego album przeboju grupy The Specials „To, co najbardziej lubię w tobie, to twoja dziewczyna”. Jeśli swe młodzieńcze lata przeżyliście w latach 80., to tę płytę koniecznie wpiszcze na playlistę w waszych telefonach. ©℗

★★★★★☆
NOUVELLE VAGUE
„SHOULD I STAY OR SHOULD I GO”
PIAS

★★★★★☆
JOHN SURMAN
„WORDS UNSPOKEN”
ECM

Osiemdziesięcioletni brytyjski saksofonista nagrał znakomity album łączący nowoczesny jazz, awangardową improwizację i muzykę ludową. Towarzyszą mu: amerykański wibrafonista Rob Waring, brytyjski gitarzysta Rob Luf i norweski perkusista Thomas Strønen.

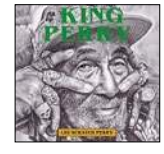

★★★★☆☆
LEE „SCATCH” PERRY
„KING PERRY”
!K7

Król dubowej techniki nagraniowej odszedł trzy lata temu. Tricky i przyjaciele (m.in. Shaun Ryder) składają hołd mistrzowi. Kruchy wokal Perry'ego nagrany przed śmiercią został obudowany w trip-hopowe, elektroniczne aranżacje.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Fakty i trauma

FOT. KLAUDYNA SCHUBERT

Grzegorz Kondrasiuk

„Jak nie zabiłem…" to znakomita teatralna robota na wszystkich polach, jednak jest emanacją czegoś więcej niż samego talentu twórców

Spektakl „Jak nie zabiłem własnego ojca i jak bardzo tego żałuję", wyreżyserowany przez Mateusza Pakułę na podstawie jego autobiograficznej książki, to – jak możemy przeczytać w „Rzeczpospolitej" – „teatralny spektakl roku". „Można się uzależnić od katharsis widowni" – rzecze sam twórca w wywiadzie. Bilety są wyprzedane, dzieło rusza w Polskę zdobywać kolejne nagrody. Rozpędza się maszynka medialna i festiwalowa: w marcu pokazy na warszawskich Nowych Epifaniach i łódzkim Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Będą, niech zgadnę, kolejne bombastyczne zapowiedzi medialne i pospektaklowe rozmowy z twórcami, na których krytycy moderatorzy z przejętymi minami postawią kolejne, unikające krytycznego wysiłku, naiwne pytania.

„Jak nie zabiłem…" to znakomita teatralna robota, jednak jest emanacją czegoś więcej niż samego talentu twórców. Im bliżej końca spektaklu, tym częściej na widowni słychać spazmatyczny płacz. Czynnikiem windującym emocjonalny odbiór jest to, że syn opowiada tu o trudnej śmierci ojca w bardzo osobisty sposób. Jest jednak jeszcze coś, czego nie dostrzega krytyka, powalona – pisząc językiem Pakuły karmiącym się popkulturą – emocjonalną bazooką. Ten spektakl pokazuje, czym chce być współczesny polski teatr, ten promowany przez kuratorów, i w jakie role wobec widowni i mediów wchodzi. I tym tu napiszę, że doceniam oczywiście i znakomite aktorstwo całego zespołu (Andrzej Plata, Jan Jurkowski, Wojciech Niemczyk, Szymon Mysłakowski, Marcin Pakuła), każdej minuty przemieszczające się na rollercoasterze od prześmiesznej komediowości do przerażającego fizycznego, organicznego ogołocenia, i reżyserię, i pomysł scenograficzny.

Scenariusz powstał z eseju autobiograficznego, bliskiego dziennikowi intymnemu. To szczegółowa relacja z masą detali – o tym, jak się w Polsce umiera na raka trzustki. To kronika samoobserwacji, rejestracja za pomocą czułego i doskonałego instrumentu, którym jest pióro Mateusza Pakuły, dramatopisarza, dramaturga, reżysera. Pisanie pewnie pomagało przetrwać. W końcu cóż ma robić pisarz w tej nierównej wojnie, jak nie pisać? Żeby nie zwariować, oswajać śmiechem, rzeczy nie do pojęcia wypychać z siebie w rzędy literek. W poetyce gatunku mieści się też warunek bezwzględnej szczerości w opisywaniu relacji z najbliższymi, fizjologicznej, ludzkiej nędzy i żałosnego kabaretu śmierci. Pisząc, a potem reżyserując ten NFZ-owski thriller, Pakuła przetworzył traumę na sztukę. Jednak na tym nie poprzestał – postanowił wejść na poziom działania. Porażony nieuśmierzonym cierpieniem ojca, i prośbami do członków rodziny o to, by go zabili, chce zainicjować debatę na rzecz legalizacji eutanazji. To manifesty, płomienne wezwania do uchwalenia nowego prawa i przeciwko Kościołowi katolickiemu, który – według Pakuły – to prawo, jako główna siła, blokuje. Mamy więc bezdyskusyjne założenia wstępne, na które należy się zgodzić, aby wejść w pełni w tę opowieść. Problem polega na tym, że są to sylogizmy. „Fakty, nie wartości" – raz po raz mówi się tu, wyliczając argumenty na rzecz eutanazji i podając przykład Holandii. To pozór rzeczowej argumentacji, wzmocnionej argumentem osobistego świadectwa. Nie mylmy jednak realności z grą w realność. Spektakl „Jak nie zabiłem…" chce być maksymalnie szczery, i jest – ale na metapoziomie. Artysta mimochodem ujawnia więcej, niż jako narrator chciałby ujawnić. Na przykład to, że – wielokrotnie podkreślający swój ateizm twórca – nieświadomie zastosował tu schemat mesjanistyczny, wyjaśniając na głębokim poziomie śmierć ojca jako konieczną ofiarę na rzecz przyszłego, świeckiego, liberalnego państwa urządzonego na wzór zachodni.

Niestety, można i spektakl, i książkę czytać kluczem psychoterapeutycznym. Wygląda na to, że pisarz znajdujący się w traumie podjął tu autoterapię eksperymentalną. Odreagowując traumę, ulokował całą swoją nieukojoną złość i rozpacz w lekarzach całkowicie pozbawionych empatii, no i w Kościele. Fiksując się punktowo, przeoczył istotne pytania. A może winni są tutaj ci, którzy doprowadzili opiekę paliatywną do takiego stanu, że rodzina przejęła odpowiedzialność za opiekę nad umierającym pacjentem? To długa historia, z transformacją w tle, z prywatyzacją zysków i uspołecznieniem kosztów opieki zdrowotnej. I jeszcze jedno pytanie, które warto zadać, zanim zapłaczemy nad tym przejmującym, jednostkowym losem, tak sugestywnie zagranym w teatrze. Jeśli w Polsce wprowadzimy eutanazję, teraz, natychmiast, w aktualnym stanie opieki paliatywnej, to czy nie posłuży ona do morderstw spowodowanych jej nieudolnością? ©℗

„JAK NIE ZABIŁEM WŁASNEGO OJCA I JAK BARDZO TEGO ŻAŁUJĘ"
TEATR ŁAŹNIA NOWA, TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO W KIELCACH
ADAPTACJA I REŻYSERIA: MATEUSZ PAKUŁA
PREMIERA: 20 STYCZNIA 2023 R.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Nowy prezydent Argentyny Javier Milei FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Milowe kroki Milei czy dreptanie

Janusz Korwin-Mikke

Na argentyńskiego prezydenta machnąłem ręką. Miał poparcie, wojsko i mógł wszystkich wziąć za pysk

Równo 100 lat temu popularność zdobyła w Polsce piosenka „Mmm – tak: dać drapaka / do Argentyny". Argentyna była ziemią obiecaną dla tych, którzy z pieniędzmi (niekoniecznie całkiem legalnie zdobytymi...) chcieli zrobić duże pieniądze. Argentyna kwitła. Cały świat zajadał się befsztykami prosto z pampasów...

Po wojnie ojciec też czasem nucił tę piosenkę, ale akcent kładł nie na „Argentynę", lecz na „Dać drapaka". Co zresztą w 1947 r. udało się jeszcze zrobić mojej ciotce. Tak. Wylądowała w Argentynie. I z niej uciekła. Co się stało w Argentynie?

Dziesięć lat temu napisałem: „...kilkanaście lat temu Republika Argentyny ogłosiła bankructwo. Przestali płacić emerytury, przestali spłacać obligacje... I cóż? Nic takiego: na szczęście dziś z jednego ziarna pszenicy rodzi się nie sześć, lecz 60 ziaren, więc z głodu nikt nie umarł. Niektórzy ludzie potracili »tylko« oszczędności całego życia, inni musieli żebrać, ale państwo (niestety...) przetrwało.

Od lat ostrzegam, że nie tylko w Polsce, lecz także w całej Cywilizacji Białego Człowieka grozi takuteńki »kryzys argentyński«: wszystkie są zadłużone, wszystkie powypuszczały masę niespłacalnych obligacyj, wszystkie mają kompletnie niesprawny system gospodarczy. Ekonomiści pocieszają, że jeśli wzrost gospodarczy jest wyższy niż oprocentowanie kredytów, to z takimi długami można żyć. Tyle że pieniądze są pożyczane średnio na 6 proc., a kraje Białych Ludzi »rozwijają się« w tempie ujemnym. Polska z wynikiem +0,5 proc. jest podobno najlepsza w Unii, Stany Zjednoczone z długiem wynoszącym 17 bln dol. (!!!) mają tempo wzrostu rzędu 1–2 proc.

Kryzys »argentyński« jest więc nieunikniony. Przypominam, że RFN jest na głowę mieszkańca zadłużona bardziej niż Grecja! Pytanie, czy taki kryzys rozpocznie się za tydzień czy (dzięki dodrukowi pieniędzy...) za kilka lat.

I oto okazuje się, że hasło do kryzysu może dać... znów Argentyna! Amerykańscy senatorowie, p. Marek Rubio i p. Robert Menéndez z senackiej Komisji Spraw Zagranicznych, ogłosili, że upadek Argentyny jest przy obecnej polityce właściwie nieunikniony.

A co robi JE Krystyna de Kirchner, prezydentka Argentyny? Zamiast powstrzymać ogromne wydatki państwowe, odpowiedzialnością za kryzys usiłuje obarczyć... złych bankierów i kapitalistów.

Proponuję dodać jeszcze Żydów. Co? Niemodne?

eprasa.pl 5ec60e9ca7

To może hitlerowskich dygnitarzy, którzy po wojnie masowo osiedlali się w Argentynie?".

SKUTEK PRAW WYBORCZYCH DLA KOBIET

Otóż przyczyną nieszczęścia Argentyny była kobieta. W latach 20. i 30. ubiegłego wieku świat zalała fala etatyzmu, faszyzmu i – co najgorsze – socjalizmu. Przyczyną była oczywiście d…kratyzacja, a następnie prawa wyborcze dla kobiet. Większość ludzi jest na tyle głupia, by uwierzyć w absurdalne hasła socjalistów, a kobiety z natury przywykły, że ktoś się nimi powinien opiekować, więc „państwo opiekuńcze", socjalne to ich wybór. Lud i kobiety głosowały na Front Ludowy we Francji, na towarzysza „Ziuka" w Polsce, na Benia Mussoliniego we Włoszech, na Labour Party w Anglii, na Adolfa Hitlera w Niemczech czy Republikę Hiszpańską. W ślady Europy poszła Ameryka, z Nowym Ładem Franklina D. Roosevelta na czele. A Argentynie trafili się Jan Dominik Perón Sosa.

Facet typowy: dbanie o biednych, o robotników, przymusowe ubezpieczenia i cała reszta – jak na całym świecie. Wyjątkiem było to, że pierwszą damą uczynił on był Ewę, piąte nieślubne dziecko praczki. Ta miała masę osobistego uroku, a potrzebami biednych naprawdę się przejęła. Jeździła po całej Argentynie, rozdając zrabowane ludziom pieniądze, tłumaczyła, że socjalizm to coś dobrego, a żeby rozdawać cudze pieniądze, państwo musi być silne, by je najpierw zrabować, i przeprowadziła prawa wyborcze dla kobiet. Argentyna zakochała się w „Evicie", która miała jeszcze to szczęście, że młodo umarła na raka. Z legendą „Evity" nie można już było wygrać – po jej śmierci Perón kazał jej następczyni, Izabelli, spać obok trumny z zabalsamowaną „Evitą" w takiej pozie, jak ona, by się mogła do niej bardziej upodobnić. Ten kult był znany nawet w Polsce.

Od czasów „Evity" polityka w Argentynie to walka między lewym skrzydłem ruchu peronistycznego a prawym skrzydłem ruchu peronistycznego. Nawet junta wojskowa gen. Jerzego Videli, która z rozpaczy przejęła władzę w 1976 r., nie poszła drogą gen. Franciszka Franco Bahamonde, Xiāo-Píng Dènga czy gen. Augusta Pinocheta, tylko nadal bredziła o prawach ludu pracującego i rozbudowie państwa. Gdy skompromitowała się nieudaną napaścią na Falklandy, do władzy wrócili peroniści rozmaitego sortu i chowu. Wolnorynkowców to było tylu, ilu w Polsce w 1970 r. – ze trzech...

I oto po latach w tym kraju pojawił się libertarianin (zwolennicy wolności dawniej nazywali się po prostu liberałami, ale socjaliści zrabowali nawet i tę szlachetną nazwę), p. Ksawery Milei, głoszący coś dokładnie odwrotnego niż peroniści – tak jak Korwin-Mikke głosi coś dokładnie sprzecznego z tym, co mówią PO, PiS, Lewica czy Trzecia, Czwarta i być może Piąta Droga. A Argentyńczycy byli już tak zdesperowani, że oddali na niego głosy.

Tu jednak trzeba koniecznie powiedzieć o głównym czynniku, dla którego w Argentynie wygrał wybory JE Ksawery Milei, w Brazylii wygrał wybory Jair Bolsonaro, a w Chile o mały włos wygrałby wybory Józef Antoni Kast otwarcie mówiący, że chce zrobić to, co zrobił gen. Pinochet (za coś takiego 30 lat temu o mało mnie nie ukrzyżowano...).

Dlaczego w Argentynie, Brazylii i w Chile ludzie mówiący to, co Korwin-Mikke głosi od 60 lat, mogą wygrać wybory, a Braun, Mentzen czy Korwin-Mikke mogą się doliczyć w najlepszym przypadku kilkunastu procent?

Niektórzy podejrzewają „symptom Hongkongu". Gdy w Wielkiej Brytanii wygrała Lewica, urzędników popierających wolny rynek zesłała do kolonii. Wielu ich nie było, ale na Hongkong wystarczyło. I dlatego Miasto Smoka zostało pierwszym na świecie krajem wolnorynkowym. Być może Lewica, która opanowała Stany Zjednoczone, zesłała wolnorynkowców z CIA na odcinek Ameryki Południowej? Jak sobie przypomnieć, jak sprawnie CIA zainstalowała Wiktora Juszczenkę na prezydenta Ukrainy. Tak w każdym razie sądzi latynoska Lewica, wszędzie widząc rękę USA – tak jak w Polsce wszędzie widzą rękę Rosji. Ja jednak szukam bardziej podstawowych przyczyn.

EUROPA TO UMIERALNIA

Popatrzmy na rozkład wieku. Średni mieszkaniec Ameryki Łacińskiej ma 24 lata. Średni mieszkaniec Europy, w tym i Polski, ma 42 lata. Żyjemy podobnie jak tam w Najgłupszym Ustroju Świata, czyli w d…kracji, ale tam władca jest młody, a u nas suweren nie myśli o locie na Marsa, tylko o podwyżce emerytury o 50 zł i marzy, by niczego nie zmieniać, a w spokoju dożyć do śmierci. Oczywiście jak najpóźniejszej, więc pieniądze trzeba młodym ludziom rabować i dawać na geriatrię, a nie na inwestycje w np. latające samochody. Europa to umieralnia, trzeba to jasno powiedzieć.

Jak łatwo zauważyć, liczba głosów, które otrzymał JE Ksawery Milei, odpowiada liczbie głosów, które Braun, Korwin-Mikke i Mentzen otrzymują w Polsce od ludzi przed 40. rokiem życia. I jeśli chcemy wyprowadzić Polskę ze śmiertelnego korkociągu, to trzeba albo zlikwidować d…krację, albo przynajmniej odebrać prawo głosu tym, którzy żyją za pieniądze państwowe, czyli emerytom i urzędnikom. I jeszcze kobietom, uwielbiającym „państwo opiekuńcze". Porównanie liczby głosów, które Biden i Trump otrzymali odpowiednio od mężczyzn i od kobiet, jest porażające. Przy okazji przypominam, że to nie kobiety przyznały kobietom prawa wyborcze: zrobili to lewicowcy w czysto męskich parlamentach chcący, by Lewica już wiecznie wygrywała wybory.

JE Ksawery Milei wygrał, głosząc typowe hasła wolnorynkowe: zlikwidować pomoc socjalną, zlikwidować biurokrację, jak najwięcej decyzyj pozostawić ludziom – a więc konsumentom – a nie urzędnikom, związkom zawodowym i związkom pracodawców. Co ciekawe, wygrał, choć pochodzącego przecież z Argentyny papieża Franciszka nazwał był „imbecylem" i „starym komuchem". Obecny papież istotnie jest jezuitą i komunistą, ale proszę sobie wyobrazić polskiego polityka wygrywającego wybory po nazwaniu „starym idiotą" śp. Jana Pawła II? Otwarcie ośmiela się go atakować tylko Lewica – i to nie za poglądy, tylko za to, że nie dość stanowczo zwalczał w Kościele pedofilię. Na marginesie: obecny papież bynajmniej nie pozostał Milei dłużny i nazwał go „szczurołapem" i „klaunem". Po czymś takim za życia JP II polski polityk nie dostałby 2 proc.

Politykom w Ameryce Łacińskiej nie szkodzą nawet „korwinizmy" w najlepszym stylu macho jak: „Mam czterech synów – i, niestety, jedną córkę"

eprasa.pl 5ec60e9ca7

(to Bolsonaro). Tam kobiety tradycyjnie (poza „Julkami" oczywiście) głosują jak ich ojcowie i mężowie.

Nie będę obrażał czytelników wymienianiem typowych postulatów libertariańskich, np. zredukowanie liczby ministerstw do siedmiu (ja chcę tylko sześć), natomiast dwa postulaty Milei wzbudziły moją nieufność: ostre dystansowanie się od ChRL i dolaryzacja gospodarki.

Chiny „Ludowe" nie są dla wolnościowca ideałem, jednak (do niedawna przynajmniej) szły one ostro w kierunku wolnego rynku, czego efekty zresztą było widać. A FED traktuje dolara znacznie poważniej niż emisyjny Bank Argentyny traktuje peso, ale dolar już od afery z krachem Freddiego Maca i Fannie Mae (czyli socjalizmu w budownictwie) jest też dodrukowywany. Dodruk peso ograbiał Argentyńczyków ze znacznie większej liczby pieniędzy, ale większość ich jednak do nich wracała. Dodruk dolara ograbiałby z niewielkiej, ale całość wzbogacałaby USA.

Mnie, starego wróbla, ciężko nabrać na plewy. Jestem ostrożny. Na przykład z entuzjazmem poparłem wybór JE Wołodymyra Zełenskiego, który wygrał dzięki postulatom wprowadzenia wolnego rynku i doprowadzenia do pokoju z Rosją. Wolnego rynku nie wprowadził, bo wprawdzie za tym pięknym ogólnym hasłem głosowało 70 proc. Ukraińców, ale w praktyce okazało się, że w przypadkach szczególnych 80 proc. było przeciwko. Nawet przeciwko prywatyzacji ziemi. Trzeba pamiętać, że Polska była pod okupacją Związku Sowieckiego przez 11 lat (1945–1956, a i to nie całkowicie), a Rosja, Ukraina itd. przez lat 70. Przywykli.

A w sprawie Rosji JE Zełenski poszedł na lep obietnic Anglii, Kanady i USA, i Ukraina ma teraz to, co ma.

Pamiętam też doskonale wysokiego urzędnika Narodowej Rady Bezpieczeństwa (NSC to, w odróżnieniu od Departamentu Stanu, poważna instytucja), który przyznał (albo może: przechwalał się), że USA ingerowały w wybory w 80 państwach.

To, że Amerykanie wprowadzają gdzieś swojego agenta czy faworyta na prezydenta, nie musi być dla tego kraju złem! Na przykład za amerykańskiego agenta (niepokornego zresztą!) uważam Michaiła Saakaszwilego, którego lubię, a jego reforma gospodarcza w Gruzji była znakomita (to, że przyssała się tam masa aferzystów, to inna sprawa). Więc przy Milei też paliło mi się czerwone światełko ostrzegawcze, ale malutkie.

Milei zamiast realizować postulaty wolnościowe, zaczął podlizywać się elektoratowi nacjonalistycznemu

TRZEBA BYŁO WZIĄĆ ZA PYSK

Poza dobrymi chęciami i wspaniałą retoryką (pokazał ją niedawno w Davos) JE Ksawerego Milei: od początku wyrażałem obawy, że na reformy mu nie pozwolą. Przede wszystkim będzie jak na Ukrainie: w praktyce okażą są nie do przyjęcia. Ponadto potężne w Argentynie związki zawodowe są pod wpływem peronistów i przy pierwszej okazji wzniosą barykady. A establishment ze skrywaną rozkoszą będzie twierdził: „Trudno, ale mówiliśmy, że się nie da...". A i jeszcze Kościół katolicki. To z Ameryki Łacińskiej pochodzi nie tylko papież komunista, lecz także cała idea „Chrystusa z karabinem w ręku" (walczącego o prawa społeczne). To na granicy Argentyny istniały słynne jezuickie „redukcje paragwajskie" – prowincje komunistyczno-katolickie.

I rzeczywiście. Zaczęło się już od drugiego dnia urzędowania. Pierwszym szokiem była odmowa objęcia prezesury Banco Central de la República Argentina przez prof. Emiliana Ocampo, który miał zdolaryzować system i „wysadzić BCRA w powietrze". Zrezygnował, bo prezydent powiedział: „Musimy zobaczyć, czy sytuacja rynkowa pozwala na rozwiązanie takie jak to, które proponuje Emilian, i czy jest on przygotowany do wdrożenia innego planu niż ten, który pierwotnie planował". Potem okazało się, że Republika nie wycofa się z kretyńskiej „polityki klimatycznej", którą Milei przed wyborami wyśmiewał.

A co do biurokracji, istotnie liczbę ministerstw zredukował, ale przez ich podzielenie i poprzesuwanie poszczególnych departamentów do pozostałych siedmiu! Zwolnił z pracy 7,6 tys. urzędników. W warunkach polskich oznacza to zmniejszenie biurokracji o 1 proc., a porządna reforma wolnorynkowa musi zacząć się od zwolnienia 95 proc. urzędników! W ciągu pierwszych 100 dni.

Profesor Krzysztof Rybiński, były wiceprezes NBP, powiedział słusznie: „Gdyby do władzy doszedł Korwin-Mikke, to mielibyśmy dwa miesiące potwornego burdelu, a potem wzrost gospodarczy 10 proc. rocznie".

Ksawery Milei burdelu w Argentynie nie zrobił, a zamiast realizować postulaty wolnościowe, zaczął podlizywać się elektoratowi nacjonalistycznemu. Zażądał od Zjednoczonego Królestwa zwrotu Falklandów. D...kratom przypominam, że w referendum na Falklandach opowiedział się za tym 1 (słownie: jeden) mieszkaniec.

I w tym momencie w zasadzie machnąłem już na Milei ręką. Podobnie jak z JE Zełenskim: miał za sobą 70 proc. poparcia ludzi i – jako prezydent – wojsko oraz policję w ręku. W tym momencie trzeba było natychmiast zastosować receptę śp. Stefana Kisielewskiego „Wziąć za pysk i wprowadzić liberalizm"; jednym cięciem. Kontrrewolucji nie da się wprowadzić małymi kroczkami. Już pierwszy krok okaże się nieskuteczny, bo przecież nie może on się udać w socjalistycznym otoczeniu. Gdy chcemy wprowadzić ruch prawostronny, to nie można powiedzieć: najpierw niech prawą stroną zaczną jeździć osobowe samochody prywatne, bo taka próba na pewno okaże się nieudana; ku radości zwolenników ruchu lewostronnego.

Idee wolnorynkowe zwyciężyły najpierw w krajach Azji: Hongkongu, Singapurze, Malezji, Republice Chińskiej (na Tajwanie), Korei Południowej, wreszcie Chinach kontynentalnych. W żadnym z tych państw nie panowała wtedy d...kracja. A w krajach Białego Człowieka tylko w Hiszpanii (za gen. Franco – obecnie jest tam lewicowa Sodoma, burdel i serdel), w Brazylii (wróci!), w Chile (za gen. Pinocheta i wróci) i obecnie w Argentynie. Też pewnie poniesie porażkę.

Jednak któraś próba gdzieś zakończy się zwycięsko. Marzyłem, by była to Polska. Jednak nasz elektorat – 3 mln zwolenników wolności gospodarczej – z Polski wyemigrował.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Twarda gra

Łukasz Warzecha

Stosunki międzynarodowe to poniekąd dziwna dziedzina. W wielu przypadkach rządzi w nich brutalny pragmatyzm, ale jednocześnie zachowuje się pozory przestrzegania norm prawa międzynarodowego. Ma to głęboki sens i nierzadko pozwala ocalić pokój. Wydaje się, że polemizując z moim tekstem na temat dwóch lat wojny na Ukrainie, Piotr Semka („Do Rzeczy nr 8/2024) nie do końca te prawidłowości wziął pod uwagę

W czasie, gdy przez pierwszych kilkanaście miesięcy wojny na Ukrainie w Polsce w debacie o niej obowiązywała bezwzględna poprawność polityczna, a każde odstępstwo było ścigane jako „onucyzm", na Zachodzie toczyła się swobodna dyskusja. Opisywałem ją wielokrotnie w różnych moich tekstach. Jednym z wątków tej debaty były prognozy, w jaki sposób może się zakończyć – przynajmniej na jakiś czas – ostra faza konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Bardzo często pojawiało się nawiązanie do rozejmu w typie koreańskim. Na przykład dwukrotnie – w kwietniu oraz w grudniu ubiegłego roku – pisali o tym w magazynie „Foreign Affairs" Richard Haas i Charles Kupchan, dwaj prominentni przedstawiciele amerykańskiego establishmentu w dziedzinie polityki międzynarodowej. Przewidując możliwe warianty zakończenia gorącej fazy walk, autorzy wskazują, że oczywiście strona zachodnia (tak to trzeba ująć, bo Ukraina nie jest w tym konflikcie samodzielnym aktorem) nie zgodzi się na formalne oddanie zagrabionych terytoriów Rosji. Z prawnomiędzynarodowego punktu widzenia zarówno to, co Moskwa zagarnęła po 24 lutego 2022 r., jak i wcześniej zdobyte przez nią części Donbasu oraz Krym pozostają i pozostaną częścią państwa ukraińskiego. Jednocześnie tylko ktoś całkowicie oderwany od rzeczywistości i nieśledzący kompletnie informacji, w tym ekonomicznych pokazujących sytuację Rosji, może utożsamiać stan faktyczny, obecny i spodziewany z opisanym stanem formalnym. Faktycznie bowiem wspomniane tereny Rosja kontroluje i zapewne będzie kontrolować w przewidywalnej przyszłości. Z tym realistycznie rzecz biorąc trzeba się pogodzić, a próby zmiany tego stanu rzeczy – np. poprzez snucie fantazji o odbiciu Krymu z rąk rosyjskich – w niebezpieczny sposób zaburzają trzeźwą ocenę sytuacji.

FIKCJA W SŁUŻBIE POKOJU

Czemu służy taki dualizm myślenia, specyficzny dla relacji międzynarodowych? Podkreślanie stanu prawnomiędzynarodowego i niezgoda na usankcjonowanie zmian dokonanych siłą pozwalają nie legitymizować użycia siły, co w jakimś stopniu jednak wciąż utrudnia jej używanie. Zapobiega to również odwoływaniu się do zasady precedensu – choć tu Zachód nie jest konsekwentny. Jego fatalnym błędem lat dwutysięcznych było prawnomiędzynarodowe usankcjonowanie secesji Kosowa, które pozostaje ułomnym, przestępczym pseudopaństewkiem i punktem zapalnym w Europie. Do tego faktu z chęcią odwołuje się Moskwa.

Faktem jest także, że zasada trwałości granic i integralności państw pozostaje w pewnej sprzeczności – czy też w napięciu – z zasadą samostanowienia, która z kolei przyjmuje, iż podstawą do secesji lub określenia przynależności państwowej danego terytorium mógłby być uczciwie przeprowadzony plebiscyt – ale to już raczej teoretyczne w tym momencie rozważania.

Formalne niezatwierdzenie faktycznych zmian pozwala również wyjść z twarzą stronie tracącej faktycznie część swojego terytorium, bo formalnie rzecz biorąc, zachowuje ona pełne prawo do nazywania danego obszaru własnym. Nawet jeżeli dla wszystkich jest jasne, że należy on już do innego państwa i to się raczej nie zmieni. Tamto państwo może zresztą z kolei twierdzić, że stało się posiadaczem owego terytorium – i w ten sposób obie strony na poziomie wizerunkowym są usatysfakcjonowane. Obok tego trwa zaś stan faktyczny.

Tego typu podejście pozwala uniknąć gorącego konfliktu. Przykładem jest sytuacja Tajwanu, czyli Republiki Chińskiej. Chińska Republika Ludowa – Chiny kontynentalne – uznaje Tajwan za część ChRL zgodnie z tzw. polityką jednych Chin. Republika Chińska (Tajwan), jakkolwiek faktycznie jest całkowicie suwerennym i niezależnym krajem, cieszy się uznaniem międzynarodowym zaledwie 11 państw świata, i to raczej nie tych pierwszorzędnych (to m.in. Palau, Gwatemala, Paragwaj, Tuvalu czy Saint Kitts i Nevis). Jednocześnie w wielu krajach, które formalnie uznają jedynie ChRL – w tym w Polsce – Republika Chińska ma swoje misje handlowe, które faktycznie pełnią rolę ambasad. Ta wielka fikcja, zapoczątkowana uznaniem ChRL w miejsce RCh w ONZ w roku 1971, a potem – w roku 1979 – przeniesieniem uznania dyplomatycznego Waszyngtonu z Tajpej na Pekin, dobrze jak dotąd służy pokojowi. Zdarzają się oczywiście okresy większego i mniejszego napięcia, przy czym zwiększa się ono na ogół wtedy, gdy wybory na Tajwanie wygrywają partia i kandydat na prezydenta, który zaczyna podkreślać aspekt suwerennościowy i jego rządy grożą skasowaniem polityki jednych Chin. Pekin bowiem nie musi Tajwanu kontrolować faktycznie – zadowala go wizja

eprasa.pl 5ec60e9ca7

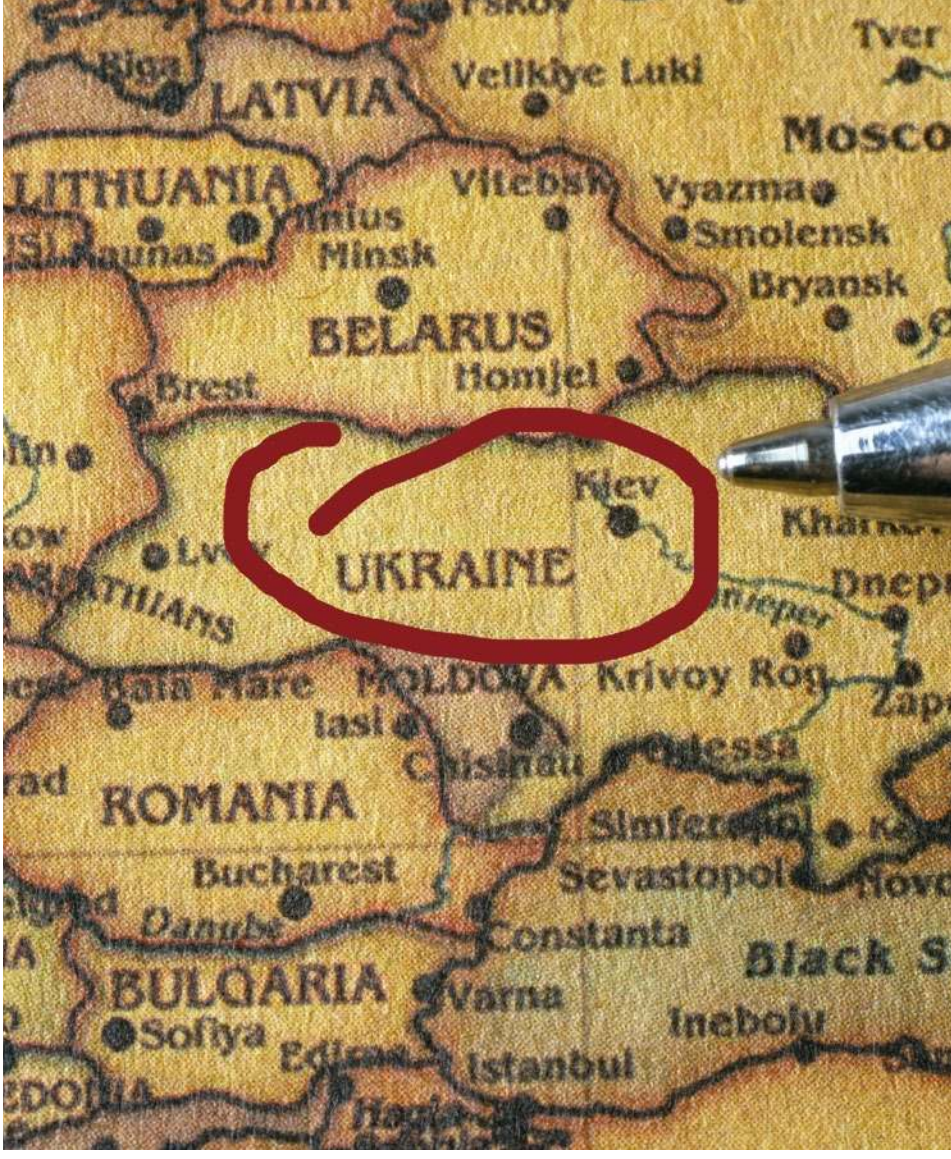

zjednoczenia w nieokreślonej, odległej przyszłości – ale nie zgodzi się, aby otwarcie kwestionować twierdzenie, że Tajwan jest częścią Chin ludowych. Mimo że nie jest nią faktycznie.

Tak najpewniej – stworzeniem tego typu fikcji i zamrożeniem walk – zakończy się gorąca faza konfliktu na Ukrainie. Pogodzenie się z tym nie oznacza – jak brzmiał tytuł tekstu Piotra Semki – oddawania czegokolwiek Putinowi „za darmo", ale realistyczne podejście do sytuacji.

W swoich tekstach Haas i Kupchan – ale nie tylko oni – wskazywali na jeszcze jeden aspekt. Twierdzili, że realistycznie rzecz biorąc, z punktu widzenia Kijowa dążenie do odzyskania odebranych przez Rosję terenów jest nieracjonalne i wręcz szkodliwe. Wskazywali, że mowa o terenach zniszczonych często do gołej ziemi, których odbudowa pociągałaby za sobą wysiłek niewspółmierny do korzyści, a gdyby z niej zrezygnować – byłyby to obszary bez wartości. Ich obrona wymagałaby zaangażowania dodatkowych środków i ludzi, a z jednym i z drugim Kijów ma coraz większe problemy. Państwo ukraińskie zamiast zatem starać się o ich odzyskanie, powinno skoncentrować się na konsolidacji obszaru, który faktycznie kontroluje, oraz zadbaniu, aby na przyszłość odstraszyć napastnika. Ta argumentacja wydaje się spójna i rozsądna, o ile wychodzi się z punktu widzenia opartego na chłodnym rachunku, a nie na emocjach. Ba, takie podejście jest również korzystne dla Polski, jeśli uznajemy, że w naszym interesie jest Ukraina zdolna do obrony i odizolowania nas od agresji rosyjskiej.

Przestrzegam też przed sięganiem po odległe analogie, zwłaszcza z okresu pierwszej wojny światowej, rozgrywanej przez długi czas jako konflikt pozycyjny. Z takimi analogiami jest bowiem tak jak z tymi generałami, którzy toczą zawsze poprzednią wojnę – stąd w aktualnej są mało skuteczni. Ukraińcy to nie Francuzi z 1914 r. Inna mentalność, kompletnie inna historia własnej państwowości i inny do niej stosunek. Dla współczesnych Ukraińców istotnym elementem ich motywacji lub też jej braku jest obraz własnego państwa jako podporządkowanego oligarchom i skorumpowanego. Przecież to nasz tygodnik – piórem Macieja Pieczyńskiego – opisywał, jaką frustrację wywołuje to, że dzieci ukraińskich bogaczy są w stanie wykupić się od służby w wojsku, podczas gdy na mniej zamożnych komisje poborowe polują na ulicach i w autobusach, żeby posłać ich na front, postrzegany jako coraz bardziej bezsensowny i jałowy.

POLSKI INTERES

Wojna na Ukrainie nie jest też konfliktem światowym – na szczęście i oby tak pozostało. Pierwsza wojna światowa nie była natomiast wojną toczoną poprzez pośredników pomiędzy globalnymi blokami – obecna taka jest (w połowie, bo Rosja bierze w niej udział „osobiście"). Przede wszystkim zaś całą logikę konfliktów tego typu zmieniło powstanie, tuż po drugiej wojnie światowej, broni masowego rażenia, o której w czasie pierwszej wojny światowej nikt nie marzył. To czynnik uwzględniany we wszelkich kalkulacjach, mitygujący od 24 lutego działania Zachodu – a także działania Rosji.

Wreszcie nie sposób zgodzić się z założeniem, które Semka stawia w drugiej części tekstu, pisząc: „[...] ewentualne zamrożenie wojny i otwarcie rozmów pokojowych wielkich mocarstw na temat losu Ukrainy może mieć dwojakie negatywne skutki. Po pierwsze, może doprowadzić do neutralizacji Ukrainy poprzez zmuszenie Kijowa do wyrzeczenia się aspiracji do akcesji do Unii Europejskiej i NATO". Semka stawia tu tezę, że wejście Ukrainy do NATO i UE byłoby z naszego punktu widzenia korzystne. To nieprawda – byłoby dokładnie odwrotnie. W polskim interesie leży przede wszystkim uniknięcie – jak długo się da – wciągnięcia nas do gorącej wojny. Stąd wypowiedzi takie jak ta pana marszałka Hołowni o „wdeptaniu Putina w ziemię" są skrajnie nieodpowiedzialne i nieroztropne.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

FOT. ADOBE STOCK

W polskim interesie jest, aby NATO nie podejmowało zobowiązań, które będą skutkowały koniecznością włączenia się do konfliktu w obronie sojusznika. Takie zobowiązania oczywiście już mamy i gdyby faktycznie – nie daj Bóg – Rosjanie uderzyli np. na kraje bałtyckie, Polska musiałaby podjąć działania po prostu po to, żeby nie doprowadzić do błyskawicznego rozpadu mechanizmu NATO-wskich zobowiązań. Jednak nie jest w naszym interesie, żeby brać pod twardy (choć nieabsolutnie twardy – wszak artykuł 5. traktatu północnoatlantyckiego nie przewiduje żadnego automatyzmu) parasol sojuszu kraj, który ponownie mógłby zostać zaatakowany w każdej chwili i który ma nieuregulowane granice. To ostatnie zawsze było warunkiem przystąpienia do NATO. Owszem, można rozmawiać o jakiejś formie gwarancji. Kijów podpisał zresztą dopiero co tego typu umowy – nieprzewidujące oczywiście bezpośredniej pomocy wojskowej – z Francją i Niemcami. Ale na pewno nie o wejściu Ukrainy do NATO.

Ukraina ma być naszym buforem przed wschodnią satrapią, ale nie rywalem w UE. To zdecydowanie nie leży w naszym interesie

Równie jednoznacznie niekorzystne dla Polski byłoby przystąpienie Ukrainy do UE. Kilka miesięcy temu poświęciłem temu obszerny tekst w „Do Rzeczy", nie będę więc tutaj powtarzał całego mojego ówczesnego wywodu. Istotne jest, że – wbrew twierdzeniom obozu PiS – Niemcy autentycznie przeorientowały swoją politykę i postawiły na zwasalizowanie Ukrainy, na co mają ogromne szanse. Środkiem do tego są pieniądze, wpływ na instytucje unijne, tradycyjne ukraińskie proniemieckie skłonności, a także przymusowa sytuacja Kijowa, w której Warszawa nie jest atrakcyjnym graczem, a Niemcy – owszem. Ukraina w UE to nie tylko drastyczny ubytek funduszy europejskich dla Polski i konieczność przymusowego dokładania się polskiego podatnika do finansowania wyrastającej pod bokiem bezwzględnej gospodarczej konkurencji. To również pozyskanie przez Berlin uzależnionego od jego łaskawości sojusznika w większości europejskich projektów, w tym światopoglądowych. Ukraina z radością i ochotą realizuje różnego rodzaju „tęczowe" wytyczne już teraz. Jest to wszak znacznie prostsze niż np. realna walka z korupcją czy przestępczością. Nawiasem mówiąc, ta ostatnia – wyjątkowo brutalna i bezwzględna – zalałaby nas potężną falą po wejściu Ukrainy do UE.

Podsumowując: w interesie Polski jest – po pierwsze – aby Ukraina obroniła się przed Rosją, ale aby – po drugie – obroniła się nie jako państwo silne i ekspansywne. Ukraina ma być naszym buforem przed wschodnią satrapią, ale nie rywalem w UE. To zdecydowanie nie leży w naszym interesie. Po trzecie – konflikt będzie zmierzał do wygaszenia lub zamrożenia. Niezgoda na to jest jak pretensje, że wschodzi słońce. Nasze możliwości działania w tej sprawie są bowiem mniej niż znikome, natomiast Polska powinna być po prostu na taki raczej pewny wariant rozwoju wypadków przygotowana. Czas względnego spokoju, który w ten sposób zyskamy, powinniśmy wykorzystać mądrze – przede wszystkim na radykalne dozbrojenie naszego wojska, którego stan pozostawia dzisiaj wiele do życzenia.

UKRAIŃSKI TOMASZ LIS

Na końcu tekstu Piotr Semka przywołuje ukraińską pisarkę Oksanę Zabużko, która w 2016 r. nazwała ludobójstwo na Wołyniu „nieistniejącą krzywdą" i której bardzo nie podobał się film „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego. Semka pisze: „Jak wskazuje Oksana Zabużko, »Moskwie chodzi o to, aby taka wola istnienia rozluźniła się i oddała niepotrzebny Krym, brzydki Donbas, co – jak powiadają – zupełnie nie będzie bolało, przeciwnie, będzie nam tylko lepiej«". Na razie większość Ukraińców na taki scenariusz nie ma ochoty. Skoro tak, to może my, którzy nie ponosimy na sobie ciężaru walki, nie podpowiadajmy tak szybkiej kapitulacji naszym sąsiadom ze wschodu".

Opinie pani Zabużko mają mniej więcej taki walor miarodajności, jak w Polsce miały opinie Krystyny Kofty czy mają te Tomasza Lisa: Zabużko reprezentuje oderwany od realiów ukraiński establishment. Faktycznie coraz więcej Ukraińców – pokazują to sondaże – kwestionuje sens toczenia walki, w której bez żadnych postępów śmierć poniosło kilkaset tysięcy ludzi. Ukraińcy głosują też nogami, po prostu uciekając za granicę przed poborem.

Co zaś do podpowiadania – mój redakcyjny kolega zapomniał chyba, że Polska ma realizować przede wszystkim własny interes, tak jak twardo własny – np. w sprawie zboża – realizują Ukraińcy (przy czym tu akurat jest to głównie interes skorumpowanych ukraińskich oligarchów). Jeśli dla Polski korzystne będzie, aby konflikt zakończył się kosztem faktycznej utraty przez Ukrainę części jej terytorium, to jako polscy państwowcy mamy wręcz obowiązek działać na rzecz takiego rozwiązania. Relacje międzynarodowe to twarda gra, a nie kółko różańcowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Stracone lata?

Prezydent Andrzej Duda na uroczystości z okazji 100. rocznicy wybuchu III powstania śląskiego

FOT. MAREK BORAWSKI/KPRP

Czy dwie kadencje rządów Zjednoczonej Prawicy to czas zmarnowany, jeśli chodzi o politykę historyczną na Śląsku, czy jest wprost przeciwnie? Poniżej polemika z tekstem opublikowanym pod koniec stycznia w „Do Rzeczy" i odpowiedź autora

W tygodniku „Do Rzeczy" z 29 stycznia 2024 nr 5/563 ukazał się artykuł Andrzeja Krzystyniaka, wicedyrektora w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim (2015–2023), pt. „Osiem straconych lat". Autor w bardzo nierzetelny sposób przedstawił osiem lat rządów Prawa i Sprawiedliwości w województwie śląskim, zarzucając wręcz brak polityki historycznej w kontekście dbałości o polski Śląsk i przywracania pamięci o polskości Śląska.

Spójrzmy jednak i oceńmy w prawdzie. Przyszło nam sprawować rządy w czasie wielkich rocznic: 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, setnych rocznic powstań śląskich (lata 2019, 2020 i 2021) oraz 100. rocznicy powrotu Górnego Śląska do Polski (2022 r.), dlatego też wszelkie poczynania były nakierowane na to, aby jak najgodniej uczcić te wielkie rocznice. Z inicjatywy śląskich posłów z PiS Sejm RP przyjął uchwałę o ustanowieniu roku 2019 Rokiem Powstań Śląskich, a następnie okres ten wydłużono do 2022 r. Podobnie uczynił to Sejmik Województwa Śląskiego.

W tym czasie władze państwowe, samorządy różnych szczebli i inne instytucje oraz organizacje społeczne organizowały w całym województwie bardzo wiele różnych projektów i przedsięwzięć upamiętniających tamte wiekopomne wydarzenia. Przypomnę uroczystą defiladę 15 sierpnia 2019 r. „Wierni Polsce", z udziałem Andrzeja Dudy, prezydenta RP, i przedstawicieli rządu, na czele z premierem Mateuszem Morawieckim, która po raz pierwszy odbyła się w Katowicach i była kulminacyjnym punktem obchodów Święta Wojska Polskiego oraz 100. rocznicy wybuchu I powstania śląskiego. Było to szczególne oddanie hołdu powstańcom śląskim za ich umiłowanie ojczyzny i heroiczny zwycięski bój o polski Śląsk. W tym wspaniałym patriotycznym widowisku, które zapadło głęboko w pamięć i w serca, uczestniczyły setki tysięcy mieszkańców Śląska i miliony osób za pośrednictwem mediów.

Koniecznie trzeba wspomnieć główne uroczystości upamiętniające obchody 100. rocznicy wybuchu III powstania śląskiego. Tym razem odbyły się na Górze św. Anny 2 maja 2021 r. z udziałem Andrzeja Dudy, prezydenta RP, i połączone z obchodami Dnia Flagi Rzeczypospolitej. Jakże znamienne było podniesienie Flagi Rzeczypospolitej na maszt przez prezydenta RP, właśnie w tym symbolicznym miejscu, uświęconym ofiarą i krwią powstańców śląskich!

Ważne wydarzenie miało miejsce 4 lipca 2021 r. pod pomnikiem Powstań Śląskich w Katowicach. Prezydent RP

eprasa.pl 5ec60e9ca7

wręczył wtenczas przedstawicielom 100 samorządów tablice upamiętniające tamte historyczne wydarzenia. Podczas tych uroczystości prezydent RP Andrzej Duda przekazał na ręce rodziny Alfonsa Zgrzebnioka Order Orła Białego, który 2 maja 2021 r. nadał Alfonsowi Zgrzebniokowi, naczelnemu dowódcy powstań śląskich I i II (pośmiertnie). Był to jakże ważny i znamienny akt, wszak w ten sposób zostali uhonorowani wszyscy powstańcy śląscy, którzy wywalczyli polski Śląsk.

Ważnym wydarzeniem był powrót po 80 latach do Westybulu UW „Alegorii Województwa Śląskiego". Alegoria to cztery płaskorzeźby: „Śląsk Walczący", „Śląsk Rolniczy", „Śląsk Przemysłowy" i „Polonia Tronująca". Te wspaniałe płaskorzeźby wykonał wybitny artysta Jan Raszka, Ślązak z Cieszyna. We wrześniu 1939 r. niemiecki okupant zdemontował płaskorzeźby i ślad po nich zaginął. Z inicjatywy wojewody śląskiego Jarosława Wieczorka dokonano rekonstrukcji płaskorzeźb. Uroczyste odsłonięcie „Alegorii Województwa Śląskiego" odbyło się 3 września 2021 r. Warto przyjrzeć się płaskorzeźbie „Polonia Tronująca". W centrum znajduje się zasiadająca na tronie Polonia w koronie na głowie. Po jej bokach stróżują hutnik w fartuchu oraz górnik w galowym mundurze, oparci na tarczach z orłami polskimi, co symbolizuje gotowość do obrony Rzeczypospolitej, jej praw oraz polskości Śląska przez Ślązaków.

Podczas obchodów rocznicowych dużym zainteresowaniem cieszyły się pikniki powstańcze, rekonstrukcje wydarzeń i inscenizacje bitew. Fundacja Polskie Dziedzictwo Śląska przygotowała wystawę poświęconą wkładowi śląskich kobiet w walkę o polskość Śląska pt. „Śląskie kobiety – polskie twierdze", a także wydała książkę oraz wyprodukowała film pod tym samym tytułem. Wystawa odwiedziła wiele miast oraz gmin i cieszyła się wielką popularnością. Była także eksponowana wraz z filmem w Sejmie RP.

Bardzo podniosły przebieg miały uroczystości związane z 100. rocznicą powrotu Górnego Śląska do Polski. W wielu miastach zbudowano bramy triumfalne i przeprowadzano rekonstrukcje z tamtych wiekopomnych wydarzeń obrazujące wkraczanie Wojska Polskiego w 1922 r. na Górny Śląsk. Do takich ważnych wydarzeń należy zaliczyć odtworzenie 3 lipca 2022 r. w Rybniku na rynku wydarzeń sprzed 100 lat. To tu miał miejsce historyczny akt formalnie kończący przejmowanie przyznanej Polsce części Górnego Śląska. Przekazującym była Międzysojusznicza Komisja Plebiscytowa i Rządząca, przyjmującymi zaś byli przedstawiciele polskich władz państwowych, na czele z pierwszym wojewodą śląskim Józefem Rymerem.

Uniwersytet Warszawski wraz z innymi instytucjami organizował wiele konferencji oraz różnego rodzaju gry plenerowe szlakiem powstań śląskich czy konkursy dla młodzieży, choćby wspomnieć multimedialny konkurs historyczny pt. „Wojciech Korfanty – człowiek, który przywrócił Górny Śląsk Polsce", zorganizowany przez UW wraz ze Śląskim Kuratorium Oświaty. UW wraz z Polskim Radiem Katowice wyprodukował sześć odcinków radiowo-telewizyjnych pt. „Bohaterowie Powstań Śląskich i Plebiscytu. Ich marzenia o Polsce". UW wydał na rok 2021 tradycyjny kalendarz zrywkowy „Tobie Polsko – Historia na każdy dzień" pokazujący determinację ludu śląskiego w walce o polskość Śląska.

Należy podkreślić duży wkład IPN w Katowicach w organizację różnych uroczystości patriotycznych, projektów wystawienniczych i wydawniczych, także przy współudziale UW. Oznaczono wiele grobów powstańczych znakiem pamięci „Tobie Polsko". Należy wspomnieć wyemitowanie przez Pocztę Polską serie znaczków upamiętniających powstania śląskie i powrót Górnego Śląska do Polski. Także NBP wyemitował monety okolicznościowe upamiętniające te historyczne wydarzenia.

Jakże wielkim wydarzeniem zwieńczającym uroczyste kilkuletnie obchody tych wielkich rocznic było ustanowienie przez Sejm na wniosek Andrzeja Dudy, prezydenta RP, państwowego święta Narodowy Dzień Powstań Śląskich, przyjmując datę święta na 20 czerwca, upamiętniając w ten sposób wkroczenie 20 czerwca 1922 r. Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Stanisława Szeptyckiego na Górny Śląsk.

Przedstawiłem w zarysie tylko niektóre ważniejsze wydarzenia i przedsięwzięcia patriotyczne służące przywracaniu pamięci o powstańcach śląskich, którzy w trzech krwawych zrywach wywalczyli polski Śląsk, oraz o dzielnym ludzie śląskim, który przez wieki bronił swojej wiary, tradycji, kultury polskiej i języka polskiego. Na koniec kilka zdań poświęcę alei Polskiego Dziedzictwa Śląska, którą zbudowaliśmy dla uczczenia 100. rocznicy powrotu Górnego Śląska do Polski, o której autor w swoim artykule wyraził się lekceważąco, nazywając tragifarsą. Historyczny projekt edukacyjny „Aleja Polskiego Dziedzictwa Śląska" od początku był solą w oku tych, którzy opowiadają historię Śląska bez Polski. Dziwić może, że autor pisząc o tym projekcie, niejako wpisuje się w ich narrację. Patronat nad realizacją tego przedsięwzięcia objął wojewoda śląski. Aleja składa się ze 100 dębów zasadzonych przy głównej drodze na Nikiszowcu, zwanym nowymi Katowicami. Obok dębów znajduje się ścieżka dla pieszych ułatwiająca zwiedzanie. Każdemu z drzew przypisane jest znaczenie symboliczne. Wszystkie drzewa przypominają nam o postaciach i wydarzeniach świadczących o głębokim związku Śląska z Polską, już od czasów piastowskich. Przed każdym dębem jest tablica opisująca daną osobę czy wydarzenie. Pierwszy dąb dedykowany jest Mieszkowi I, który doprowadził do zjednoczenia Śląska z Polską, ostatni zaś jest uczczeniem 100. rocznicy powrotu Górnego Śląska do Polski.

Ważna część alei przeznaczona została dla budzicieli polskości. Poczesne miejsce poświęcono księżom katolickim, którzy odegrali kluczową rolę w podtrzymywaniu i krzewieniu polskości na Śląsku. Swoje dęby pamięci mają powstańcy śląscy, na czele z Wojciechem Korfantym i Alfonsem Zgrzebniokiem. W alei szczególne miejsce zajmują kobiety śląskie, które wykazały się w działalności społecznej niezwykłą siłą, determinacją i odwagą. Były niczym niezdobyte twierdze na straży polskości. Tworząc aleję Polskiego Dziedzictwa Śląska, pozostawiamy potomnym żywy pomnik świadczący o głębokim związku Śląska z Polską i pamięci o dzielnym ludzie śląskim oraz jego bohaterach.

Gdy czytelnicy tygodnika „Do Rzeczy" porównają te dwa artykuły – Andrzeja Krzystyniaka „Osiem zmarnowanych lat" i mój polemiczny artykuł – łatwo mogą

eprasa.pl 5ec60e9ca7

wyciągnąć stosowne wnioski, czy te lata rządów Prawa i Sprawiedliwości były zmarnowane czy raczej odwrotnie. Owszem, zawsze można było lepiej i więcej, a nawet powinno tak być, wszak wrogowie Polski i polskiego Śląska nie śpią i ze zdwojoną energią podejmują swoje wywrotowe i separatystyczne działania. Zapewne nasi dzielni praojcowie, którym zawdzięczamy polski Śląsk, wzywają nas do nieustannej czujności i walki. Nie zmarnujmy ofiary i krwi powstańców śląskich, którą przelali w walkach z Niemcami o wolną Polskę i polski Śląsk.

Czesław Sobierajski,
doradca wojewody śląskiego w latach 2020–2023

OD AUTORA

Bez zdziwienia przeczytałem nadesłany do redakcji „Do Rzeczy" list autorstwa Czesława Sobierajskiego, „doradcy wojewody śląskiego Jarosława Wieczorka do spraw polityki historycznej", napisany w reakcji na mój tekst pt. „Osiem zmarnowanych lat". Spodziewałem się nadesłania obszernej listy „sukcesów" na polu historycznym z ostatnich lat. List ten ma w zamyśle stanowić polemikę z moim artykułem, który zawierał krytykę „polityki historycznej", a raczej jej braku przez ostatnie osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy. Co ciekawe, na wstępie Czesław Sobierajski „tytułuje" mnie złośliwie „zastępcą dyrektora w Urzędzie Wojewódzkim", co ma sugerować niską rangę i brak kompetencji do oceny opisywanych przeze mnie działań na polu polityki historycznej. Pominę komentarz.

Autor nie zauważył albo nie chciał zauważyć najważniejszej tezy mojego tekstu będącej jednocześnie pytaniem: Dlaczego to lista propolskich historyków, pisarzy, naukowców na Śląsku świeci pustkami? Z kolei dla wielu bardziej nęcąca jest propozycja zajęcia pozycji po stronie „wielokulturowości". Może dlatego, że jedyny wysiłek, na który stać było państwo polskie, to zorganizowanie „akademii ku czci" czy w najlepszym razie „szeregu wystaw rocznicowych". Czy to zdaniem autora miało odwrócić spychanie polskości na margines i zachęcić do propagowania polskości? Bo jak sam zauważa: „Wszak wrogowie Polski i polskiego Śląska nie śpią i ze zdwojoną energią podejmują swoje wywrotowe i separatystyczne działania".

Szkoda, że zamiast refleksji nad powyższym pytaniem czytelnik dostaje listę „sukcesów" i „szeregu inicjatyw", które w mniemaniu autora mają być dowodem na intensywność działań państwa polskiego w kultywowaniu polskości na Śląsku. Jednak wymieniona lista jest ni mniej, ni więcej potwierdzeniem tezy o zmarnowanych latach i braku pomysłu na stulecie powstań śląskich oraz rocznicę powrotu części Górnego Śląska do Polski. Rocznice te jednak już przeminęły, potraktowane sztampowo, jak każda rocznica, zorganizowaniem akademii „ku czci", złożeniem kwiatów pod pomnikami oraz okolicznościowymi przemówieniami prominentnych osób, połączonymi z uroczystym podniesieniem flagi państwowej, dodajmy, że zwykle przy garstce widzów. Jak w przypadku głównych uroczystości upamiętniających obchody 100. rocznicy wybuchu III powstania śląskiego na Górze św. Anny, 2 maja 2021 r., z udziałem Andrzeja Dudy, prezydenta RP, które były połączone z obchodami Dnia Flagi Rzeczypospolitej. Małą frekwencję może usprawiedliwiać czas pandemii w ówczesnym okresie.

Podobne uroczystości są organizowane przez władze państwowe i samorządowe co roku z okazji różnego typu rocznic. Zauważamy, że zwykle w godzinach przedpołudniowych w czasie pracy osób, które biorą w nich udział. Wspomniane przez Czesława Sobierajskiego niektóre ze zrealizowanych inicjatyw, takie jak np. „sześć odcinków radiowo-telewizyjnych pt. »Bohaterowie Powstań Śląskich i Plebiscytu. Ich marzenia o Polsce«", są dziś dostępne na kanale YouTube. W chwili pisania przeze mnie tekstu każdy z odcinków posiada nie więcej niż 200–400 wyświetleń uzyskanych w ciągu trzech lat. Nie pytam o koszty produkcji. Pomijam również wątpliwą atrakcyjność materiału dla potencjalnego widza. Ciekawie brzmi jeden z rocznicowych sukcesów, którym było wydanie na rok 2021 tradycyjnego kalendarza zrywkowego: „Tobie Polsko – Historia na każdy dzień", który zdaniem autora miał pokazać „determinację ludu śląskiego w walce o polskość Śląska". Pominę komentarz.

Dodajmy gwoli ścisłości, że – jak pisze autor – wiele fundacji i stowarzyszeń zainicjowało ciekawe i wartościowe przedsięwzięcia. To prawda, do tej listy mógłbym dopisać jeszcze co najmniej kilka. Jednak, na Boga, nie o to w tym wszystkim chodzi. Mieliśmy do czynienia ze 100-letnią rocznicą trzech powstań śląskich i powrotu Górnego Śląska do Polski! Bystry obserwator w moim tekście może zwrócić uwagę na jeden bardzo ważny szczegół. Otóż główne uroczystości rocznicowe były organizowane pod pomnikiem na Górze św. Anny oraz pomnikiem Powstańców Śląskich w Katowicach, obydwa pomniki powstały w Polsce rządzonej przez reżim komunistyczny. W zamyśle ówczesnych władz miały one, zwłaszcza pomnik Powstańców Śląskich, którego kształt już na trwałe wpisał się w symbolikę Katowic, upamiętnić wysiłek powstańców śląskich, symbolizować dążenie Ślązaków do połączenia z Polską. Czy taką rolę odegrają wychwalane przez autora dęby zasadzone na obrzeżach miasta? Nawiasem mówiąc, wspomniana ścieżka edukacyjna obok dębów okazała się pełna błędów, co zauważył i wytknął jeden ze śląskich portali internetowych. Czy taką rolę odegrają podarowane samorządowcom tablice pamiątkowe? Można powątpiewać, nawet przy sporej dozie życzliwości. Czy w wolnej Polsce nie stać nas było na nic więcej?

Po przeczytaniu listu Czesława Sobierajskiego, zarzucającego mi nierzetelność, nasuwa mi się pewna humorystyczna metafora. W polskiej komedii wojennej pt. „Jak rozpętałem drugą wojnę światową" w jednej ze scen sierżant Legii Cudzoziemskiej uspokaja głównego bohatera, Franka Dolasa, przerażonego funkcją kucharza, by ten nie obawiał się nim zostać, ponieważ nieważne jest, że kompletnie nie potrafi gotować, gdyż jego koledzy zjedzą wszystko, byle to nie były konserwy. Mam wrażenie, że podobnie jest z „szeregiem uroczystości rocznicowych", które nie mogą, jak można zauważyć, podlegać niczyjej ocenie, skoro mają w sobie wydźwięk pełen patriotycznych frazesów. Każda, nawet najbardziej błaha i nieudana inicjatywa zostanie okrzyknięta sukcesem. Zamiast chwalenia się „szeregiem inicjatyw" i rzucania oskarżeń, zachęcałbym dla naszego wspólnego dobra do refleksji nad postawionym na początku tekstu pytaniem.

Andrzej Krzystyniak

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zbrodnia na ul. Poznańskiej

To była akcja niemająca odpowiednika w całej okupowanej przez Niemców Europie. Oto organizacja, będąca narzędziem i agenturą sowieckiego imperializmu, nominalnie powołana do walki z Niemcami, wchodzi z nimi w konszachty i wspólnie z nimi dokonuje eksterminacji przeciwników politycznych. O co chodzi? O skrywaną przez wiele powojennych lat kolaborację PPR i GL-AL z Niemcami.

17 lutego 1944 r. doszło do zadziwiającej (ale nie dla wszystkich) kombinacji. Warszawskie gestapo, Ekspozytura NKWD i jej odnogi wspólnie przeprowadziły zamach na siedzibę jednej z newralgicznych komórek Delegatury Rządu na Kraj mieszczącą się przy ul. Poznańskiej 37 (m. 20) w Warszawie. Ze strony „polskiej" organizatorem i koordynatorem operacji był Marian Spychalski, szef Wydziału Informacji AL, w istocie rezydent sowieckiego wywiadu. Oddelegowani przez niego funkcjonariusze AL po wojnie porobili kariery m.in. w Informacji Wojskowej. Ze strony niemieckiej oddelegowany był Hauptsturmführer Wolfgang Birkner z warszawskiego gestapo (wcześniej osławiony dowodzeniem „Kommando Bialystok" podczas eksterminacji Żydów w 1941 r., m.in. w Jedwabnem). Ale operacja nie mogłaby się odbyć bez pomysłu i koordynacji działań prowadzonych przez niejakiego Bogusława Hrynkiewicza. Był to przedwojenny członek KPP, agent NKWD (zarejestrowany jako „Lux" i „Inspektor z Białegostoku"). Podczas okupacji udawał skruszonego komunistę i oferował swą niebagatelną wiedzę różnym organizacjom konspiracyjnym. Można powiedzieć, że był agentem rotacyjnym. Potrafił się wkręcić do Ruchu Miecz i Pług, organizacji niepodległościowej mającej olbrzymie zasługi, w tym m.in. wywiadowcze. Wszedł też do Delegatury Rządu, penetrując jej archiwum. Ale przede wszystkim był enkawudzistą przy wywiadzie Armii Ludowej.

Akcja rozpoznania przez niego archiwum skończyła się tragicznie dla siedmiu funkcjonariuszy DR. Zostali oni w trakcie wspólnej (!) operacji gestapo, NKWD i AL zamordowani. Zdobycz została podzielona „sprawiedliwie". Niemcy przejęli dokumentację gromadzoną na temat ich zbrodni w okupowanej Polsce. Komuniści (enkawudziści) przejęli dokumentację dotyczącą ich działalności przeciwko agendom Polskiego Państwa Podziemnego. Wkrótce Spychalski zabrał te materiały do Moskwy, gdzie za owe zasługi mianowany został od razu majorem, choć nigdy w WP nie służył. I bardzo szybko stał się… marszałkiem „ludowego" WP. Hrynkiewicz zaś został „zaledwie" pułkownikiem. Birkner zaś zatarł za sobą ślady – oficjalnie zginął na Pomorzu w marcu 1945 r. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Krwawe dni Warszawy

Klęska Rosji w wojnie krymskiej obudziła nadzieje Polaków na poprawę ich sytuacji. Tym bardziej że niemal równocześnie zmarli Mikołaj I i namiestnik Królestwa Kongresowego, Iwan Paskiewicz. Oczekiwano, że nowy car zdecyduje się na daleko idące zmiany. Aleksander II doskonale wiedział, że imperium potrzebne są reformy, lecz nie przewidywał autonomii dla upartych Polaków. Po przybyciu do Warszawy w maju 1856 r. wypowiedział znamienne słowa: „Żadnych marzeń, panowie!". Ogłosił jednak amnestię i zezwolił na powrót emigrantów.

Nie zadowoliło to właściwie nikogo i w Kongresówce zaczęło narastać wrzenie, a pierwszą okazją do publicznej demonstracji stał się pogrzeb wdowy po bohaterskim obrońcy Woli, gen. Józefie Sowińskim (czerwiec 1860 r.). Kilka miesięcy później, w 30. rocznicę wybuchu powstania listopadowego, odprawiono mszę żałobną w kościele Karmelitów na Lesznie. Wieczorem przed świątynią młodzież zaintonowała „Boże, coś Polskę" ze zmienionym refrenem („Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie"). W drodze do domów śpiewano nawet „Mazurka Dąbrowskiego", wywołując prawdziwy popłoch na ulicach.

W rocznicę bitwy o Olszynkę Grochowską zorganizowano kolejną manifestację, tym razem z chorągwią z wizerunkiem Orła i litewskiej Pogoni. Naprzeciwko demonstrantów stanął (w pojedynkę!) oberpolicmajster Fiodor Trepow, nawołując tłum do rozejścia. Trudno nie podziwiać odwagi – czy też pychy – carskiego urzędnika, ale policjant „przy wodotrysku dostał po pysku". Cała sytuacja znakomicie poprawiła humor zebranym, skończyło się jednak na tym, że do akcji wkroczył oddział żandarmów. Manifestantów, wśród których było wiele kobiet, płazowano szablami i obalano końmi. W efekcie aresztowano 30 osób.

Dwa dni później, 27 lutego 1861 r., pod Pałacem Namiestnikowskim pojawiła się potężna demonstracja z żądaniem uwolnienia aresztowanych. Na czele pochodu niesiono krucyfiks i obraz Matki Bożej, co jednak nie powstrzymało Kozaków. W odpowiedzi napastników obrzucono kamieniami i grudami zmarzniętego błota, a dowodzący akcją gen. Wasyl Zabłocki nakazał otwarcie ognia. Zginęło pięciu demonstrantów, których zwłoki przeniesiono na „noszach z lasek i parasoli" do Hotelu Europejskiego.

Władze rosyjskie zgodziły się na uroczysty pogrzeb zabitych, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich stanów i wyznań (również rabini). Jednak był to gest bez znaczenia, bo carski namiestnik, książę Michaił Gorczakow, dostał już nakaz stłumienia zamieszek siłą. Dla Warszawy nadeszły krwawe dni… ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Szkolna droga krzyżowa

Strajk uczniów we Włoszczowie w obronie krzyży w szkołach, 1984 r. FOT. TELEWIZJA WŁOSZCZOWA

Sławomir Siwek

Od początku sowieckiej okupacji usuwano krzyże ze szkół

Donald Tusk w czasie rozmowy z internautami 5 sierpnia 2021 r. Pytanie: „Czy w szkołach powinny wisieć krzyże?". Odpowiedź: „Uważam, że nie…". Współczuję. Każdy, kto czuje się nieszczęśliwy, patrząc na krzyż, zasługuje na współczucie...

FALA I. ROK 1948

Skończyło się udawanie demokracji – przystąpiono w krajach okupowanych przez Armię Czerwoną do instalowania stalinizmu. Główny atak nastąpił na Górnym Śląsku. Rozpoczęto wynoszenie krzyży ze szkół. W historii zapisało się stwierdzenie nauczyciela, kuratora śląskiego Jerzego Bereka: „Wizerunek ukrzyżowanego budzi instynkty krwiożercze...". Co interesujące – pan Berek był protestantem.

Uczniowie zastosowali różne, trudne władzy do ogarnięcia formy protestu. W szkole w Żorach codziennie wieszano krzyże, które w nocy znikały, na drugi dzień było tak samo, akcja trwała tygodniami. W salach, gdzie początkowo przewieszono krzyże na ściany boczne, uczniowie demonstracyjnie przestawiali ławki frontem do wizerunku.

Uczniom grożono i stosowano różne kary, gnębiono także rodziców przez milicję i organy bezpieczeństwa, wydalano uczniów ze szkół.

Jednocześnie trwała akcja usuwania religii ze szkół. Na Śląsku społeczeństwo zareagowało bezprecedensowo – zebrano ponad 100 tys. podpisów pod petycją do Rady Państwa w obronie krzyży i religii w szkołach. Pamiętajmy, że mówimy o czasach terroru stalinowskiego i powszechnej atmosfery grozy.

Równie aktywnie broniono katolickie szkoły przed likwidacją. Na pewien czas udało się to np. w przypadku szkół handlowych w Częstochowie prowadzonych przez zgromadzenia żeńskie.

FALA II. ROK 1958

„Odwilż" po październiku 1956 r. skończyła się szybko. W sierpniu 1958 r. wydano okólnik „o przestrzeganiu świeckości szkoły" i znowu zdejmowano krzyże (zawieszono je po październiku i zwolnieniu prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego z więzienia). Wystarczyły dwa tygodnie, by w obronie krzyża miały miejsce 832 demonstracje, brało w nich udział 70 okupowanych szkół, podjęto 1,3 tys. akcji ponownego wieszania krzyża. W 40 przypadkach do akcji wysłano jednostki milicji.

Represjom (areszty, grzywny) poddano ponad 2 tys. osób. W samym województwie warszawskim ponad 500. Przy czym raportowano wystąpienia powyżej 100 osób.

Kulminacja walki z Kościołem i religią w czasach gomułkowskich bez wątpienia nastąpiła w1966 r. w czasie przygotowań i obchodów 1000 lat od Chrztu Polski.

FALA III. PRZEŁOM LAT 1983 I 1984

Już po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. co gorliwsi dyrektorzy szkół rzucili się do zdejmowania krzyży zawieszonych w czasie Solidarności. Kulminacja nastąpiła tuż po wyjeździe Jana Pawła II po pielgrzymce do Polski w czerwcu 1983 r. Władze były przerażone postawą papieża i wpływem jego nauczania na młodzież. W czasie Apelu Jasnogórskiego Jan Paweł II wezwał młodzież: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali […], a więc czuwajcie!".

Ponadto skończył się w polityce władz okres stanu wojennego, gdy potrzebne były w miarę dobre stosunki z prymasem Polski i biskupami dla łagodzenia nastrojów społecznych. W 1984 r. załamały się rozmowy na temat kościelnej Fundacji Rolniczej mającej miliardami dolarów wspomóc rozwój prywatnego rolnictwa – spokój chłopów też, wydawało się, nie miał już znaczenia. Solidarność powszechna i rolnicza wydawały się stłamszone. W październiku 1984 r. zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę. Era Gorbaczowa zaczęła się w 1985 r. – wtedy dopiero komuniści zaczęli się cofać.

Natomiast we wrześniu 1983 r. młodzież wróciła do szkół i zastała gołe ściany w klasach. Protesty i strajki trwały miesiącami w całej Polsce od jesieni 1983 r. do grudnia 1984 r. Symboliczne stały się protesty, strajki okupacyjne, demonstracje w Zespole Szkół Rolniczych w Miętnem (diecezja siedlecka) czy Zespole Szkół Zawodowych we Włoszczowie (diecezja kielecka).

W Miętnem relegowano 170 uczniów bez prawa zdawania matury. We Włoszczowie uczniowie dodatkowo wzburzeni zamordowaniem ks. Jerzego Popiełuszki podjęli strajk okupacyjny w grudniu 1984 r. Represjonowano 250 uczniów, dwóm

eprasa.pl 5ec60e9ca7

towarzyszącym im młodym wikarym z parafii wytoczono procesy i skazano ich.

Miętne i Włoszczowa były głośne, bo informacja rozniosła się na cały świat. Jednak lata stanu wojennego i po nim to był czas wojny o krzyże w całym kraju. Szczególnie zaskoczyła władze Gdańska i Gdyni gwałtowność protestów szkolnych. Zaczęło III LO w Gdańsku-Wrzeszczu. Protesty podjęły m.in. IX LO w Gdańsku czy II LO w Sopocie. Na Msze św. w obronie krzyży w szkołach stawiały się tysiące młodych. Okazało się, że protestowały szkoły, uczniowie, rodzice i wielu nauczycieli wcale nie tylko w małych ośrodkach czy na wsi, lecz także właśnie w dużych miastach. Walkę władz z krzyżami odbierano jako ograniczanie praw człowieka i uderzenie w godność młodzieży.

ZAŁĄCZNIK NR 2

Do protokołu z posiedzenia Komisji Wspólnej rządu i Episkopatu 20 grudnia 1983 r. w gmachu Sejmu strona kościelna jako Załącznik nr 2 złożyła „Pro memoriam" sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski, ks. abp. Bronisława Dąbrowskiego. Oto interesujący dla tego artykułu fragment obszernego materiału, opisującego ponadto także system propagandy antyreligijnej i antykościelnej w mediach – prawie w całości będących w dyspozycji komunistów.

„IV Usuwanie Krzyża

Oto przykład usuwania krzyża:

1. Po akcji zdejmowania Krzyża w szkole Podstawowej w Biłgoraju rozpoczętej 1 września 1983 r. i kierowanej przez dyrektora Szkoły Gminnej – 30 września wieczorem o godz. 18 przyniesiono do parafii Krzyż znaleziony przez sprzątaczkę w pojemniku na śmieci w ubikacji szkolnej;

2. W Suwałkach od początku tego roku walkę z Krzyżem prowadzi Naczelnik Gminy i sekretarz partii. Nakazy usuwania Krzyża złączone są z sankcją: »inaczej dyrektor będzie zwolniony«;

3. W październiku br. usunięto Krzyż ze szkół i zakładów pracy w Kobyłce k. Warszawy. Tę godną ubolewania akcję zorganizował nowy sekretarz partii i nowy Naczelnik Miasta – obaj spoza terenu miasta;

4. W Pruszkowie w LO, nauczycielka Jadwiga Wiśniewska w dniu 21 września br. nakazała młodzieży – w imię świeckości szkoły – zdjąć łańcuszki z medalikami i krzyżykami;

5. W Kielcach-Białogonie w Szkole Podstawowej nr 20, gdzie Krzyże zostały zawieszone przez rodziców w porozumieniu z KOS w r. 1981 – usunięto je w październiku 1983 r. Akcja złączona była z drwinami z krzyżyków nawet noszonych przez dzieci, z lekceważeniem rodziców przez dyrekcję szkoły. Natomiast na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym POP PZPR przy kieleckiej Fabryce Pomp dyrektor Jan Solecki oświadczył, że dyrektorowi Edmundowi Górce /Szkoła nr 20/ należy się »cześć i chwała« za wyrzucenie Krzyży ze szkoły itd.

V W ślad za usuwaniem Krzyża idzie usuwanie ludzi wierzących z pracy

Oto przykłady:

1. P. Marianna Ponichtera, jako jedna z matek dzieci szkoły w Ugniewie gm. Ostrów Wielkopolski, stanęła w obronie Krzyża na ścianach szkoły na zebraniu Komitetu Rodzicielskiego w dniu 5 X 1983 r. i na zadane jej prywatnie pytanie oświadczyła, że w przedszkolu, w którym jest wicedyrektorem – krzyż wisi. W konsekwencji tego została zawieszona w pracy z dniem 10 X br. Jest to jeden z wielu przykładów dyskryminacji osoby o wybitnych osiągnięciach zawodowych i nienagannej postawie – w środowiskach oświaty i wychowania szczególnie częste;

2. Andrzej Pogorzelec, kierownik Działu Administracji w Zakładzie transportowym PTHW w Zabrzu – został zwolniony z pracy za noszenie krzyżyka w klapie marynarki. Decyzja zapadła na zebraniu egzekutywy POP przy zakładzie pracy;

3. Rodzice dzieci Szkoły Podstawowej nr 2 w Białej Podlaskiej domagali się pozostawienia Krzyża na ścianach szkoły – czynili o to usilne starania. Gdy w grupie przybyli do szkoły, by ponowić prośbę, dyrektorka wezwała prokuratora i milicję. Milicja następnie zaczęła wzywać i nękać przesłuchaniami wiele osób. Także wojewoda – na petycje przedstawicieli rodziców – odpowiedział, że »będą wyciągnięte konsekwencje«;

4. W Biłgoraju w Technikum Elektryczno-Mechanicznym dnia 4 X br. zaczęto weryfikować nauczycieli, w których klasie wisiał jeszcze Krzyż. Dano termin dwóch dni na zdjęcie Krzyża i uświadomiono konsekwencje niewykonania polecenia;

5. W I LO w Gorzowie Wlkp. od początku tego roku szkolnego prowadzona jest nagonka na uczniów, którzy noszą krzyżyk lub medalik na szyi. Zobowiązuje się ich pod groźbą do zdjęcia oznak wiary;

6. Dyrektor Szkoły Podstawowej w Niemcowiźnie woj. Suwałki groził Komitetowi Rodzicielskiemu, który upomniał się o powrót Krzyża na ściany szkoły – więzieniem i mścił się na dzieciach rodziców, którzy zajęli się sprawą.

VI Wysuwane błędne wnioski

1. Z Kościołem możliwy jest jedynie consensus na płaszczyźnie politycznej, ale pod warunkiem ograniczenia aspiracji i jego wpływów do takich pól i ról działania, które nie są wyraźnie zastrzeżone dla prerogatyw socjalistycznego państwa/ Rzeczywistość nr 46 z 13 XI 83 K. Pieleszek, »A jednak na klęczkach«/.

2. Interesom ogólnopaństwowym muszą być podporządkowane dążenia wszystkich pozostałych struktur społecznych W. Lebiedziński, „Rzeczywistość" nr 39/83/.

3. Należy przyjmować chłopów i robotników wierzących do partii i intensywnie ich indoktrynować /jw./;

4. Należy rozszerzać badania religioznawcze z pozycji marksistowskich jako niezbędne w walce »przeciwnych marksizmowi orientacji metodologicznych« /Trybuna Ludu z 4 XI 83 r. J. Godlewski, »Potrzeby religioznawstwa«/.

Przygotowane wyżej cytaty i tezy świadczyć mogą o przygotowaniu kampanii przeciwko Kościołowi. Ton i tendencja cytowanych wyżej wypowiedzi i stwierdzeń świadczy o tym.

Wszystko to nie wyczerpuje katalogu insynuacji kierowanych przeciwko Kościołowi i duchowieństwu. Nie świadczy to o przypadkowości, ale o zaplanowanym działaniu".

Cui bono?!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Nagroda dla szkoły we Włoszczowie

29 lutego 2024 r. – w 40. rocznicę protestów przeciwko usuwaniu krzyży ze szkół w Polsce – Zespół Szkół nr 3 im. Stanisława Staszica we Włoszczowie otrzyma Nagrodę im. ks. bp. Romana Andrzejewskiego.
Tygodnik „Do Rzeczy" jest patronem tej nagrody.

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Putin bezalternatywny

Maciej Pieczyński

Julia Nawalna nie będzie nowym Aleksiejem Nawalnym, co najwyżej nową Cichanouską, ku uciesze Kremla. Wraz ze śmiercią jedynego prawdziwego opozycjonisty w Rosji skończyła się jakakolwiek rywalizacja polityczna. Putin przed wyborami prezydenckimi ma bardzo komfortową sytuację

FOT. KREMLIN.RU

Matka Aleksieja Nawalnego oznajmiła, że władze pozwoliły jej zobaczyć ciało syna. Kreml najpewniej obawia się, że pogrzeb mógłby zamienić się w demonstrację polityczną, dlatego – jak mówi Ludmiła Nawalna – władze groźbami chcą wymusić na niej zgodę na pochówek bez pożegnania.

Być może nigdy się nie dowiemy, co dokładnie wydarzyło się 15 lub 16 lutego w kolonii karnej „Wilk Polarny" w miejscowości Charp, 60 km na północ od koła podbiegunowego. Niezależnie jednak od tego, czy Aleksiej Nawalny został zamordowany czy też zmarł z przyczyn naturalnych, wynikających z ciężkich warunków uwięzienia, za jego śmierć odpowiada i tej śmierci beneficjentem jest Władimir Putin. Pozbył się najpoważniejszego rywala z grona opozycji antysystemowej. I to naprawdę niewielkim kosztem, bo ani niemrawe i nieliczne w skali kraju protesty zwolenników zabitego, ani ewentualna presja Zachodu w tym momencie dziejowym na władcy Kremla wrażenia nie zrobią.

Gdy na początku 2021 r. Nawalny wracał do Rosji, było wiadomo, że trafi do łagru. Czy był samobójcą, który woli być martwym symbolem niż żywym emigrantem? Czy też może liczył na protekcję którejś z baszt Kremla, co by potwierdzało teorię, że założyciel Fundacji Walki z Korupcją jest zblatowany z częścią elit władzy? A może po prostu nie docenił reżimu? To była nieco inna Rosja niż ta obecna. Przed inwazją na Ukrainę Putin nieco bardziej liczył się z opinią Zachodu. Mordował przeciwników, ale raczej w białych rękawiczkach, nie pozostawiając jednoznacznych dowodów. Siedząc za kratami, Nawalny mógł początkowo liczyć na to, że włos mu z głowy nie spadnie, bo odpowiedzialność Kremla byłaby zbyt oczywista i zbyt kłopotliwa wizerunkowo. Jednak w tym czasie Putin przykręcił śrubę i przestał dbać o jakiekolwiek pozory. Śmierć Nawalnego symbolicznie pokazuje, że w Rosji nie ma miejsca na żadną opozycję. Putin dowiódł, że z przeciwnikami politycznymi może zrobić dosłownie wszystko, i to w zasadzie bezkarnie. Co istotne, dowiódł tego miesiąc przed wyborami prezydenckimi. Nawalny i tak nie mógłby w nich wystartować, ale miał możliwość, poprzez swoich współpracowników, zza krat dawać nadzieję i zagrzewać do walki. Niedługo przed śmiercią poparł akcję „Południe przeciwko Putinowi". Chodzi w niej o to, aby w dniu wyborów przeciwnicy obecnego prezydenta poszli do lokali wyborczych równo o godz. 12, w ten bezpieczny, ale jednocześnie czytelny sposób demonstrując władzy swoje niezadowolenie. To niewiele, ale na nic więcej nie stać dziś przeciwników Putina.

Podobnym aktem biernego protestu przeciwko władzy były kolejki podpisujących się pod kandydaturą Borysa Nadieżdina. Polityka systemowego, bardziej znanego niż popularnego, niebudzącego zaufania ani większego szacunku, za to jedynego, który był gotów (z własnej inicjatywy czy jako projekt Kremla – to inna sprawa) wystartować w wyborach z hasłami umiarkowanie antywojennymi. To pokazało Putinowi dość sporą, jak na rosyjskie warunki, skalę niezadowolenia z jego polityki. Władca Kremla w polityce wewnętrznej nie ma zamiaru ryzykować. Wychodzi najpewniej z założenia, że najbezpieczniej jest się pozbyć wszelkich potencjalnych zagrożeń. Dlatego systemowy rywal Nadieżdin nie został dopuszczony do wyborów, a antysystemowy wróg Nawalny do wyborów nie dożył.

SKALA ZWYCIĘSTWA

Wiadomo, że Putin zostanie prezydentem. Jedyną stawką wyborów jest skala zwycięstwa. Im niższy wynik, tym większa może być odwaga i pozycja tej części elit władzy, która może być zmęczona wojną i wolałaby pójść na kompromis z Zachodem, by dalej prowadzić z nim biznes. To jednak tylko potencjalna kropla, która nie wydrąży skały. Nawet jeśli Putin nie

eprasa.pl 5ec60e9ca7

zdobędzie oczekiwanych (zdaniem niektórych) 80 proc. głosów, to brakujący procent sobie dorysuje, jeśli tylko zechce. A Rosjanie nie pisną słowem. I to wcale niekoniecznie dlatego, że masowo popierają obecną władzę i jej kurs. To już nie są czasy euforii po aneksji Krymu. Zmęczenie wojną (i strach przed osobistym w niej udziałem) z pewnością jest dość powszechne. Rosjanie są jednak w swej masie z natury pasywni, niezainteresowani polityką i nieskłonni do ryzyka. Obecna sytuacja dodatkowo sprzyja takiemu nastawieniu.

Strach przed represjami jest naturalny i będzie się tylko zwiększać. Według danych z października 2023 r. w rosyjskich więzieniach przebywa co najmniej 185 osób z powodów czysto politycznych. Wśród nich są zasłużeni liderzy opozycji, tacy jak Władimir Kara-Murza czy Ilja Jaszyn. Po śmierci Nawalnego z pewnością mogą się obawiać, że są następni w kolejce. I wiedzą, że skoro nikt nie był w stanie uratować uwielbianego na Zachodzie lidera Fundacji Walki z Korupcją, to tym bardziej nikt skutecznie nie kiwnie palcem w ich obronie.

Rosyjska opozycja stoi przed nierozwiązywalnym dylematem. Żeby mieć jakiekolwiek szanse na zdobycie poparcia społecznego, musi działać w kraju. Doskonale wiedział o tym Nawalny, dlatego przede wszystkim wrócił do kraju. Emigracja skazuje przeciwników Putina na pozycję aktywistów popularnych na Zachodzie, ale pozbawionych realnego wpływu na rodaków, raczej publicystów niż polityków. Z kolei działalność w kraju, jak widać, może mieć tylko dwa wymiary. Można albo udawać opozycjonistę, albo nim być. Udawać znaczy być narzędziem w rękach władzy. „Spojlerem", czyli siłą polityczną, której zadaniem jest udawać opozycję, rozpraszać głosy prawdziwej opozycji i po cichu odgrywać napisaną na Kremlu rolę w politycznym teatrze. Być opozycjonistą oznacza natomiast więzienie i, być może, śmierć. Można oczywiście liczyć na to, że podczas odbywania wyroku odgórnie zmieni się władza, a nowa ekipa, w ramach liberalizacji systemu, wypuści więźniów politycznych, a nawet użyje ich jako propagandowego narzędzia i swojej polisy ubezpieczeniowej, chroniącej przed rozliczeniem za putinizm. Ale to, najdelikatniej rzecz ujmując, ryzykowna rachuba.

„Udawaną opozycją" są z pewnością jedyni zarejestrowani kontrkandydaci Putina. Ostatni sondaż państwowego Centrum Badania Opinii Publicznej (WCIOM) daje 2 proc. Borysowi Słuckiemu i po 4 proc. Nikołajowi Charitonowowi oraz Władisławowi Dawankowowi. Na Putina swój głos oddałoby 79 proc. wyborców.

Siedemdziesięciopięcioletni Charitonow, najstarszy kandydat w historii wyborów prezydenta Rosji, jest przedstawicielem Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej. Słucki na stanowisku przewodniczącego Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji (nacjonalistycznej w rzeczywistości) zastąpił nieżyjącego Władimira Żyrinowskiego. Zarówno KPRF, jak i LDPR to partie „systemowej opozycji", w pełni lojalne wobec Kremla, w niektórych aspektach bardziej nawet od Kremla radykalne.

Najmniej proputinowskim „rywalem" Putina jest Dawankow, 40-letni działacz nowej liberalnej partii Nowi Ludzie. Ugrupowanie zostało bez problemów ze strony władzy, i rok później dostało się do parlamentu. Dlatego powszechnie uznawane jest za „spojler". Dawankow, podobnie jak Charitonow i Słucki, popiera inwazję na Ukrainę i generalnie imperialny kierunek polityki Putina. Ponadto podpisał się pod listą poparcia Nadieżdina, a po tym, jak antywojennemu kandydatowi odmówiono rejestracji, zapowiedział, że chce się z nim porozumieć i włączyć część jego obietnic do własnego programu. Nazwał śmierć Nawalnego „tragedią dla jego bliskich". Antysystemowa opozycja zdążyła się już o niego pokłócić. Działający w pojedynkę bloger Maksym Kac, wcześniej wzywający do poparcia dla Nadieżdina, teraz swoim zaufaniem obdarzył Dawankowa. Ostro za to skrytykowała go Lubow Sobol. Jedna z najbliższych współpracownic Nawalnego zauważyła, że w kluczowych sprawach Dawankow mówi językiem Putina.

EMIGRANCI

Pozostaje jeszcze opozycja na emigracji. Poza Kacem i działającymi za granicą aktywistami Fundacji Walki z Korupcją są to przede wszystkim Michaił Chodorkowski, Garri Kasparow czy Ilja Ponomariow. Największym autorytetem cieszy się Chodorkowski. Budzi szacunek jako były więzień Putina. Odważny, bo nie bał się rzucić wyzwania Kremlowi, ale też rozważny, bo w odpowiednim momencie wyjechał z kraju. Chodorkowski i Kasparow opracowali deklarację rosyjskich sił demokratycznych, wzywającą Moskwę m.in. do wycofania się z Ukrainy. Inwazję zza krat zdążył też potępić Nawalny, który w przeszłości niejednoznacznie wypowiadał się na temat przynależności Krymu. Z kolei Ponomariow przebywa na Ukrainie i współtworzy rosyjskie oddziały ochotnicze do walki po stronie Kijowa, organizuje też kolejne „zjazdy deputowanych ludowych", zrzeszające byłych polityków rosyjskich szczebla regionalnego, i jako jedyny nawołuje wprost do siłowego obalenia władzy w Rosji, w sojuszu z Ukrainą.

Wreszcie nie sposób nie wspomnieć o Julii Nawalnej, która zapowiedziała, że będzie kontynuować dzieło Aleksieja. Część komentatorów widzi w niej godną następczynię tragicznie zmarłego męża. Była w pewnym sensie jego prawą ręką. Wspierała go, doradzała mu i towarzyszyła w wielu wystąpieniach publicznych. To wszystko jednak robiła jako jego żona, a nie działaczka. Na pewno ma silny charakter i jest odważna, co pokazała, publicznie deklarując nienawiść do Putina i oskarżając go o zabicie Aleksieja. Pod tym mentalnym względem lepiej wypada niż spokojna i raczej wycofana Swiatłana Cichanouska. Z oczywistych powodów właśnie do niej jest teraz porównywana. Cichanouska, inaczej niż Nawalna, nie uczestniczyła w życiu publicznym dopóty, dopóki za kraty nie trafił jej mąż. W polityce znalazła się więc niejako przypadkiem. Jednak zanim wyjechała z kraju, zdążyła wystartować w wyborach prezydenckich, które miała szansę nawet wygrać, gdyby nie fałszerstwa.

Nawalnej brak takiego doświadczenia i podobnej politycznej legitymacji. Na emigracji nie będzie nikim więcej niż Cichanouska czy Chodorkowski, a jej powrót do kraju, nawet gdyby nie skończył się tak tragicznie jak w przypadku męża, nie doprowadziłby do żadnej rewolucji. Szczególnie że sam Aleksiej, będąc najpoważniejszym rywalem Putina, i tak z pewnością nie był popierany przez większość Rosjan. Nawet wtedy, gdy Nawalny trafił za kratki, dowodząc swej odwagi, a chwilę potem w Internecie pojawił się nakręcony przez niego film, dowodzący, że Putin zbudował sobie pałac za ukradzione pieniądze, nie doszło do żadnego przełomu. A przecież było to rok przed inwazją na Ukrainę. W czasach jeszcze „wegetariańskich", gdy śruba jeszcze była luźna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Z Waldemarem Tomaszewskim, prezesem Związku Polaków na Litwie, eurodeputowanym Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin
rozmawia Ryszard Gromadzki

Wykołowani przez Litwę

FOT. ARCHIWUM WALDEMARA TOMASZEWSKIEGO

RYSZARD GROMADZKI: Stereotyp, według którego polsko-litewskie stosunki międzypaństwowe są bardzo poprawne, ale nie przekłada się to na sytuację polskiej mniejszości na Litwie, jest prawdziwy?

WALDEMAR TOMASZEWSKI: Można tak powiedzieć. Stały dialog na wysokim szczeblu między Warszawą a Wilnem jest ważny przede wszystkim ze względu na sytuację geopolityczną w naszym regionie i kwestie bezpieczeństwa. Nie przekłada się to jednak na praktykę, czyli położenie Polaków na Litwie. Tu mamy do czynienia z ewidentnym regresem naszych praw, jeśli porównać to z pierwszymi latami po odzyskaniu przez Litwę niepodległości. Gesty w postaci ustawy o pisowni imion i nazwisk, która zezwala na używanie litery „w" w dokumentach, nie wystarczą, żeby zmienić ten obraz. Kiedy zestawi się ze sobą rejestr spraw ważnych dla Polaków żyjących na Litwie, rozstrzygniętych częściowo, ze sprawami nierozstrzygniętymi, to tych drugich jest zdecydowanie więcej.

Regres, o którym pan mówi, dotyczy – jak słyszymy ze strony organizacji polskich na Litwie – nie tylko praw politycznych Polaków, lecz także sprawy dla nich szczególnie istotnej, czyli ograniczania nauczania w języku polskim.

W tych dwóch obszarach rzeczywiście regres jest największy. Równie ważną sprawą jest jednak zwrot Polakom ziemi. Ten proces miał się już zakończyć. Niestety, po zmianie władz Wilna podjęły one decyzje nieprzychylne Polakom. Zwrot ziemi został wstrzymany, a Polakom proponuje się kompensaty lasem lub śmieszne pieniądze, np. niecałe 3 tys. euro za hektar w stolicy, nawet tysiąc razy mniej niż cena rynkowa. Wracając do oświaty... Ostatnio ministerstwo edukacji Litwy podjęło decyzję o wprowadzeniu w szkołach mniejszości narodowych nauki części przedmiotów w języku litewskim. Tego wcześniej nie było, zarówno przed odzyskaniem przez Litwę niepodległości w 1991 r., jak i później.

Z czego wynika nieprzyjazna wobec Polaków polityka litewskich władz? To przejaw kulturowego kompleksu mającego źródło w naszej wspólnej historii?

To skutek kursu obranego przez litewski establishment. Ograniczanie praw mniejszości nie dotyczy tylko Polaków, lecz także innych mniejszości narodowych i nawet mniejszości etnicznej, np. żmudzkiej. Władze w Wilnie odmawiają Żmudzinom prawa do pisowni nazw zamieszkiwanych przez nich miejscowości w ich ojczystym języku. Nie zgadzają się także na powiększenie ich autonomii społeczno-kulturalnej. Oprócz nacjonalizmu są jeszcze dwa powody takiej polityki. Pierwszy to pieniądze. Po odzyskaniu niepodległości przez Litwę w 1991 r. jej władze przyjęły ustawę podpisaną przez ówczesnego prezydenta Landsbergisa, która umożliwiała tzw. przenosiny ziemi, z której on osobiście również skorzystał. Polegało to na tym, że grunty położone w głębi Litwy zamieniane były na ziemię na Wileńszczyźnie, której wartość rynkowa była 100 razy wyższa. Co najgorsze, takie praktyki miały miejsce z poszkodowaniem Polaków, których ziemia była oddawana innym. Władze litewskie przez pierwsze lata reformy nawet ignorowały posiadane przez Polaków tytuły własności. Na tym procederze szeroko skorzystał cały litewski establishment, sędziowie, prokuratorzy czy posłowie. Ci wszyscy ludzie przejęli praktycznie za darmo należące wcześniej do Polaków tysiące działek na Wileńszczyźnie, a dziś dążą do tego,

eprasa.pl 5ec60e9ca7

żeby zachować ten przejęty z naginaniem prawa majątek. Stąd działania, które podejmowane są w celu osłabienia pozycji Polaków. Drugi powód, który przejawia się w uderzeniu w polską oświatę, wynika z coraz silniejszego orientowania się litewskich elit politycznych, szczególnie w Wilnie, na ideologię gender. Wskutek polityki prowadzonej przez władze ta ideologia coraz mocniej przenika do litewskich szkół. Polskie szkoły na Litwie opierają się tej tendencji, co wynika z tego, że Polacy na Litwie mocno trwają przy tożsamości chrześcijańskiej, kultywują wartości rodzinne. To stoi w opozycji do liberalnej polityki władz. Stąd biorą się próby uderzenia w polską oświatę.

Plan reorganizacji polskich szkół, przeciw któremu w ostatnich latach zdecydowanie protestowali Polacy na Wileńszczyźnie, miał właśnie takie tło?

Oficjalnie tę reorganizację tłumaczono zbyt małą liczbą dzieci w polskich szkołach. Tymczasem w młodszych klasach polskich szkół dzieci było więcej niż w szkołach litewskich. To wszystko działo się w Połukniu, gdzie Polacy stanowią ponad 70 proc. mieszkańców, więc tego rodzaju kroki trudno tłumaczyć inaczej niż walką z polską szkołą. Trzeba zaznaczyć, że obie szkoły, które litewskie władze oświatowe próbowały „metodą buldożerową" zamknąć, czyli szkołę podstawową w Starych Trokach im. Andrzeja Stelmachowskiego i gimnazjum im. Longina Komołowskiego w Połukniu, zostały odrestaurowane za milionowe kwoty polskich podatników.

Powiedział pan, że uderzenie litewskich władz w polską oświatę spotkało się z protestami ze strony miejscowych Polaków. Czy ograniczanie praw polskiej mniejszości skutecznie ją mobilizuje do ich obrony?

Oczywiście tak. Gdyby nie sprzeciw ze strony polskiej społeczności, byłoby jeszcze gorzej. Po ogromnych protestach, na wzór strajku dzieci wrzesińskich przeciw germanizacji w zaborze pruskim sprzed pierwszej wojny światowej, plany ograniczenia polskiego szkolnictwa zostały przed 10 laty zawieszone. Dzisiaj niestety znów wracają. Mam odczucie, że litewskie władze cały czas sondują siłę polskiej reakcji. Nasza sytuacja poprawiła się po wyborach samorządowych w rejonie trockim. Mieliśmy tam wcześniej czterech radnych na 25, teraz mamy ich sześciu. W rejonie wileńskim i solecznickim polska partia ponownie uzyskała większość w Radach: odpowiednio 18 na 31 i 20 na 25 radnych. W samym Wilnie mieliśmy wcześniej sześciu radnych, obecnie jest ich siedmiu. Mieliśmy w stolicy przez siedem lat swojego wiceprezydenta Edytę Tomaszun. Dzięki temu wiele spraw dotyczących polskiej oświaty udało się załatwić. Teraz, po zmianie władz, jesteśmy w opozycji. Obecne władze stolicy są ultragenderowe. To oczywiście nie jest korzystna sytuacja dla naszych szkół. Próbuje się nam narzucić tworzenie litewskich klas w polskich szkołach w Wilnie. Pytanie: Dla kogo? Skoro siatka litewskich szkół w mieście jest kilkakrotnie większa od polskiej.

Czy w ostatnich latach polskie władze zrobiły coś konkretnego dla polskiego szkolnictwa na Litwie?

Bardzo ważne jest, że w sprawach żywotnych dla Polaków na Litwie polskie partie w zasadzie mówią jednym głosem. Martwimy się dzisiaj wielką polaryzacją polityczną i społeczną w Polsce. Tutejsi Polacy bardzo przeżywają te podziały. Chciałoby się, żeby przynajmniej w obronie praw Polaków za granicami polskie rządy mówiły nadal jednym głosem. Co do interwencji rządu w Warszawie wobec litewskich władz, niestety, nie można powiedzieć, żeby przyniosły one jakieś wymierne rezultaty. Nie będzie w tym przesady, jeśli powiem, że litewski establishment „wykołował" polskich polityków w ostatnich pięciu latach. Ambasador RP w Wilnie Urszula Doroszewska utrzymywała bardzo bliskie relacje z litewskim establishmentem, nazywając jego przedstawicieli swoimi osobistymi przyjaciółmi. Niestety, nie pomogło to załatwić spraw ważnych dla Polaków. Litewskie władze nie podjęły żadnych decyzji, które by otwierały do tego drogę, oprócz wspomnianej litery „w".

Mówimy o działaniach wymierzonych w polską oświatę na Wileńszczyźnie, ale równolegle władze na Litwie planują działania, mam na myśli projektowane zmiany granic okręgów wyborczych, które zmierzają wprost do „rozcieńczenia" skupisk Polaków, a tym samym osłabienia ich siły politycznej.

Ten projekt, już niestety przyjęty, stanowi złamanie prawa międzynarodowego. W konwencji Rady Europy, której Litwa jest sygnatariuszem, napisane jest wyraźnie, że nie można podejmować działań, których celem jest rozbicie zwartych skupisk mniejszości narodowych. W 2016 r., po 24 latach starań z naszej strony, udało się sprawę parlamentarnych okręgów wyborczych na Litwie uporządkować. Z rejonu solecznickiego i wileńskiego, gdzie Polacy stanowią większość, nareszcie stworzono trzy okręgi wyborcze. W 2019 r. podjęto kolejną próbę zmiany granic okręgów wyborczych, wyłączając z jednego z polskich okręgów zdominowaną przez Polaków dzielnicę Podbrzezie. Natomiast podjęta przez władze litewskie decyzja o powołaniu nowych okręgów stanowi jaskrawe pogwałcenie praw polskiej mniejszości na Litwie lub, jeśli ktoś woli, polskiej większości na Wileńszczyźnie. Aż siedem dzielnic wyborczych rejonu wileńskiego zostało wyrwanych i dołączonych do okręgów Wilna. Takie bezpardonowe rozcieńczanie polskiego elektoratu będące w rażącej sprzeczności z prawem międzynarodowym zostało zaskarżone w sądzie. Innym przejawem dyskryminacji Polaków jest to, że już drugi raz z rzędu podczas tegorocznych wyborów do Parlamentu Europejskiego, podobnie jak podczas zeszłorocznych wyborów samorządowych, polska partia nie będzie miała żadnego przewodniczącego wśród 60 szefów okręgowych komisji wyborczych. To sytuacja, która nigdy wcześniej nie miała miejsca. Przekłada się ona niekorzystnie na sytuację Polaków w wyborach, np. w zmniejszaniu dostępności do punktów przedterminowego głosowania. Europoseł Patryk Jaki i poseł na Sejm RP Mieczysław Baszko, obserwujący wybory samorządowe na Litwie w 2023 r., stwierdzili w raporcie, że druga tura tych wyborów nie była ani wolna, ani demokratyczna. Przed drugą turą wyborów miał miejsce antypolski alians różnych litewskich sił politycznych i zmasowany atak mediów wymierzony w polską partię. Mało tego, przed lokalami wyborczymi dyżurowali uzbrojeni członkowie Litewskiego Związku Strzelców. To niedopuszczalna forma zastraszania wyborców. Przedstawiciele OBWE, których informowaliśmy o tym, byli zszokowani tą sytuacją. Chcę podkreślić, że źródłem antypolskich szykan są litewski establishment i kontrolowane przez nich media, ze zwykłymi Litwinami porozumiewamy się dobrze. Wielu z nich nie rozumie działań wymierzonych w nas ze strony rządu Litwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Dariusz Wieromiejczyk

Joe Biden jest w tak zaawansowanym wieku, że wyborcy w USA będą musieli poważnie rozważać, czy chcą dalej powierzać mu rolę głowy państwa

Demokracja trzeciego wieku

Amerykański prokurator Robert Hur prowadził dochodzenie w sprawie przechowywania przez amerykańskiego prezydenta Joe Bidena tajnych rządowych dokumentów w przydomowym garażu. Prokurator nie zdecydował się wnieść przeciw prezydentowi oskarżeń, a swoim raportem wywołał w amerykańskiej polityce prawdziwą burzę. Uznał bowiem Joe Bidena za „mającego dobre intencje, sympatycznego starszego pana ze złą pamięcią".

Szczególnie mocno zabrzmiały w świadomości Amerykanów fragmenty raportu, odnoszące się do rozmów, które przeprowadził prokurator z Joe Bidenem w październiku 2023 r. Zgodnie z nimi Biden miał być niezdolny do przypomnienia sobie, w jakich latach zaczęło się, a w jakich skończyło jego urzędowanie na stanowisku wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Prezydent nie potrafił też przypomnieć sobie, nawet w zaokrągleniu do kilku lat, daty śmierci swojego starszego syna, Beau. Zdaniem prokuratora prezentował „mgliste" wspomnienia dotyczące kluczowych narad dotyczących Afganistanu, odbywających się za prezydentury Baracka Obamy. To właśnie z tymi naradami związane były przechowywane w garażu ściśle tajne dokumenty. Znajdowały się one „w zniszczonym tekturowym pudle, obok klatki dla psa i starego psiego siennika, pudeł po butach, pustego wiadra, zepsutej lampy owiniętej taśmą samoprzylepną, ziemi doniczkowej i syntetycznego paliwa do kominka".

Na raport prokuratora Hura żywiołowo zareagował Joe Biden. W trakcie zorganizowanej naprędce konferencji prasowej zapewnił dziennikarzy: „Moja pamięć jest w porządku". Odnosząc się do zarzutu dotyczącego daty śmierci syna, stwierdził: „Szczerze? Kiedy usłyszałem

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Prokurator Robert Hur (w środku) ujawnił w swoim raporcie, że Joe Biden ma kłopoty z pamięcią FOT. MARK WILSON/GETTY IMAGES

to pytanie, pomyślałem sobie, to nie jest jego cholerny interes". W ciągu następnych minut amerykański prezydent zdołał jeszcze uspokoić dziennikarzy słowami: „Jestem najlepiej wykwalifikowaną osobą w tym kraju, aby być dalej prezydentem Stanów Zjednoczonych i skończyć robotę, którą zacząłem". Niestety, zamiast udać się zaraz potem na zasłużony odpoczynek, prezydent kontynuował swoją „robotę" na konferencji prasowej. W jej dalszej części nazwał on egipskiego prezydenta, gen. Abdela Fattaha al-Sisiego „prezydentem Meksyku", co odebrało wcześniejszym zapewnieniom Joe Bidena cząstkę wiarygodności.

Pamiętać warto, że całkiem niedawno zdarzyło się Bidenowi przyznać do omawiania z niemieckim kanclerzem Helmutem Kohlem dramatycznych wydarzeń, związanych z zamieszkami na Kapitolu w 2021 r. Niemiec nie żył już wtedy od ładnych czterech lat. W podobnej kondycji znajdował się też francuski prezydent François Mitterrand, który – według relacji Bidena – konferował z nim długo po swojej śmierci. Amerykanin najprawdopodobniej pomylił Mitteranda z Emmanuelem Macronem. Podobne incydenty nie są już w Białym Domu niczym nowym.

Szczególnie widowiskowy przebieg miała analogiczna pomyłka podczas konferencji poświęconej zdrowiu, odbywającej się w Waszyngtonie 28 września 2022 r. Joe Biden z uporem przywoływał wtedy do mównicy nieżyjącą od dwóch miesięcy republikańską senator Jackie Walorski. „Jackie, gdzie jesteś? Gdzie jest Jackie? Niech pomyślę – ona miała czy raczej nie miała tu być?".

STARZENIE BEZ ZNACZENIA?

O ile pamięć i zdolności poznawcze amerykańskiego prezydenta stanowczo nie ulegają poprawie, o tyle niezmienne pozostaje poparcie, którego udzielają mu politycy Partii Demokratycznej. Czasami przybiera ono formy tyleż entuzjastyczne, co groteskowe. Już po ogłoszeniu raportu Hura i „meksykańskiej wpadce" Bidena głos zabrał demokratyczny senator ze stanu Delaware, Chris Coons. W trakcie telewizyjnej rozmowy z dziennikarzem stacji ABC News senator podkreślił: „Jak wszyscy wiemy, małe gafy są częścią publicznego życia i wszyscy je popełniamy […]. Oto co się liczy, zamiast okazjonalnych małych gaf – Joe Biden miał 12-minutową konferencję prasową, podczas której był skupiony, zaangażowany, składny – a wy wszyscy skupiacie się na tej jednej minucie, przy samym końcu".

Kiedy uparty dziennikarz, Jonathan Karl, nadal przypominał lapsusy Bidena, usłyszał od senatora, że pomyłki takie „nie reprezentują prawdziwych dokonań prezydenta". Na pytanie, co sądzić o ostatnich sondażach, zgodnie z którymi 86 proc. Amerykanów uważa Bidena za zbyt starego do sprawowania urzędu, niezbity z tropu senator Coons odparł: „To nie ma znaczenia. Trwa właśnie walka o duszę naszego narodu".

W walce tej tuż obok polityków uczestniczą też amerykańskie media. W dzienniku „USA Today" znaleźć można odnoszącą się do pamięci Bidena rozmowę z dr. Zaldym Tanem, dyrektorem programu „Pamięć i Zdrowa Starość" ze szpitala Cedars-Sinai z Los Angeles. Artykuł opatrzony został nieco przydługim tytułem „Ostatnie gafy Bidena i Trumpa mogą być oznaką normalnego starzenia się – albo w ogóle nie mieć znaczenia". Tekst przekonuje czytelników, że „niewielkie" zaburzenia pamięci zdarzają się absolutnie wszystkim, a ich pojawianie się z wiekiem jest czymś absolutnie wskazanym – świadczącym nawet o dobrej kondycji seniora. Wywiad kończy się filozoficzną refleksją lekarza: „W miarę starzenia się zyskujemy doświadczenie i kontrolę nad naszymi emocjami. Ważne jest, by patrząc na kandydatów w wyborach prezydenckich, brać pod uwagę nie tylko ich zdolności poznawcze, lecz także ich mądrość (»wisdom«) i zasady, zgodnie z którymi żyją".

Zaburzenia pamięci to tylko jeden z problemów, z którymi mierzyć się musi przywódca światowego supermocarstwa. Innymi są upadki na oczach kamer. Ostatnia spektakularna wywrotka przydarzyła się prezydentowi Bidenowi 1 czerwca 2023 r., podczas uroczystości wręczania dyplomów kadetom Akademii Sił Powietrznych w Colorado. Prezydent potknąć się miał o worek z piaskiem, użyty do stabilizacji telepromptera.

Poprzedniego lata Joe Biden spadł z roweru, gdy cieszył się wraz z żoną przejażdżką w okolicach swojej nadmorskiej rezydencji w Delaware. Para prezydencka obchodziła właśnie 45. rocznicę ślubu i postanowiła uczcić tę okazję przejażdżką po okolicy. But prezydenta nie wypiął się właściwie z uchwytu przy pedale, co poskutkowało kraksą, zakończoną interwencją agentów Secret Service.

Bardziej nieprzyjemne konsekwencje miał upadek prezydenta w grudniu 2020 r., podczas zabawy z ulubionym owczarkiem niemieckim, Majorem. Prezydent nabawił się wtedy kontuzji wymagającej noszenia specjalnego medycznego obuwia przez następnych kilka tygodni. W tym czasie przydarzyło mu się także potknięcie podczas wspinania się po schodach Air Force One.

Dla równowagi lokatora Białego Domu nieobojętne muszą być emocje, doznawane przy okazji poznawania przez opinię publiczną kolejnych życiowych zakrętów młodszego syna prezydenta, Huntera Bidena. Wspomnijmy więc tylko, że przygodom Huntera poświęcony został co najmniej jeden pełnometrażowy film

eprasa.pl 5ec60e9ca7

fabularny, niepolecany dla dziecięcej widowni, gdyż większą część jego akcji stanowią orgie. Poza uzależnieniem od alkoholu i narkotyków młody Biden zmaga się z ostrym seksoholizmem, wydając na płatną miłość setki tysięcy dolarów. Jak może sobie na to pozwolić, odpowiadają dziennikarze, a ostatnio także prawnicy, badający liczne korupcyjne afery, w które zamieszany jest syn amerykańskiego prezydenta. Wśród firm, w podejrzanych okolicznościach dających zarobić Hunterowi, były zarówno koncerny chińskie, jak i biznesy ukraińskich oligarchów.

SCHYŁKI MONARCHII

Problemy, z którymi mierzy się dziś administracja Joe Bidena, nieobce były w XX w. elitom innych światowych imperiów. Schyłek monarchii austro-węgierskiej przypadł na panowanie cesarza Franciszka Józefa I, który w roku 1914 świętować mógł swoje 84. urodziny. Lata poprzedzające wybuch wojny światowej były świadkami powolnego, choć stałego przechodzenia rzeczywistych narzędzi władzy w ręce wiedeńskich klik dworskich, coraz słabiej kontrolowanych przez niedołężnego cesarza. Ciosem dla prestiżu monarchii było domniemane samobójstwo następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa. Stały bywalec wiedeńskich domów publicznych, istny wzór dekadenckiego utracjusza zastrzelić miał w pałacyku myśliwskim Maeyerling swoją 18-letnią kochankę, następnie zaś siebie. Pogłoski o „swobodnym" prowadzeniu się arcyksięcia oraz szczegóły jego śmierci z powodzeniem ukrywano przez lata przed opinią publiczną.

W obronie Franciszka Józefa należy jednak podkreślić, że do ostatnich lat życia pracował on systematycznie i ciężko, w miarę ustępujących sił starannie wypełniając obowiązki konstytucyjnego monarchy. Jeśli mierzył się wtedy z objawami starczego otępienia, to były one przed światem pieczołowicie ukrywane.

Sztuka ta nie udała się już 60 lat później pierwszemu sekretarzowi Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Leonidowi Breżniewowi. Ostatnie dziesięciolecie jego rządów (Breżniew zmarł w roku 1982 w wieku 76 lat) jest obrazem narastających u Breżniewa problemów zdrowotnych i rozpaczliwych wysiłków kremlowskich propagandystów, starających się ukryć przed światem postępującą demencję pierwszego sekretarza. W serwisie YouTube z łatwością znaleźć można filmy z lat 70., pokazujące zniedołężniałego Breżniewa usiłującego odczytać z kartki przygotowane dla niego przemówienia. W tamtych czasach podobne nagrania były pilnie strzeżonym sekretem. Napinający muskuły Związek Sowiecki nie mógł sobie pozwolić na upublicznienie wizerunku nieporadnego staruszka, z trudem dukającego ledwie zrozumiałe frazy. Prawdę o tamtych czasach oddają w jakiejś mierze kursujące po „bloku wschodnim" dowcipy.

„Na moskiewskiej olimpiadzie Breżniew odczytuje słowa powitania sportowców całego świata.

– O! O! O!

– Towarzyszu... – szepcze do niego sekretarz. – To nie „O", to kółka olimpijskie... Tekst niżej!".

Kremlowscy propagandyści rozpaczliwie starali się ukryć przed światem postępującą demencję Breżniewa

Nieporadność „genseka" widoczna była zwłaszcza podczas spotkań z międzynarodowymi politykami, kiedy „lapsusów" Breżniewa nie dawało się ukryć mimo drobiazgowych przygotowań. W Wiedniu ledwo trzymający się na nogach Breżniew spotkał się z prezydentem Carterem. Chociaż tłumacz Leonida Iljicza skrupulatnie dobierał kartki z rozpisanymi wszystkimi wariantami odpowiedzi i podsuwał je szefowi, to w którymś momencie niedosłyszący Breżniew ryknął na cały głos: „A przekreślonego nie czytać?". Jedno z pytań miało bowiem dwa warianty i tłumacz wykreślił niepotrzebną część, by ułatwić Breżniewowi ciężkie zadanie.

Podobne opowieści potwierdza zawarta w pamiętnikach relacja Mieczysława Rakowskiego, który miał okazję być świadkiem niecodziennego występu Leonida Breżniewa podczas VII zjazdu PZPR. „Zjazd rozpoczął się od rewelacyjnego popisu Leonida Breżniewa. Kiedy Gierek stał za stołem prezydialnym i wygłaszał przemówienie powitalne, z pierwszego rzędu poderwał się Breżniew, wszedł na mównicę ustawioną dwa metry przed prezydium i zaczął stukać w mikrofony. Zwracając się do Gierka, powiedział: nie rabotajet. Co było zgodne z prawdą, ponieważ w tym czasie nie były jeszcze włączone. Gierek kontynuował mowę powitalną, przerywaną okrzykami sali i oklaskami. Breżniew nadal mocował się z mikrofonami na mównicy. Gdy Gierek skończył, orkiestra zaczęła grać »Międzynarodówkę«, którą podchwyciła sala. Ku zdumieniu wszystkich Breżniew pozostał na mównicy i... zaczął dyrygować, wymachując rękami".

Na podobieństwo prezydenta Bidena także Breżniewa trapiły kłopoty rodzinne. Jedyna córka przywódcy, Galina, była uwikłana w liczne skandale korupcyjne. Przypisywano jej przemyt diamentów, w co zamieszany miał być dyrektor największego w Moskwie cyrku. Śledztwom szybko ukręcono łeb, o co zatroszczył się osobiście Jurij Czurbanow, mąż Galiny, jej były ochroniarz, awansowany przez teścia na stanowisko pierwszego wiceministra spraw wewnętrznych. Po śmierci Breżniewa został on w roku 1984 zdymisjonowany, a w 1987 aresztowany pod zarzutami korupcji.

W czasach Breżniewa amerykańska agencja wywiadowcza CIA regularnie produkowała analizy, usiłujące wyjaśnić rzeczywistą strukturę władzy na Kremlu, funkcjonującą w cieniu niezdolnego do rządzenia przywódcy. Zostały one odtajnione i stanowią bardzo zajmującą lekturę. Czy podobne refleksje badaczy towarzyszą dziś aktualnemu mieszkańcowi Białego Domu? Media głównego nurtu o niczym podobnym nie donoszą, choć w latach Breżniewa to samo można było powiedzieć o prasie „bloku wschodniego". Zmagający się z otępieniem przywódca supermocarstwa nie jest raczej dla świata czynnikiem stabilizującym. W latach 80. krążyć miał po Moskwie następujący żart: „Kandydatów na następcę Andropowa jest dwóch: jeden ma 85 lat, drugi 95. Politbiuro ma dylemat: postawić na młodość czy na rutynę?".

Wygląda na to, że przed podobnym dylematem staną już tej jesieni amerykańscy wyborcy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Z Chloe Cole, ofiarą eksperymentów medycznych, działaczką na rzecz ochrony dzieci przed tranzycjami płciowymi

rozmawia Piotr Włoczyk

Piekło tranzycji

PIOTR WŁOCZYK: Czy po tym wszystkim, przez co pani przeszła, będzie pani w stanie urodzić dziecko?

CHLOE COLE: Ciężko powiedzieć. Właśnie przechodzę badania pod tym kątem. Żyję nadzieją, że ten medyczny eksperyment – bo do tego de facto sprowadzała się „terapia", którą przeszłam – nie zniszczył mojej płodności. Już kilka miesięcy po odstawieniu testosteronu wrócił mój cykl, ale od tego czasu jest on bardzo nieregularny. Jednak zajście w ciążę to jedno, a donoszenie dziecka do porodu to zupełnie inna kwestia. Pytanie też, jak to wszystko odbije się na zdrowiu mojego dziecka. Ten temat to na razie w moim przypadku jedna wielka niewiadoma.

Czy cała ta potworna historia – „kuracja" testosteronem, wycięcie zdrowych piersi – wydarzyłaby się, gdyby dorastała pani w czasach, gdy media społecznościowe nie istniały albo dopiero raczkowały?

Nie mam żadnych wątpliwości, że to wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej i nie zostałabym okaleczona. Myślę, że treści, które trafiały do mnie za pośrednictwem mediów społecznościowych, były najważniejszym czynnikiem pchającym mnie w kierunku tranzycji.

Zaczęło się od poczucia, że jako dorastająca kobieta jestem „wybrakowana", że moje ciało nie wygląda tak, jak powinno, i że być może byłabym szczęśliwsza, gdybym urodziła się w skórze chłopca. W dawnych czasach wyrosłabym z takich myśli. Wcześniej dzieci, które zmagały się z takimi problemami, po prostu dojrzewały i wraz z upływem czasu akceptowały swoje ciało. Tak było w ogromnej większości przypadków. Teraz jednak jest inaczej. W Internecie mnóstwo jest miejsc, gdzie środowiska LGBT są w stanie wpływać na młodych ludzi i przekonywać ich, że najlepszą metodą jest rozpoczęcie tranzycji. Dziś dzieci nie mają szansy z tego wyrosnąć – zanim do tego dojdzie, wpadną w ręce „specjalistów" od tranzycji, którzy je okaleczą.

Na jakie konkretnie treści natrafia w Internecie taki młody zagubiony człowiek?

Widać tu pewien wzorzec. Najczęściej ofiara cierpi na jakiś rodzaj zaburzenia, np. autyzm. Ja sama mam spektrum autyzmu. W Internecie pełno jest propagandy trans. Bardzo łatwo na nią trafić. Ci aktywiści dają młodemu człowiekowi zmagającemu się z własną tożsamością swego rodzaju ulgę. Taki młody człowiek może czuć dzięki temu własną wartość, może mu się wydawać, że wreszcie odnalazł swoje miejsce w świecie i ma prawdziwych przyjaciół. Można z nimi rozmawiać o problemach, a oni zdają się mieć tak bardzo upragnioną receptę – wystarczy rozpocząć terapię, która uwalnia od problemów.

Czy porównania do taśmy produkcyjnej mają tu sens?

Jak najbardziej. Często słyszymy, że te wszystkie procedury są realizowane na podstawie sprawdzonych wytycznych. Że młody człowiek jest wszechstronnie badany i nie ma tam miejsca na pomyłki. To wszystko nieprawda. Gdy nastolatek przekroczy prób gabinetu „specjalisty" do spraw tranzycji, w rzeczywistości zostaje postawiony na czymś w rodzaju taśmy produkcyjnej. Kierunek jest tylko jeden – tranzycja. Obecnie w Ameryce lekarze nie mają za zadanie realnego badania takich osób i wdrożenia odpowiedniego leczenia. Zupełnie nie o to chodzi. Celem „opieki" jest potwierdzenie subiektywnych odczuć pacjenta. Jeżeli dziecko mówi, że urodziło się w „złym" ciele, to lekarze utwierdzają je w tym przekonaniu i dają mu to, czego ono oczekuje po uprzednim przyswojeniu sobie w Internecie przekazu aktywistów środowiska trans.

Pacjent przychodzi do lekarza z gotową diagnozą i receptą na terapię, a lekarz ma to tylko potwierdzić?

Tak, to przecież postawienie sprawy na głowie. Na szczęście w żadnym innym dziale medycyny to tak nie działa. Niestety, w stanie, w którym żyję – w Kalifornii – lobby trans jest tak potężne, że jeżeli lekarz będzie chciał się zachować profesjonalnie i nie będzie przychylał się automatycznie do oczekiwań dziecka, to grożą mu za to surowe konsekwencje, włącznie z utratą prawa do wykonywania zawodu! Profesjonalne podejście do pacjenta może zostać łatwo zaklasyfikowane jako „terapia konwersyjna", co w Kalifornii jest surowo zabronione.

Co pozostawiła po sobie „terapia", której została pani poddana?

Cierpię z powodu ran fizycznych i psychicznych. Z powodu przyjmowania blokerów dojrzewania odczuwam bóle stawów. Te środki wywołały u mnie sztuczną menopauzę.

Ile miała pani wtedy lat?

Trzynaście–czternaście. Odczuwałam wówczas symptomy charakterystyczne

eprasa.pl 5ec60e9ca7

dla kobiet, które przechodzą menopauzę, jak np. uderzenia gorąca. Testosteron wywołał trwałe zmiany w moim organizmie. Mam szerokie ramiona, a z drugiej strony moje biodra nie wykształciły się tak, jak powinny. Testosteron, wbrew opowieściom „specjalistów" od tranzycji, kompletnie rozregulował mój organizm. Choć jestem cztery lata po podwójnej mastektomii, do dziś mam tam otwarte rany. W wyniku operacji moje brodawki miały zostać tak wymodelowane, by wyglądały jak męskie. Ale rany po tym zabiegu nigdy się nie zagoiły. Żaden lekarz nie jest w stanie powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Muszę cały czas bandażować klatkę piersiową, co bardzo komplikuje życie, szczególnie że uwielbiam pływać.

Powiedziała pani też o ranach psychicznych...

Utrata piersi odcisnęła swoje piętno na mojej psychice. To bardzo boli, szczególnie odkąd się dowiedziałam, jak niesamowicie karmienie piersią wpływa na budowanie więzi matki z dzieckiem. Mam w sobie mnóstwo goryczy w stosunku do ludzi, którzy mi to zrobili. A byłam wtedy przecież tylko dzieckiem, które niewiele z tego wszystkiego rozumiało! Ci „profesjonaliści" powinni rozumieć, jakie zniszczenia powoduje proponowana przez nich „terapia".

Dziś może pani powiedzieć z przekonaniem: „Ani przez moment nie żyłam w niewłaściwym ciele"?

Oczywiście. Moje ciało nigdy nie było problemem. Powiem więcej: nikt nigdy nie rodzi się w niewłaściwym ciele. Przekonywanie kogokolwiek, że z jego ciałem jest coś nie tak, to coś niepojętego. To jest prawdziwa mowa nienawiści! Problemy zawsze wynikają z czego innego.

Co było problemem w pani przypadku?

Od początku miałam w szkole trudności z koncentracją i socjalizacją. Stwierdzono wtedy, że to ADHD, ale tak naprawdę mam spektrum autyzmu. W trakcie dojrzewania, gdy moje ciało się zmieniało, odczuwałam ogromny dyskomfort. Ciało stało się moją obsesją. Wszędzie w Internecie widziałam piękne kobiece krągłości, które stawiane były za wzór. A ja od zawsze byłam typem chłopczycy. Bałam się procesu przemiany z dziewczynki w kobietę, a zaczęłam dojrzewać bardzo wcześnie. Miałam wrażenie, że niektórzy zaczynają na mnie patrzeć jak na kobietę, choć wciąż byłam dziewczynką. Panicznie bałam się też napaści seksualnej, bo kobiety w moim otoczeniu doświadczyły takich zdarzeń. I to wszystko popychało mnie w niebezpieczną stronę – zaczęłam odrzucać moją kobiecość.

Pani rodzice zgodzili się na rozpoczęcie tranzycji. Nie ma im pani tego za złe?

Nie, zupełnie ich za to nie winię, ponieważ zostali zmanipulowani przez ludzi z dyplomami z medycyny. Chcieli mnie wspierać i zależało im na moim dobru. Ale co ma zrobić rodzic, jeżeli lekarz stawia sprawę w tak brutalny sposób: „Czy wolicie mieć martwą córkę czy żywego transpłciowego syna?". Oczywiście chodziło tu o wyższy odsetek samobójstw wśród ludzi kwestionujących swoją płciowość. Mój tata powiedział mi później, że gdyby wtedy wiedział, iż są ludzie, którzy dokonują detranzycji i przestrzegają innych przed błędami, które sami popełnili, nigdy by mi nie pozwolił na rozpoczęcie tranzycji. Lekarze przekonywali jednak rodziców, że nie ma innego wyjścia i trzeba zrobić to, co sobie życzę, że niektóre dzieci tak po prostu mają – taka jest ich natura.

Dlaczego niektórzy lekarze gotowi są usunąć zdrowe piersi nastoletniej dziewczyny? Jak pani sobie to po ludzku tłumaczy?

Na mojej drodze spotkałam trzy kategorie lekarzy. Pierwsza to ci, którzy dali się kompletnie omotać ideologii trans, stali się aktywistami i święcie wierzą, że w ten sposób pomagają pacjentom. Są też tacy, których interesują tylko pieniądze i mają gdzieś dobro pacjenta. Trzecia kategoria to po prostu ci, którzy ślepo podążają według wytycznych. A że te zalecają rzeczy, które jeszcze do niedawna nie mieściły się w głowie, to już nie ich problem...

Po operacji czuła pani to, co wszyscy – euforię?

Tak, czułam, że to ostatni krok na drodze do przeobrażenia się w „prawdziwego mnie", czyli mężczyznę. Nie mogłam się doczekać zagojenia ran, żeby cieszyć się moim nowym ciałem i być jak każdy innych chłopiec w moim wieku. To oczywiście nigdy nie nastąpiło. Zamiast tego szybko pojawiły się wątpliwości i żal.

Kolejne ofiary przemysłu trans zabierają głos, występując publicznie w obronie innych dzieci

Jak szybko?

Już po kilku miesiącach. Początkowo zagłuszałam jednak takie myśli. Bardzo dużo „zainwestowałam" już w tranzycję. Trzy lata brałam hormony, usunęłam sobie piersi – to nie mogło przecież pójść na marne, nie mogłam zawrócić! Co ciekawe, utrata piersi sprawiła, że zaczęłam tęsknić za moją kobiecością, przed którą wcześniej tak uciekałam.

Jak zareagowali pani znajomi ze środowiska trans, kiedy zaczęła pani głośno mówić, że to wszystko było błędem?

Ludzie, którzy wcześniej mnie wspierali, nagle rzucili się na mnie. A ja trak-

eprasa.pl 5ec60e9ca7

– Nigdy w życiu nie zgadzajcie się na „terapie" hormonalne i operacje, które zamiast leczyć, okaleczą ciała waszych dzieci – radzi Chloe Cole

FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

towałam ich niemal jak drugą rodzinę... Powiedzieli mi, że to tylko mój problem, że tak się czuję. I że powinnam siedzieć cicho, bo swoim postępowaniem szkodzę ludziom, którzy potrzebują takich terapii. Nie spodziewałam się tak okrutnego potraktowania, to był dla mnie szok.

Takich historii jest coraz więcej. Nie ma tu sprawdzonych danych, ale na pewno to nie są pojedyncze przypadki.

Aktywiści trans przekonują, że odsetek ludzi, którzy dokonują detranzycji, jest bardzo niski – 1 proc. To oczywiście nieprawda. Ten odsetek musi być dużo wyższy. Tworzymy coraz większe środowisko, nasz głos jest coraz bardziej słyszalny. Kolejne ofiary przemysłu trans zabierają głos, występując publicznie w obronie innych dzieci. Jednak środowisko LGBT nie chce słyszeć o takim typie „coming-outów". A będzie nas tylko więcej, bo „tranzycje" wśród dzieci i młodzieży stają się coraz większą plagą. Czeka nas prawdziwy wysyp przypadków detranzycji, to dopiero początek tej wielkiej fali.

Jednak trzeba też uczciwie przyznać, że pani historia nie jest typowa. Zdecydowana większość ludzi, którzy dokonują tranzycji, nie zawraca z tej drogi. Dlaczego?

Bo trzeba też rozumieć, jak ciężko jest przyznać się przed samym sobą, że to wszystko było błędem. Ludzie okaleczają się w stopniu dużo większym niż obcięcie piersi... Naprawdę niełatwo jest po tym wszystkim powiedzieć sobie: „To wszystko wcale mi nie pomogło". Nigdy nie będziemy wiedzieć, jak wiele osób żałuje tranzycji. Nie można też zapomnieć o tym, że nastawienie środowiska medycznego w USA i aktywistów LGBT nie pomaga, delikatnie rzecz ujmując, w podjęciu decyzji o detranzycji.

Jeździ pani po całej Ameryce, wygłasza przemówienia, ostrzega pani ludzi przed krzywdą, która może spotkać ich dzieci. Swoje świadectwo wygłosiła pani nawet w Kongresie USA, gdzie została pani zaproszona przez republikanów. W którą stronę wieje dziś w tej sprawie wiatr?

Od trzech lat zajmuję się publicznie tym tematem. Widzę zmianę w dobrym kierunku, coraz więcej osób rozumie, że to ogromne zagrożenie, że trzeba bronić dzieci przed patologiami systemu ochrony zdrowia. Druga strona dysponuje ogromnymi pieniędzmi, ale to my wygrywamy walkę o uwagę zwykłych Amerykanów.

Chcę sprawić, żeby dzieci już nigdy nie były obiektami takich eksperymentów i żeby nikt ich już nie okaleczał w imię ideologii.

Już połowa amerykańskich stanów zabroniła przeprowadzania tranzycji dzieci. Ale w pani rodzinnej Kalifornii nie widać chyba perspektyw na zmianę?

Kalifornia będzie pewnie ostatnim stanem, który zakaże tych procedur, ale myślę, że to prędzej czy później nastąpi. Przecież to, co spotkało m.in. mnie, to największy skandal medyczny naszych czasów. Jestem pewna, że kiedyś ludzie będą patrzyli na tranzycje dzieci tak, jak my dziś postrzegamy lobotomię – horrendum, na które środowisko medyczne nigdy nie powinno pozwolić.

Co dziś powiedziałaby pani rodzicom, których dziecko zmaga się z tymi samymi problemami, które jeszcze kilka lat temu dręczyły panią?

Jeżeli przychodzą do was dzieci, mówiąc, że źle się czują we własnych ciałach, to powinniście je przytulić i wysłuchać. Dowiedzcie się, z czego wynikają te uczucia, co jest problemem. Szkoła, rówieśnicy z sąsiedztwa, Internet? Nigdy jednak nie utwierdzajcie dziecka w mylnych wyobrażeniach. Nikt nie rodzi się w złym ciele, nie używajcie wymyślonych imion i zaimków, mówicie swoim dzieciom, że są piękne i że ich ciała na pewno nie są problemem. Towarzyszcie im w dorastaniu i interesujcie się ich życiem. A jeżeli te problemy będą się nasilały – to szukajcie prawdziwych specjalistów, którzy pomogą waszym dzieciom uporać się z brakiem akceptacji własnej tożsamości. Nigdy w życiu nie zgadzajcie się na „terapie" hormonalne i operacje, które zamiast leczyć, okaleczą ciała waszych dzieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Chloe Cole** (ur. 2004 r.) jest amerykańską działaczką na rzecz ochrony dzieci przed tranzycjami płciowymi. Cole jako dziecko, pod wpływem aktywistów LGBT, rozpoczęła tranzycję, która miała ją upodobnić do mężczyzny. W 2021 r. podjęła decyzję o przerwaniu „terapii" i rozpoczęciu procesu detranzycji.*

eprasa.pl 5ec60e9ca7

FOT. PRESIDENT.GOV.BY

ŁUKASZENKA OSTRZEGA POLAKÓW

Białoruski dyktator Alaksandr Łukaszenka powiedział, że wywiad polski i amerykański przygotowuje prowokację przeciw polskiej ludności, za którą potem oskarży Rosję i Białoruś. Dlatego postanowił „po bratersku ostrzec Polaków", żeby byli ostrożni. I przypomniał, że druga wojna światowa też zaczęła się od prowokacji. Łukaszenka nie tylko był tak dobry, że nas ostrzegł, ale jeszcze dobrodusznie wyznał, że jego kraj nie ma żadnych roszczeń do Białostoczczyzny. Mieszkańcy Białegostoku mogą odetchnąć.

DUMNA Z ROSJI, ARESZTOWANA W ROSJI

Ksenia Karelina ma podwójne obywatelstwo – USA i Rosji. W styczniu z wakacji w Stambule poleciała do Jekaterynburga, by spotkać się z rodzicami. Jej amerykański partner mówił, że niczego się nie obawiała i „była dumna z Rosji". Rosja była jednak mniej dumna z Kseni. Kobieta została aresztowana za to, że wpłaciła 51 dol. na ukraińską organizację charytatywną. FSB uznała, że to wsparcie finansowe obcego państwa w działaniach wymierzonych w Rosję.

WOJENNY KOMIS

Państwowe Biuro Śledcze Ukrainy zatrzymało wojskowego z tego kraju i cywila. Obaj rzekomo zajmowali się pomocą humanitarną i sprowadzali na Ukrainę samochody mające trafiać do jednostek na froncie. Za takie samochody nie płaci się cła. Okazało się jednak, że zamiast przekazywać pojazdy żołnierzom, sprzedawali je w Internecie.

DROGIE ZĘBY CHURCHILLA

Firma aukcyjna Cotswold wystawiła na aukcji protezę zębów Winstona Churchilla, którą wykonano dla niego, gdy miał 65 lat. Sztuczne zęby zostały wylicytowane za 18 tys. funtów (w przeliczeniu to blisko 100 tys. zł).

JAK NIE WYGRAĆ 340 MILIONÓW

John Cheeks z USA zagrał w loterii Powerball. Po kilku dniach sprawdził wyniki na stronie internetowej organizatora i nie mógł uwierzyć w swoje szczęście – liczby zgadzały się z jego kuponem, a to oznaczało, że stał się bogatszy o 340 mln dol. Zrobił zdjęcie witryny i pochwalił się tym przyjacielowi. Gdy jednak próbował odebrać nagrodę, Biuro Loterii i Gier DC stwierdziło, że w programie na żywo wylosowano zupełnie inne liczby, a te na stronie internetowej pojawiły się przez „błąd". Pan Cheeks poczuł się poszkodowany i wystąpił na drogę sądową. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Jak Trump dozbraja Europę

Słowa Donalda Trumpa o tym, że „zachęcałby" Rosję, aby „robiła, cokolwiek jej się podoba", z państwami NATO, które „nie płacą" wystarczająco dużo na obronę, czyli przeznaczają mniej niż 2 proc. PKB na obronność, wzbudziły ogromne kontrowersje w wielu krajach, a zwłaszcza w tych, które kryteriów nie spełniają...

Trzeba przyznać, że były prezydent ma rzadki talent do wywoływania skandali i używania retoryki, która tradycyjnie nie przystoi osobom, które stoją na czele państw lub ubiegają się o najważniejsze stanowiska. Jednocześnie Trump ma dużo racji. I że na swój sposób oddaje przysługę tym krajom w Europie, które nadal uważają, iż ważniejsze są inne inwestycje niż rozwój własnych zdolności militarnych, mimo że rosyjskie wojska już trzeci rok podbijają kolejne ukraińskie miasta i wsie.

Dane statystyczne jednoznacznie pokazują, że większość europejskich sojuszników USA nadal chce „jechać na gapę". W 2023 r. zaledwie jedna trzecia państw członkowskich wydawała na obronność co najmniej 2 proc. PKB (prymusem była tu Polska, która w tej kategorii wyprzedzała nawet USA). Szacuje się, że w 2024 r. wyznaczony 10 lat temu w Walii minimalny próg spełni 18 z 31 państw NATO.

I chociaż osobiście wątpię, by Trump – jeśli znów zostanie prezydentem USA – rzeczywiście podjął decyzję o wycofaniu Ameryki z NATO, to jego słowa teraz nie tylko nie osłabiają sojuszu, lecz także paradoksalnie go wzmacniają. Wywierają bowiem presję na tych polityków, którzy nie chcą dojrzeć zagrożeń czyhających na Europę. Skoro Polska może działać, to mogą i Niemcy, Hiszpanie czy Duńczycy...

eprasa.pl 5ec60e9ca7

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ZIEMKIEWICZ KONTRA SEMKA – POLSKA DMOWSKIEGO CZY PIŁSUDSKIEGO?

Krew na pierwszych stronach gazet – Najbardziej ponure epizody z dziejów konfliktów politycznych II RP

Emigracyjne polskie piekiełko – W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już szli ze sobą na noże

Biało-czerwony „Nautilus" – Juliusz Verne chciał, aby kapitan Nemo był Polakiem, powstańcem styczniowym, mszczącym się na rosyjskich statkach

Zaginiona eskadra – Sowieci bardzo skutecznie postarali się, aby zapomniano o największej polskiej produkcji filmowej II RP sławiącej zwycięstwo Polaków nad bolszewikami

Niewolna Liberia – Wyzwoleni Amerykanoliberyjczycy pogardzali tubylczą ludnością i na ponad 100 lat pozbawili ją wszelkich praw

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Mieszkaniowe szaleństwo

Jacek Przybylski

Polska należała do europejskich liderów pod względem wzrostów cen nieruchomości w 2023 r. Program tanich kredytów w połączeniu z podwyżkami płac tak bardzo rozgrzał nasz rynek, że sprzedający liczą na dalsze wzrosty. Czy nadal opłaca się kupować mieszkania nad Wisłą czy może bańka pęknie tu wkrótce niczym w Niemczech?

Ceny mieszkań w Polsce osiągnęły już absurdalnie wysoki poziom w stosunku do zarobków. Wiele wskazuje jednak na to, że mogą nadal piąć się w górę, choć według danych Eurostatu za trzeci kwartał 2023 r. Polska odnotowała drugi w Unii Europejskiej najwyższy wzrost cen nieruchomości, który rok do roku wyniósł 9,3 proc. Szybciej drożały metry jedynie w Chorwacji (o 10,9 proc. rok do roku). Mocno zdrożały też mieszkania

eprasa.pl 5ec60e9ca7

FOT. ADOBE STOCK

i domy w Bułgarii (o 9,2 proc.), na Litwie (o 8,7 proc.) czy w Portugalii (o 7,6 proc.). Niestety, nie wiadomo, czy w Polsce mamy już do czynienia z groźną bańką na rynku nieruchomości czy to nadal jedynie „banieczka", która jeszcze przez lata będzie mogła być dopompowywana.

WARSZAWA LEPSZA NIŻ DUBLIN

Według opublikowanego w lutym 2024 r. raportu firmy doradczej CBRE na rynku nieruchomości w Polsce w drugiej połowie obecnego roku „spodziewane jest powolne ożywienie, przy założeniu, że światowe stopy procentowe spadną, a poziom zdrowej aktywności gospodarczej utrzyma się". Polska awansowała na trzecie miejsce wśród 10 państw, w których w 2024 r. spodziewany jest najwyższy zwrot z inwestycji w nieruchomości – tuż za Wielką Brytanią oraz Niemcami, a przed Hiszpanią, Holandią, Francją, Irlandią, Włochami, a także Szwajcarią oraz Szwecją (te dwa ostatnie zajęły ex aequo dziewiąte miejsce). Warszawa to jednocześnie jedyna stolica w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, która znalazła się na liście 10 najbardziej atrakcyjnych europejskich kierunków inwestycyjnych. Stolica Polski w TOP 10 wyprzedza Sztokholm i Dublin, a Warszawę wyprzedziły tylko takie miasta jak Barcelona, Kopenhaga, Berlin, Amsterdam, Madryt, Paryż czy Londyn. Z tej dziesiątki jedynie cztery metropolie uzyskały lepszy wynik w badaniu niż w roku 2023 – i w tej elitarnej grupie znów znalazła się Warszawa.

Z raportu CBRE wynika, że inwestorzy w 2024 r. o wiele mniej niż przed rokiem obawiają się niekorzystnego scenariusza geopolitycznego oraz recesji. Najmocniej boją się zaś tego, że oczekiwania sprzedających staną się już tak bardzo wygórowane, że będą nie do zaakceptowania przez kupujących, i że wysokie stopy procentowe utrzymają się dłużej, utrudniając kredytowanie inwestycji na korzystnych warunkach.

To oczywiście tylko jeden z raportów rynkowych, a prognozy w nim zawarte nie dają gwarancji zysku na polskich nieruchomościach. Tak wysokie miejsce Polski sprawia jednak, że rośnie prawdopodobieństwo dalszego wzrostu cen nieruchomości nad Wisłą. Dlaczego? Bo chociaż to dla przeciętnego Kowalskiego trudne do uwierzenia, w Polsce nadal jest tanio. Z raportu Property Index 2023 firmy Deloitte z września 2023 r. wynika jasno: w Polsce cena metra kwadratowego wynosi średnio 1975 euro, czyli co prawda więcej niż w Portugalii (1723 euro za mkw.) czy w Grecji (1330 euro), ale wciąż istotnie mniej niż w Czechach (3753 euro), na Słowacji (3156 euro) czy na Węgrzech (2300 euro).

Autorzy raportu zwracają również uwagę, że podczas gdy na zakup 70-metrowego mieszkania Słowacy muszą przeznaczyć aż 14,1 rocznych pensji brutto, a Czesi 13,3 rocznych pensji brutto, to w Polsce na podobny zakup wystarczy 8,1 rocznych pensji. Mimo to – jak zauważyło „Politico" – Warszawa jest czwartą stolicą wśród państw Unii Europejskiej, w której mieszkańcom najtrudniej jest kupić dom lub mieszkanie (po Paryżu, Pradze i Bratysławie).

KARTY ROZDAJĄ SPRZEDAJĄCY

Inwestorzy zagraniczni mogą przyczyniać się do podwyżek, ale kupują określonej klasy lokale. Na podwyżki mieszkań wpływają ograniczona podaż na polskim rynku oraz popytowa gorączka rozpalona chęcią ochrony przed dwucyfrową inflacją oraz programem „Bezpieczny kredyt 2 proc.".

17 tys. zł

DO TAKIEJ KWOTY WZROSŁA JUŻ CENA 1 MKW. MIESZKANIA W WARSZAWIE

Chętni na nieruchomość mają więc bardzo ograniczone szanse na zbijanie cen dyktowanych przez sprzedających. Właściciele lokali nie są skłonni do wielkich negocjacji choćby dlatego, że – jak zauważyli pod koniec 2023 r. ekonomiści banku Pekao – ceny mieszkań w siedmiu największych miastach w Polsce od 2007 r. realnie spadły, a nie wzrosły. „Nominalne ceny mieszkań urosły o 63 proc. od 2007 r., od 52 proc. w Krakowie do 92 proc. we Wrocławiu, ale skumulowana inflacja w tym czasie to 75 proc." – napisali analitycy Pekao w serwisie X.

Ceny nominalne nad Wisłą wystrzeliły jednak niczym z procy. Z analizy ekspertów multiporównywarki rankomat.pl stworzonej na podstawie danych zebranych przez RynekPierwotny.pl i GetHome.pl wynika, że cena za 1 mkw. na rynku pierwotnym w IV kwartale 2023 r. już w 11 miastach wojewódzkich na 18 przekroczyła barierę 10 tys. zł. Najtaniej na rynku pierwotnym

eprasa.pl 5ec60e9ca7

było w Gorzowie Wlkp. (7117 zł), Zielonej Górze (7442 zł), Opolu (7722 zł), Kielcach (8920 zł), Bydgoszczy (9408 zł), Białymstoku (9868 zł), Rzeszowie i w Lublinie (10 263 zł), a najdrożej w stolicy – 16 815 zł. Na rynku pierwotnym najbardziej ceny wystrzeliły w Toruniu (wzrost o 32 proc.), Gdańsku (29 proc.) oraz Krakowie (24 proc.).

Na rynku wtórnym ceny wzrosły zaś do 17,4 tys. zł za 1 mkw. w Warszawie, 16,6 tys. zł w Krakowie, 15,2 tys. zł w Gdańsku czy 13,4 tys. zł we Wrocławiu. Największe zwyżki odnotowano zaś w Katowicach (aż o 47 proc.), w Krakowie (o 30 proc.), a także w Olsztynie (o 24 proc.).

W ubiegłym roku ceny domów i mieszkań spadły nie tylko w Niemczech. Nieruchomości taniały również w takich krajach jak Luksemburg, Finlandia, Szwecja, Czechy, Holandia, Słowacja, Austria, Francja, Norwegia oraz Dania

Czy może być jeszcze drożej? Z danych BIG DATA RynekPierwotny.pl wynika, że może – w styczniu 2024 r. pierwszy raz w historii cena za 1 mkw. mieszkania na rynku pierwotnym w Warszawie przekroczyła 17 tys. zł.

Co więcej, z zapowiedzi nowego rządu wynika, że chętnie powtórzy on populistyczną zagrywkę poprzedników i uruchomi kolejny program, który jeszcze bardziej podbije cenę metra i jeszcze bardziej utrudni próby wytargowania rabatu.

KRACH W NIEMCZECH

O tym, że ceny nieruchomości czasem z trudem znajdują sufit, przekonali się Kanadyjczycy. W ich kraju ceny poszybowały tak bardzo, że studentowi mieszkającemu w Calgary bardziej opłaca się regularnie latać w tę i z powrotem samolotem na zajęcia w Vancouver niż szukać w tym miejscu lokum na wynajem. Na loty wydaje bowiem 1,2 tys. dol. miesięcznie, tymczasem za własne cztery kąty w Vancouver musiałby co miesiąc płacić 2,1 tys. dol.

Ekonomiści głośno ostrzegają jednak, aby nie mylić ryzykownych inwestycji w nieruchomości z oszczędzaniem choćby na bezpiecznych lokatach. Trzeba bowiem pamiętać, że na rynku mieszkaniowym też zdarzają się spadki, czasem nawet o kilkanaście lub kilkadziesiąt procent w ciągu roku. Przekonali się o tym właściciele domów i mieszkań w Niemczech, gdzie do 2022 r. trwało pompowanie bańki przy dużej pomocy zerowych stóp procentowych.

Nominalne ceny niemieckich nieruchomości zaczęły spadać już w 2022 r., a w roku 2023 nagle runęły na łeb, na szyję. Pęknięcie spekulacyjnej bańki w połączeniu z podwyższeniem stóp procentowych przez Europejski Bank Centralny oraz wyższymi kosztami budowy sprawiło, że takich spadków jak w ubiegłym roku Niemcy nie widzieli od sześciu dekad, czyli – innymi słowy – od ponad dwóch pokoleń.

W trzecim kwartale 2023 r. ceny mieszkań w Niemczech spadły średnio o 10,23 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku 2022. Realny spadek przy wysokiej inflacji był jeszcze bardziej bolesny dla posiadaczy nieruchomości i wyniósł 14,99 proc. Najbardziej runęły ceny starszych lokali, zwłaszcza tych, które nie spełniają wyśrubowanych unijnych norm energetycznych.

Z raportu Destatis wynika, że na słabo zaludnionych terenach wiejskich ceny domów spadły średnio o 12,4 proc. rok do roku, a mieszkań o 5,6 proc. Spadków nie uniknęły również największe niemieckie miasta jak Berlin, Hamburg, Monachium, Kolonia, Frankfurt, Stuttgart czy Düsseldorf. Średnio cena domu jednorodzinnego lub bliźniaka w tych metropoliach spadła w trzecim kwartale 2023 r. o 12,7 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku 2022. Analiza przeprowadzona przez Niemiecki Instytut Badań nad Gospodarką (DIW) wykazała, że Monachium, Berlin i Hamburg należą do miast najbardziej dotkniętych spadkiem cen. „Do 2022 r. w Niemczech panowała spekulacyjna bańka cenowa, jedna z największych od 50 lat. Od tego czasu ceny spadają. Bańka pękła" – powiedział analityk DIW Konstantin Kholodilin.

Zapaść w budowlance doprowadziła wiele firm do upadku. Jednocześnie spadła liczba udzielanych kredytów hipotecznych, bo wzrost stóp procentowych aż o 450 punktów bazowych w ciągu zaledwie 15 miesięcy sprawił, że mimo malejących cen mieszkań i domów wiele rodzin nie stać na zakup lokum. Taka mieszanka doprowadziła do tego, że powstaje dużo mniej nowych mieszkań, niż planował rząd w Berlinie. To też olbrzymi problem dla polityków, ponieważ wyceniana na 670 mld euro branża nieruchomości jest jednym z fundamentów niemieckiej gospodarki, który zapewnia jedno miejsce pracy na dziesięć i wytwarza jedną piątą krajowej produkcji. Cytowani przez niemieckie media eksperci różnią się w prognozach, część spodziewa się dalszych spadków (nawet o jedną trzecią), inni patrzą na rynkowe perspektywy z większym optymizmem i mają nadzieję, że niemiecki rynek nieruchomości wkrótce zacznie odbijać od dna.

Każdy kryzys ma też oczywiście dobre strony. Mieszkania potaniały tak bardzo, że część Polaków zaczęła zastanawiać się nad tym, czy zamiast w Polsce nie zainwestować kapitału w mieszkania po niemieckiej stronie granicy, i poszukuje nieruchomości za ok. 3 tys. euro (równowartość 13 tys. zł).

MNIEJSZY POPYT, TAŃSZE NIERUCHOMOŚCI

W ubiegłym roku wartość nieruchomości spadła nie tylko w Niemczech. Według najnowszych danych Eurostatu w strefie euro spadek cen mieszkań wyniósł 2,1 proc. Mocno taniały nieruchomości w takich krajach jak Luksemburg (spadek o 13,6 proc.), Finlandia (o 7 proc.) oraz Szwecja (mieszkania i domy potaniały tam o 4,2 proc.), Czechy (o 3,5 proc.) czy też Holandia i Słowacja (w obu krajach ceny spadły o 3,8 proc.). Nieruchomości rok do roku staniały także w Austrii (o 2,2 proc.), we Francji (o 1,5 proc.) oraz w Norwegii (o 0,5 proc.) i Danii (o 0,2 proc.).

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Termoizoluj albo giń!

W szędzie wokół – od Lizbony do Tallinna – unijna rewolucja klimatyczna idzie pełną parą, w takt marsza Timmermansa, tylko w Polsce kuleje – z niepokojem zauważyła niezawodna „Gazeta Wyborcza". „Polska jest jednym z ostatnich krajów Unii, który nie wdrożył jeszcze klas energetycznych" – darła jeszcze w 2023 r. szaty „GW", nie kryjąc, że jest to powód do wstydu na całą Europę. Albo i gorzej.

Lecz – na całe szczęście – jaki taki postęp udało się jej wreszcie odnotować. Albowiem „Krajowa Agencja Poszanowania Energii (KAPE) opublikowała propozycję podziału klas energetycznych budynków w skali A-G", czyli nareszcie (!) „wchodzi obowiązek etykietowania budynków", a to oznacza „zapowiedź wielkiej, obowiązkowej fali termomodernizacji", gdyż „od 2030 r. żaden budynek nie będzie mógł być w klasie niższej niż E". Warto dodać – żeby nie było nieporozumień – że rzeczona instytucja rzeczonego podziału budynków na rzeczone klasy dokonała podczas konferencji stowarzyszenia o nazwie niepozostawiającej nawet najmniejszej szansy na niedomówienia, brzmiącej bowiem Fala Renowacji.

Tak, to rzeczywiście powód do ogromnej, niczym niepohamowanej radości dla wszystkich maniaków klimatycznego szaleństwa i prawdziwa bieda dla milionów polskich rodzin, które będą musiały wkrótce wydać góry pieniędzy, by zadośćuczynić ich dyktatowi. Ale cóż to znaczy, gdy ważą się losy rewolucji?

A zatem polskie domy zostały podzielone na klasy od A do G, czyli od najbardziej do najmniej efektywnych i energooszczędnych. Literom odpowiadają kolory – tak jak w przypadku sprzętu AGD – czyli to ciąg dalszy tej samej zabawy w kolorki od czerwonego do zielonego, lecz tym razem jej koszt będzie dla portfeli milionów Polaków dużo boleśniejszy. Wszak wiadomo, ile kosztuje termoizolacja domu – ocieplenie ścian i wymiana okien oraz drzwi oraz pieca węglowego lub gazowego na pompę ciepła. Z grubsza rzecz biorąc – bimbalion złotych. No ale – jak radośnie obwieszcza „GW" – przecież „etykiety mają czarno na białym pokazać właścicielom nieruchomości i potencjalnym nabywcom zapotrzebowanie budynku na energię".

Postępy rewolucji „GW" będzie sprawdzać, nie oglądając się na koszty i bez litości, mimo że „blisko połowa Polaków mieszka w domach jednorodzinnych, których w Polsce jest 6,3 mln". I mimo że „większość tych domów powstała wcześniej niż w latach 80., gdy nie dbano o żadne standardy energetyczne".

„Docelowo od 1 stycznia 2030 r. budynki mieszkalne mają znaleźć się w klasie co najmniej E" – wylicza i zarazem instruuje „GW" – „a od 2033 r. – w klasie D"! Zrozumiano?! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Jędruś i Donuś na dywaniku

Gdy przed obliczem dziadka Bidena stawią się karnie dwaj kluczowi polscy politycy – pan prezydent Duda i pan premier Tusk – dobrze by było, żeby każdy z nich miał plakietkę z imieniem. W przeciwnym wypadku dziarski i żywotny prezydent największego światowego mocarstwa może ich ze sobą pomylić i panu prezydentowi wyda polecenie przeznaczone dla pana premiera oraz odwrotnie. Skutki mogą być nieobliczalne. Inna sprawa, że Joe Biden może w ogóle nie skojarzyć, kto został wezwany przed jego młodzieńcze oblicze, i pomyśli, że ma przed sobą delegację z Bogoty. Albo z Tuvalu. Wolę nie myśleć, co się stanie, jeśli nasze orły zaczną posłusznie wykonywać zalecenia zaplanowane dla Bogoty.

Joe Biden może w ogóle nie skojarzyć, kto został wezwany przed jego młodzieńcze oblicze

Niezależnie od możliwych problemów z funkcjonowaniem pamięci i mózgu przywódcy wolnego świata sam fakt wezwania do pana dyrektora na dywanik Jędrusia i Donusia ustawia odpowiednio Polskę w oczach świata. Zwłaszcza jeśli słuszna jest najbardziej prawdopodobna hipoteza, że obaj niesforni chłopcy zostaną napomniani, że owszem, mogą się sprzeczać, a nawet dać sobie od czasu do czasu łopatką po głowie, ale tak, żeby nie zakłócić funkcjonowania interesów pana dyrektora. A jak się za bardzo rozbrykają, to pan wychowawca Brzezinski dyskretnie – albo nawet wcale niedyskretnie – ustawi ich do pionu.

Jeśli ktoś odpowiednio dużo rozumiejący patrzy na to wszystko z zewnątrz, to widzi, że polska samodzielność jest, by tak rzec, znacząco ograniczona. Rozumie także, że aby coś poważnego w Polsce załatwić, nie należy rozmawiać z przedszkolakami, bo oni o niczym nie decydują, ale z panem dyrektorem, względnie jego zastępcą Olafem.

Właściwie nie jest to coś aż tak nadzwyczajnego. Jeśli ktoś potrzebował coś załatwić w naszym kraju w roku, dajmy na to 1779, to przecież nie szedł do króla Stasia, tylko walił prosto do Pałacu Brühla, gdzie urzędował Otto von Stackelberg, ambasador rosyjski. Wezwanie obu panów przez dziadzia Bidena wskazuje załatwiaczom jednoznacznie, że w celu osiągnięcia sukcesu mają się udać na Aleje Ujazdowskie 29. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Joanna Bojańczyk

Królowa jest tylko jedna

FOT. TAYLOR HILL/FAS23/GETTY IMAGES

Nie trzeba się specjalnie interesować rynkiem muzyki rozrywkowej, żeby zauważyć, że Taylor Swift jest fenomenem współczesnej popkultury

Kiedyś życiem show-biznesu interesowały się tylko magazyny plotkarskie. Dziś to temat dla poważnych mediów. „Zawrotna kariera" – pisał o niej „Forbes". „Stała się miliarderką w wieku 33 lat" – donosił „Bloomberg". „Z nią życie staje się magiczne" – zachwycał się „Wall Street Journal". „Czy można odnieść jeszcze większe sukces?" – pytał retorycznie „Financial Times". „Wszyscy możemy się od niej czegoś nauczyć" – zauważył „Vanity Fair".

O kim mowa? To może być tylko Taylor Swift, planetarny sukces muzyki pop. Od chwili, gdy pojawiła się na muzycznym horyzoncie Ameryki, minęło 18 lat, 10 złotych albumów, 46 nominacji, 12 nagród Grammy i miliard zarobionych dolarów. Taylor Swift ma 35 lat, a już jej „fenomen kulturowy" studiują na uniwersytetach. Na Stanfordzie studenci analizują słowa jej piosenek i użytych w nich odniesień literackich. Na Uniwersytecie Nowojorskim zastanawiają się nad przebiegiem jej kariery na tle amerykańskiej rzeczywistości kulturalnej.

Nie trzeba się specjalnie interesować rynkiem muzyki rozrywkowej, żeby zauważyć, że jest ona istotnie fenomenem współczesnej popkultury. Nawet mając takie konkurentki jak Beyoncé czy Rihanna.

Przeglądając strony internetowe, szczególnie amerykańskie, nie można nie nadziać się na Taylor Swift. Ona jest wszędzie.

W wyszukiwarce po wpisaniu jej nazwiska pojawia się ponad 800 mln wyników. Ma 280 mln obserwujących na Instagramie. W badaniu firmy Morning Consult (z ubiegłego roku) 53 proc. dorosłych Amerykanów deklaruje się jako jej fani.

Zdobyła tytuły: Człowieka Roku 2023 magazynu „Time" (na okładkach tego tygodnika byli papieże, przywódcy polityczni, także Hitler i Stalin); magazynu „Billboard" – Największej Artystki Naszych Czasów; Kobiety Dziesięciolecia, Artystki Dziesięciolecia. Pobiła ponad 100 rekordów Guinnessa. Sprzedała 50 mln albumów i 150 mln singli. Jej piosenki spędziły tygodnie na listach przebojów. Napisano o niej sześć książek. I nie jest to tylko literatura z supermarketu. Jej „Biografia" ukazała się w poważnym University Press. „Taylor Swift zmieniła oblicze przemysłu muzycznego" – podsumowało wydawnictwo.

Do wszystkich tych sukcesów ostatnio przybył jeszcze jeden; bardziej niż sukces to atut dla popularności: Swift okazała się homoseksualna. Oficjalnie potwierdził to „New York Times" 4 stycznia obecnego roku.

MAM TALENT

Wychowała się w idyllicznym pejzażu Pensylwanii, w dostatnim, eleganckim, ale w miarę przeciętnym amerykańskim domu. Szkoła Montessori, katolickie liceum. Dobry początek prosperity dał rodzinie prapradziadek ze strony ojca,

eprasa.pl 5ec60e9ca7

operatywny włoski imigrant, który na początku XIX w. założył w Pensylwanii kilka udanych biznesów.

Taylor Alison Swift urodziła się 100 lat później, w 1989 r. Imię dano jej po piosenkarzu Jamesie Taylorze – widać fascynacja muzyką miała w domu maklerów giełdowych znaczenie. Pani Swift nie skarżyła się, że musi córeczkę zawozić do Nowego Jorku na lekcje śpiewu. Bo ta stale coś nuciła, śpiewała, pobrzdąkiwała na gitarze, wymyślała piosenki, grała w szkolnym teatrzyku. Czy odezwał się rodzinny gen muzyczny z przeszłości? Babcia ze strony matki, Marjorie Finlay, była śpiewaczką operową. Ale mała Taylor nie miała zapędów do opery, najlepiej czuła się w muzyce country, swojskiej i bliskiej.

Ufna w talent córki pani Swift objeżdżała z nią festiwale country w nadziei, że w końcu ktoś się na niej pozna. Wciskały nagranie demo wytwórniom płytowym, aż wreszcie pojechały do matecznika country – Nashville. Tam wręczyły płytę samej Dolly Parton.

Oprócz tego, że kandydatka na piosenkarkę miała talent, miała też urodę – niezaprzeczalny atut w show-biznesie. Jasne włosy, niebieskie oczy, figura modelki przy wzroście 180 cm wzrostu – wiele młodych gwiazdek pop marzyłoby o takich warunkach. Nic dziwnego, że jako 12-latka Taylor wystąpiła jako modelka w kampanii bardzo wtedy modnej sieci odzieżowej Abercrombie & Fitch. „Rising star" – wschodząca gwiazda – to hasło okazało się samosprawdzającą się przepowiednią.

OPOWIADA O SOBIE

W wieku 13 lat otrzymała propozycję współpracy z wytwórnią RCA, częścią Sony Music, rok później namówiła rodziców, aby z przedmieść Pensylwanii przeprowadzili się do Nashville. To pomogłoby jej rozwijać karierę.

W 2005 r. podpisała pierwszy w życiu kontrakt: z nowo powstałą wytwórnią Big Machine Records. W kawiarni w Nashiville jej szef Scott Borchetta zwrócił uwagę na 15-latkę. Szukał młodych talentów i przeczuwał, że młody odbiorca muzyki country też ich będzie potrzebował. Taylor spadła mu jak z nieba. Wytwórnia, w którą pan Swift zainwestował 120 tys. dol., była jeszcze w początkowej fazie działalności i pierwszego singla matka oraz córka pakowały własnoręcznie i same rozsyłały po rozgłośniach radiowych.

Płyta sprzedała się w oszołamiającym nakładzie 5,7 mln egzemplarzy, na liście „Billboard 200" utrzymywała się 157 tygodni.

To był rok 2006. Na rynek muzyczny spadła gwiazda i od razu z oślepiającym blaskiem. „Uczciwość, inteligencja i idealizm" – tak wytłumaczył sukces nastolatki krytyk branżowego pisma muzyki country. Inni także podkreślali, że debiutantka łączy w sobie rzadki zakres cech: etykę pracy, zmysł marketingowy, instynkt biznesowy i determinację.

Ale, co najważniejsze, jest doskonałą autorką tekstów. „W jej piosenkach muzyka intuicyjnie łączy się z tekstem" – uważał magazyn „Rolling Stone". Nawet profesorowie Harvardu docenili niespotykany talent tekściarski. „Ma świetny słuch, jeśli chodzi o dopasowanie słów do siebie" – twierdziła Stephanie Burt, profesor języka angielskiego na Harvardzie – „i potrafi opowiadać historie oraz tworzyć postaci". Historie, a także coś więcej; w tekstach pojawiają się odniesienia literackie; widać, że autorka zna Szekspira, siostry Bronte, Margaret Atwood.

I to nie jest epatowanie erudycją. „Jeśli słuchasz moich albumów, to tak jakbyś czytał mój pamiętnik" – powiedziała kiedyś Taylor. Ona próbuje pisać piosenki, które trafiałyby do każdego: „Nie chcę tworzyć tekstów, do których nie mogliby się odnieść moi fani".

KTÓRY TO MĘŻCZYZNA

Kim są te miliony wielbicieli? „Swifties" to najzagorzalsi, gotowi na wszystko, żeby bronić swej idolki, a tym, którzy ją krytykują, gotowi są nawet wysyłać groźby. Grupa zwana Gaylors chce koniecznie widzieć w tekstach Swift przekaz lesbijski (jak się okazało, słusznie). „W grupie fanów Swift dominują kobiety, milenialsi i ludzie rasy białej, chociaż panuje w nich duża różnorodność" – twierdzi tygodnik „New Yorker".

Magazyn „Bloomberg" napisał: „»Swift Inc«" to międzynarodowy konglomerat z najbardziej oddaną bazą klientów na świecie, najbardziej charyzmatycznym dyrektorem generalnym i znaczącą siłą ekonomiczną".

Jej piosenki początkowo opowiadające życie nastolatków z czasem przerzuciły się na tematykę sentymentalną. Publiczność pragnęła szczegółów życia prywatnego swojej idolki, a ona, chociaż skarżyła się na przedstawianie jej jako seryjnej podrywaczki, nie zamierzała im tego oszczędzać. W tekstach, wywiadach i filmach przemycała porady prawie jak doświadczona ekspertka związków. Liczni prawdziwi lub domniemani narzeczeni, rozstania i powroty, to wszystko wzbudzało gorączkę mediów plotkarskich. Zastanawiano się, która piosenka opowiada o którym mężczyźnie i na jakim etapie związku idolka jest obecnie.

Media jak na żer rzuciły się na awanturę, która wybuchła na ceremonii MTV Music Awards we wrześniu 2009 r. Swift otrzymała nagrodę dla najlepszego żeńskiego teledysku za „You Belong with Me", stając się jednocześnie pierwszą artystką country w historii, która zdobyła statuetkę VMA. Kiedy wygłaszała podziękowania, na scenę wtargnął raper Kanye West, odebrał jej mikrofon, pogratulował, po czym wykrzyknął, że „to Beyoncé tworzy najlepsze wideoklipy wszech czasów". Parę dni po tym incydencie raper zamieścił na swoim blogu przeprosiny, ale i tak jego chamskie zachowanie potępili ludzie z kręgu show-biznesu i nie tylko. Także prezydent Barack Obama.

Przy wszystkich swoich zdolnościach Taylor Swift ma też talent do zarządzania własnym biznesem. W proteście przeciwko niskim opłatom licencyjnym w serwisie streamingowym Spotify w roku 2014 wycofała cały swój katalog. „Za wartościowe rzeczy należy płacić" – stwierdziła i podtrzymała bojkot przez prawie trzy lata.

Jej życiorys wokalistki jest różnorodny: rozpoczynała karierę jako piosenkarka country, potem przeszła do muzyki pop. Ostatnio pojawiły się pogłoski na temat „nadmiernej ekspozycji". Czy Taylor się nie znudzi? Krytycy uspokajają: ona jest jak wąż, zrzuca starą skórę i staje się kimś nowym. Jeszcze parę razy wymyśli siebie na nowo.

Miała być w Polsce na Openerze w lipcu 2020 r. Koncert odwołano z powodu COVID-19. W marcu 2023 r. rozpoczęła międzynarodowe tournée „Era". Bilety wyprzedawano w ciągu kilku godzin. Na początku sierpnia Taylor Swift wystąpi w Polsce na trzech koncertach w Warszawie. Na razie bilety jeszcze są: od 200 do 800 zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5ec60e9ca7

VOLVO XC90 T8 RECHARGE

FOT. JAP

To najdroższy i najpotężniejszy model w ofercie szwedzkiej marki. Ważący prawie 2,3 tony SUV mierzy niemal 5 m długości, nieco ponad 2 m szerokości i ma niemal 1,8 m wysokości (dokładne wartości to odpowiednio 4953 mm, 2008 mm i 1767 mm).

Mimo nieco staroświeckiej sylwetki majestatyczne auto wygląda elegancko. Volvo XC90 T8 Recharge to też auto dynamiczne (pod maską kryje się aż 455 KM, co pozwala przyspieszyć od zera do 100 km/h w zaledwie 5,4 s), przestronne (na jego pokładzie może podróżować siedmioosobowa rodzina) i wyjątkowo komfortowe (pneumatyczne zawieszenie sprawnie eliminuje nierówności, fotele są wyposażone w opcję podgrzewania, wentylowania oraz masażu, a świetny system nagłośnienia Bowers & Wilkins sprawia, że kabina staje się przyjemnym miejscem do spędzania wolnego czasu). Jest też ładowanie indukcyjne, złącza USB-C do ładowania smartfonów etc., ale to już standard i w niższej klasie aut.

Foremny kufer jest ogromny. Przy złożonym trzecim rzędzie foteli pojemność maksymalna wynosi 640 l. Na pochwałę zasługują również świetnie sprawdzające się w trasie przednie reflektory w technologii Full-LED i tradycyjnie stylizowane na młot Thor, które dobrze doświetlają drogę, a jednocześnie tak modyfikują kształt wiązki światła, że nie oślepiają innych kierowców.

Na autostradzie potężnym Volvo poruszać się można z maksymalną prędkością 180 km/h. Nawet jeśli lokalne przepisy dopuszczają wyższą prędkość, to tego limitu w tym samochodzie nie przekroczymy, bo marka bardzo dba o opinię bezpiecznej. Wielkiego żalu jednak nie ma, bo 180 km/h to już naprawdę wystarczająco dużo, a XC90 to model dla osób, które nikomu niczego nie muszą udowadniać. Szkoda jedynie, że nadal większość funkcji – w tym sterowanie klimatyzacją – wymaga szperania podczas jazdy po menu na dotykowym ekranie (w aucie słynącym z bezpieczeństwa to średnio przemyślane rozwiązanie).

Co ze spalaniem? XC90 T8 Recharge z wbudowanym akumulatorem pozwala cieszyć się tym, co najlepsze z różnych rozdziałów motoryzacji. Dzięki dwulitrowej benzynowej jednostce o mocy 310 KM oraz elektrycznemu motorowi (145 KM) mamy więc jednocześnie niezależność (możliwość przejechania ponad 850 km na jednym baku), ciszę i dobrą dynamikę (poza tym XC90 w tej wersji można doładować z gniazdka). Na samym prądzie udało mi się przejechać ok. 55 km (teoretyczny zasięg na akumulatorze wynosi 70 km). Podczas testu przy rozładowanym akumulatorze średnie spalanie na autostradzie wyniosło ok. 11 l/100 km, a na drogach krajowych ok. 7 l/100 km.

Za Volvo XC90 T8 Recharge w najtańszej wersji trzeba zapłacić 379,9 tys. zł. Najbogatsza wersja ultra z panoramicznych dachem, wyświetlaczem przeziernym, nubukową podsufitką etc. to już wydatek rzędu 429,9 tys. zł. ©℗

INTELIGENTNA STACJA POGODOWA NETATMO

Nowoczesne wzornictwo, lokalne wskazania warunków atmosferycznych, kompatybilność z najpopularniejszymi systemami do obsługi inteligentnego domu, bajecznie prosta obsługa – to największe zalety udoskonalonej wersji inteligentnej stacji pogodowej francuskiej firmy Netatmo.

To porównaniu do inteligentnych kamer czy różnego rodzaju czujników stacja pogodowa to dość niszowy produkt. Muszę szczerze przyznać, że nigdy nie należałem do osób śledzących z zapartym tchem, co ogłosi telewizyjna pogodynka. Szczegółowe dane w aplikacji przedstawiające, jakie warunki atmosferyczne są nie gdzieś tam w Warszawie i okolicach, ale na moim własnym balkonie, sprawiły, że pogodę podczas testu zacząłem sprawdzać kilka razy dziennie. I nie chodzi tylko o temperaturę czy wilgotność w domu i na zewnątrz, ale również o jakość powietrza w domu (stężenie dwutlenku węgla) wraz z dokładnym podziałem na stężenie PM2.5 czy PM10, ozonu, tlenku azotu, dwutlenku siarki etc. Dzięki tym wskazaniom łatwiej wybrać moment, w którym można zdrowo powietrzyć całe mieszkanie/dom. Stacja ma również wbudowany barometr (dokładność pomiaru wynosi =/– 1 mbar) oraz czujnik służący do pomiaru hałasu (od 35 do 110 dB).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aplikacja ułatwia planowanie prac na zewnątrz. Inteligentna stacja umożliwia również ustawienie własnych ostrzeżeń pogodowych, np. gdy powietrze w sypialni będzie zbyt zanieczyszczone dwutlenkiem węgla lub gdy temperatura na balkonie/tarasie spadnie poniżej zera (dzięki czemu można szybko zareagować i wnieść do środka wystawione już na dwór rośliny).

Miłośnicy różnego rodzaju statystyk będą też zachwyceni dużą liczbą wykresów przedstawiających temperaturę, wilgotność, poziom opadów czy moc wiatru w dowolnie wybranym okresie czasu.

Inteligentna stacja pogodowa Netatmo współpracuje zarówno z Alexą, jak i Apple Home oraz Google Home.

Minusy? Niektóre osoby z większym domem z ogrodem mogą czasem narzekać na niezbyt duży zasięg wi-fi modułów zewnętrznych. Na szczęście nawet w razie chwilowej utraty zasięgu urządzenia nadal kolekcjonują dane, które można sprawdzić po odzyskaniu łączności z Internetem.

Największą wadą testowanej stacji pogodowej jest jej wysoka cena. Za samą stację pogodową Netatmo składającą się z modułu wewnętrznego oraz zewnętrznego trzeba zapłacić 889,99 zł. A to nie koniec wydatków. Aby w pełni korzystać z możliwości własnej stacji pogodowej, warto bowiem dokupić inteligentny anemometr oraz inteligentny deszczomierz (każdy z tych modułów kosztuje ok. 300 zł). ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 5ec60e9ca7

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

RYS. OBA

Desperacka konfederacja dzikowska

Dzików, obecnie dzielnica Tarnobrzega, dawniej teren rezydencji zwanej Zamkiem Dzikowskim, znany jest z jednego miejsca i jednego wydarzenia, które zapisały się w dziejach dawnej Rzeczypospolitej. Pierwszym jest rezydencja rodu Tarnowskich, która przeszła przez całą architektoniczną ewolucję od prostego, ceglanego dworu wieżowego, ozdobionego monumentalną wieżą i wzniesionego w XV w., który pod koniec stulecia należał do Ossolińskich. W 1522 r. zameczek ten kupili Tarnowscy, którzy rozpoczęli rozbudowę zamku, dobudowując do wcześniejszej budowli (obecnie stanowi skrzydło zachodnie) główną część rezydencji i otaczając teren fortyfikacjami bastionowymi. Prace nad rozbudową pałacu trwały aż do końca XVIII w., gdy wzniesiono skrzydło wschodnie i rozebrano fortyfikacje, zamiast których urządzono ogród. Po zniszczeniu zamku przez Austriaków w 1809 r. został on odbudowany w modnym wówczas neogotyckim stylu. Pałac pomyślany został nie tylko jako rezydencja, lecz także muzeum. Jak podaje Adam Wójcik-Łużycki, za czasów Jana i Walerii Tarnowskich zamek był miejscem przechowywania zbiorów dzieł sztuki, pamiątek narodowych, archiwum i biblioteką. Niestety, w 1927 r. pożar zniszczył jego wnętrza. Dzików, odbudowany przez Wacława Krzyżanowskiego, wrócił do swojej pierwotnej formy barokowej; niestety, komunistyczna reforma rolna i przejęcie rezydencji przez szkołę rolniczą spowodowały wiele kolejnych szkód, które naprawił dopiero przeprowadzony w 2011 r. remont.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dziś Zamek Dzikowski sprawia wrażenie podmiejskiej rezydencji Tarnowskich. Tarnobrzeg bowiem rozrósł się do tego stopnia, że zabudowa doszła do granic posiadłości. Tymczasem zamek jest o... 200 lat wcześniejszy, miasto bowiem założone przez właścicieli zamku uzyskało prawa miejskie dopiero ok. 1681 r.

Drugim ważnym wydarzeniem z historii Dzikowa było zawiązanie tutaj desperackiej konfederacji generalnej dzikowskiej 5 listopada 1734 r. pod laską Adama Tarły i wojskowym dowództwem regimentarza Józefa Potockiego. Było to świadectwo upadku i słabości Rzeczypospolitej po śmierci Augusta II Sasa. Chociaż bowiem zebrana na polu elekcyjnym pod Warszawą szlachta wybrała na króla Stanisława Leszczyńskiego, to doszło do pierwszej w dziejach Rzeczypospolitej otwartej interwencji wojsk rosyjskich, saskich i austriackich, które przeprowadziły własną elekcję, forsując na tron Fryderyka Augusta, elektora saskiego znanego później jako król August III Sas. Konfederacja była drugą zawiązaną w obronie elekta – pierwszą zawiązano 5 marca w Wilnie – i podjęła próbę naprawy ustroju Rzeczypospolitej. Kłopot w tym, że było już za późno – armie koronna i litewska ustanowione na Sejmie Niemym były tak słabe, że mogły jedynie demonstrować zbrojnie przeciwko przeważającym siłom moskiewskim wkraczającym na Litwę i potem do Warszawy. Tak zemścił się wieloletni bak reform i stałej siły zbrojnej – przede wszystkim piechoty. Konfederackie pospolite ruszenie składające się głównie z konnicy było bez trudu rozbijane przez karne i wyćwiczone pułki moskiewskie. Nie stanął też na wysokości zadania sam król elekt Leszczyński, który nie był człowiekiem czynu i oręża, ukrywał się w Gdańsku, potem przekradł do Królewca i pomimo wezwań nie wrócił do kraju, aby stanąć na czele ogólnoszlacheckiego zrywu przeciwko najeźdźcom.

Konfederaci walczyli desperacko przez ponad rok, ponieśli jednak wiele porażek, w tym pod Międzychodem i Zawierciem, w 1735 r. trzymali się już tylko na Podlasiu, wcześniej poddał się Gdańsk, gdzie król Francji przysłał garść piechoty dla pomocy Leszczyńskiemu. Ostatnie ogniska oporu istniały do 1736 r. w Puszczy Zielonej, wreszcie kiedy armia koronna zaczęła przechodzić na stronę Augusta III Sasa, a Leszczyński abdykował, konfederacja zaczęła upadać, zakończył ją sejm pacyfikacyjny latem tego roku, na którym uchwalono amnestię dla stronników legalnie wybranego króla. Był to jedyny sejm, który nie został zerwany w czasach panowania Augusta III Sasa; jego rządy oznaczały kompletną ruinę polskiego i litewskiego parlamentaryzmu i całkowite uzależnienie Rzeczypospolitej od obcych dworów. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pomysł na naleśniki

Najpopularniejszy francuski przysmak, którego wykonanie jest banalnie proste, a do którego potrzebne produkty są w każdym domu. Proporcji składników w przepisach jest wiele, jedni dodają roztopione masło, inni oliwę czy olej, ale podstawą są zawsze jajka, mąka i mleko, a czasami także woda gazowana. Historia naleśników jest długa, sięga starożytnej Grecji. W jednym z dzieł greckiego komediopisarza opisano coś, co przypominało w smaku i wyglądzie placki. Tak do końca to nie wiadomo jednak, skąd wywodzi się obecna forma naleśników. Włosi uważają, że z Florencji trafiły do Francji dzięki Katarzynie Medycejskiej, ale historia mówi, że naleśniki smażono już 400 lat przed Chrystusem w Chinach. W Europie do przygotowania naleśników używamy mąki pszennej, w Azji mąki ryżowej i w zależności od kierunku świata do naleśników dodaje się mąkę z ciecierzycy, z kukurydzy czy z gryki. Propozycji podania jest wiele: na słodko i słono, faszerowane, smarowane, zawijane. Do samego ciasta naleśnikowego możemy dodać roztopioną czekoladę, rozdrobniony szpinak, a nawet sok buraka, wodę różaną albo brandy. Można z nich przygotować tort albo zapiekankę. Fakt jest taki, że nie spotkałyśmy jeszcze osoby, która nie lubiłaby naleśników. Kochają je wszyscy – dzieci i dorośli. Smarowane słodkim twarożkiem, podane ze świeżymi owocami są ulubionym daniem najmłodszych, a serwowane z wytrawnym nadzieniem zaspokoją gusta dorosłych, można z nich przygotować obłędną i zarazem wykwintną kolację.

Przepis na naleśniki z jajkiem sadzonym i awokado

Ciasto:

• 1 szklanka mąki pszennej • 1 szklanka mleka • 2 jajka • szczypta soli • 1 duża łyżka roztopionego masła lub 2 łyżki oleju • olej lub masło klarowane do smażenia

Nadzienie:

• dwa jajka, • świeże awokado • pomidor • natka pietruszki lub kolendry • sól • pieprz

Składniki na ciasto blendujemy lub mieszamy w mikserze.

Na rozgrzaną patelnię wykładamy cienkie porcje ciasta, smażymy dokładnie z jednej strony, po chwili obracamy na drugą stronę. Następnie wbijamy jajka i delikatnie składamy w kopertę, dalej smażymy jeszcze chwilkę. Przekładamy na drugą stronę na moment i gotowe. Podajemy z awokado i plasterkami pomidora. Posypujemy solą, natką albo kolendrą. ©℗

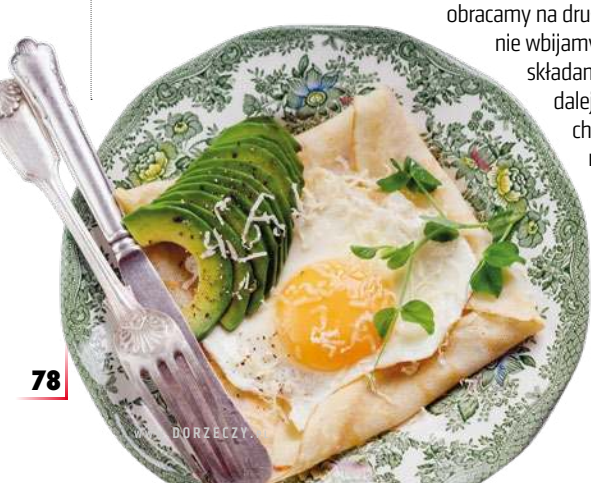

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Woleli nie wiedzieć

Niewiele wiemy o tych okrucieństwach. Pięć milionów ofiar. Głód, tortury, więzienia, zniszczenie inteligencji, zaprzepaszczenie dóbr kultury, wymazanie dorobku konfucjanizmu.

Rewolucja kulturalna w Chinach była dawno i daleko, ale to wszystko może i nas dotyczyć. O ile zechcemy się dowiedzieć. Wtedy Europa, zaczadzona maoizmem i komunizmem, wolała nie wiedzieć. Europejscy chwalcy maoizmu wysławiali zburzenie starodawnej cywilizacji, zniszczenie jej zasad moralnych, kulturowych. Odważnych, którzy nie zawahali się powiedzieć prawdy, było niewielu.

Simon Leys był pierwszy, który ujawnił prawdę. Belgijski sinolog jako pierwszy opisał horrory czasów „rewolucji kulturalnej". Wykazał, jak w Chinach zamierzano wykorzenić społeczeństwo obywatelskie i zastąpić je systemem, w którym jednostka będzie własnością państwa. Aresztowania, dzieci donoszące na rodziców, czystki, obozy koncentracyjne, egzekucje. Chińczycy robili to własnymi rękami. „Blisko sto milionów obywateli było bezpośrednio uwikłanych w akty przemocy tego okresu – albo jako sprawcy, albo jako ofiary" – pisał Leys. Książka Pierre'a Boncenne'a „Parasol Simona Leysa" (Wyd. PIW) przedstawia portret tego wybitnego badacza i pisarza oraz reakcję Europy na jego doniesienia. Chwała PIW, że o tym przypomniał!

Kiedy w 1969 r. spędzałam wakacje w Londynie, moi progresywni znajomi, studenci, czytali czerwoną książeczkę jak Biblię. Dziś, gdy im o tym przypominam, zbywają żartami, ale wtedy fascynacja, którą maoistowskie Chiny wzbudzały na Zachodzie, karmiła się ślepą wiarą w ideologię przyprawioną dawką wątpliwej egzotyki. Simone de Beauvoir, Malraux, Gide wychwalali dobrodziejstwa rewolucji, przekonując, że „niewielkie problemy" są jej koniecznym kosztem. Pięć milionów ofiar, istotnie „niewielkie".

„Simon Leys natychmiast dostrzegł w tym modę zaskakująco podobną we wszystkich mechanizmach do osiemnastowiecznej mody na chinoiseries przejawiającej się w ogrodowych pagodach i porcelanowych figurkach zdobiących kominki" – pisze Boncenne. Jednak francuska prasa i intelektualiści traktowali Leysa obelżywie i z pogardą.

Opowieść Boncenne'a o Leysie warto przeczytać, żeby zrozumieć, jaką drogę musiały przejść Chiny, aby od czasów chaosu i przemocy stać się potęgą technologiczną i odzyskać godność narodową. Komunizm nie zniknął. Wżarł się mocno w chiński kapitalizm, trwa dobrze zakamuflowany, dyskretnie i skutecznie śledząc swoich obywateli, aby nie zerwali się z krótkich smyczy. Totalitaryzm nie jest wcale słowem określającym historyczną formację. On jest ciągle żywy. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Władza na resorach

Drżą podstawy świata. Mamy postulowaną przeze mnie międzynarodówkę antysystemową. Europę zalewają protesty – i to nie tylko rolników, lecz także kierowców, transportowców czy obsługi lotnisk. W USA ocieramy się o wojnę domową, gdzie okazuje się, że sprzeczność interesów między lewicującym Waszyngtonem a zdroworozsądkowym Teksasem przybiera znamiona rebelii, co w stanie, który posiada własną Gwardię Narodową i uzbrojonych obywateli, pokazuje już pęknięcia na poziomie globalnym. A u nas co? A u nas sielanka i poboczności.

Jak to się dzieje, że takie wstrząsy są nieodczuwalne? To jasne – społeczeństwo w dobie wolnego dostępu do informacji wie tylko tyle – a właściwie emocjonuje się tylko tym – co mu podadzą na tacy media. A media są obecnie resorem niwelującym wstrząsy, a właściwie ich odczuwanie. Bo jedziemy po coraz bardziej wyboistym terenie, pomijając już, że koleiny wskazują bliską przepaść. Kłopot pod kołami historii istnieje i nawarstwia się, ale ludzkość jest kołysana na saniach podsuwanych problemików, tiktokowana w głupotach i rolkowana w bzdurach. Nożyce indukowanych wyobrażeń rozchodzą się z twardą rzeczywistością, a ta – jak wiadomo – prędzej czy później upomni się o swoje. Im później – tym bardziej.

To milczenie mediów na kluczowe tematy pokazuje też jedno – kto rządzi. A o tym, kto rządzi, można się łatwo przekonać, widząc, kogo nie można krytykować. Nie tylko w Polsce układ medialny stanowi system zamknięty. Nie dowiemy się niczego, czego władza nie chce. A że mamy światowe władze głównie z obszaru gnijącej demokracji liberalnej, to przekaz, a zwłaszcza cenzura idą w przyjaznych dla niej kierunkach.

Proste ćwiczenie tego zjawiska polega na próbie odwrócenia ról. Gdyby np. tęczowe zagony zablokowały prawicowy parlament, gdyby urzędujący Trump ruszył budować stanowe zapory przeciwko BLM w Kalifornii, to o niczym innym w mediach światowych by nie mówiono dzień i noc. I nie trzeba byłoby żadnych tłumów, wystarczyłaby grupka aktywistów z plakacikiem z kartonu po pizzy. A my tu ślęczymy, kiedy tam z zagonami jak najbardziej pancernymi walczą bataliony traktorów. W sumie o nas, bo protesty rolników od razu przeniosły się w takiej Belgii na opustoszenie półek sklepowych, co jest pokazem tego, co nas czeka po wprowadzeniu zieloności do rolnictwa. Tak – to akurat media pokażą, by zwalić winę na kmieciów, którym to się robić nie chce.

Polacy wiedzą, jak się żyje w rzeczywistości, która skrzeczy, mija się z oficjalnym przekazem. Mają też – niestety – zdolność do moszczenia się w takim dyskomforcie. Na długo? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zabawa państwem

Gdy marszałek Hołownia straszył Putina, że wgniecie go w ziemię, padła Awdijiwka. Chaotyczny odwrót, wskutek którego do niewoli rosyjskiej dostało się kilkuset ukraińskich żołnierzy, przebiegał dramatycznie. Jedyna droga, którą wycofywali się obrońcy, usłana była zwłokami.

Tego samego dnia na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium szefowie państw deklarowali zwiększenie wydatków na zbrojenia. Premier Norwegii mówił wprost: „Norweskie siły zbrojne muszą być przygotowane na wybuch konfliktu, ponieważ Rosja odpowie na wejście Finlandii i Szwecji do struktur NATO. Na pewno będzie to zwiększenie obecności swoich wojsk w tym regionie". Także z Finlandii przychodzi informacja, że państwo przestawia gospodarkę na tryb wojenny. Skandynawowie traktują sprawę poważnie.

Może pogróżki marszałka Hołowni kogoś śmieszą, w Internecie zaroiło się od memów, ale sytuacja nie jest wesoła. Wysłuchałem wystąpienia marszałka do końca. Oskarżył poprzedników za to, że z wojska odchodzą dobrze wyszkoleni żołnierze. Nie powiedział natomiast, kto przychodzi do armii. Wracają gen. Mieczysław Gocuł i były oficer PRL-owskiej WSW, gen. Bogusław Pacek. Czy tacy dowódcy przygotują nas do obrony? To przecież za ich służby, za rządów PO-PSL, po zakończeniu poboru rozbrajano armię i wyprzedano pokaźne zapasy karabinów. Dziś jesteśmy jednym z najbardziej rozbrojonych społeczeństw. Miliony polskich mężczyzn nigdy nie miały broni w ręku. Ale nie tylko to. Polacy są kompletnie nieprzygotowani do obrony cywilnej.

Finlandia już od dawna – a od 2014 r. intensywnie – realizuje program obrony totalnej, która polega na włączeniu do systemu bezpieczeństwa wszystkich obywateli. Każdy przechodzi szkolenia, ma przydział zadań, każdy wie, gdzie w razie zagrożenia ma się stawić i co robić.

W Polsce w 2020 r. został ukończony dokument „Strategia Bezpieczeństwa Narodowego RP", który jest sensownym, przejrzystym programem określającym główne zasady kształtowania polityki bezpieczeństwa i obrony kraju. Dokument zakładał przygotowanie konkretnych, szczegółowych ustaw. W marcu 2022 r. opublikowano Ustawę o obronie Ojczyzny, natomiast do dziś nie mamy ustawy o obronie cywilnej. Mamy za to wyniszczający konflikt polityczny, chaos w wymiarze sprawiedliwości, niszczenie autorytetu instytucji państwa i brak elementarnej odporności społecznej. Wypowiedź Hołowni wpisuje się w ten obraz, potwierdzając tylko, że w tak dramatycznym momencie państwo znalazło się w rękach ludzi kompletnie oderwanych od realiów i nieodpowiedzialnych. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Potrzeba egzegezy...

Marianna Schreiber, żona kandydata PiS na prezydenta Bydgoszczy, została publicznie spoliczkowana. Stop. Chociaż biorąc pod uwagę okoliczności, to raczej należy napisać „dostała z liścia" lub „otrzymała plaskacza". Stop. Okoliczności były mianowicie takie, że pani Marianna bierze udział w patologicznych walkach w klatce, w których zarabia się kilkaset tysięcy za walkę, i taki liść/plaskacz to ograny tu środek artystyczny raczej. Stop. Teraz nie wiemy, czy pan mąż Łukasz kocha najbardziej na świecie, że nie odradza skutecznie takich przyjaciół, czy też może są te kwestie natury finansowej, bo PiS już nie przy władzy... Stop. Z dziennikarskiego obowiązku pragniemy poinformować, że żona znanego polityka stoczy następną walkę z wieloletnią alkoholiczką, która znana jest z tego, że jest wieloletnią alkoholiczką, natomiast nie jest posiadaczką kompletu uzębienia. To się obejrzy. Stop.

Znajomość tekstów przekazów jest oczywiście ważna, ale czasem ważniejsza, dużo ważniejsza jest egzegeza, czyli odpowiednie tekstu wyjaśnienie maluczkim, którzy, zdarza się, wielkie teksty wielkich ludzi rozumieją dosłownie. Stop. Otóż tłumacząc słowa Donalda Tuska o 100 konkretach na 100 dni, rzekł: „Nigdy w życiu bym nie pomyślał, że ktoś pomyśli, że 100 tak gigantycznych rzeczy nie będzie realizowanych w ciągu kadencji, tylko kilkunastu tygodni". Stop. Ze wstydem przyznam, że osobiście pomyślałem, że 100 konkretów w 100 dni oznacza to, co oznacza, ale ponieważ nie oznacza, chciałem panu Szejnfeldowi podziękować! Stop.

Dziennikarze wp.pl wyśledzili, że udający anonima w sieci i występujący pod psedonimem Pablo Morales nienawistnik piszący okropieństwa o obozie obecnej opozycji, a wczorajszym obozie rządzącym, wcale nie jest żaden Morales, tylko Kopania Bartosz, i jest ci on podobno ekspertem od wizerunku zawodów prawniczych. Stop. Ale to tam nic, dziennikarze odkryli, że Platforma Obywatelska zapłaciła mu ponad 300 tys. Stop. Próbka talentu Kopani umieszczona w sieciach społecznościowych to np. wpis o prezydencie: „Facet ma mimikę błazna podłączonego do prądu". Stop. Ponieważ płaciła mu obecna władza, a z władzą nie ma co zadzierać, przyznać trzeba, że to dobrze, iż za pracę się płaci. Stop.

Politycy lewicy twierdzą, że Zielony Ład, który jest źródłem nieszczęścia rolników, jest dla rolników właśnie dobry. Stop. Potrzeba egzegezy, takiej rozbudowanej. To z pewnością zakończy strajki. Kluczem jest bowiem zrozumienie... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Wskazówki pani konsul

W nadzwyczaj emocjonalny sposób skomentowała na Facebooku protesty polskich rolników przeciw importowi ukraińskich produktów rolnych konsul generalna RP we Lwowie, Eliza Dzwonkiewicz. „Nie mogę już dłużej milczeć. Z miłości do własnej Ojczyzny. Nie mogę udawać, że nie widzę tych hańbiących Polskę działań na granicy polsko-ukraińskiej. Przepraszam Was, drodzy ukraińscy Przyjaciele. To, co się dzieje, nie może być dziełem moich Rodaków. Gdy jako nastolatka dowiedziałam się, że podczas Powstania Warszawskiego stojący po prawej stronie Wisły Rosjanie w 1944 roku nie zgodzili się na śródlądowanie samolotów alianckich (w celu uzupełnienia paliwa), niosących pomoc walczącej Warszawie, myślałam, że tak haniebnie mogą się zachować tylko ruscy. Ostatecznie pomoc, która była przeznaczona dla Powstańców, była zrzucana z tych samolotów wcześniej na przedpolach Warszawy, zupełnie przypadkowo, i trafiała w ręce niemieckie. Byłam wówczas jako nastolatka przekonana, że tylko ruscy mogą spokojnie patrzeć, jak inny naród się wykrwawia… że my, Polacy, nigdy byśmy czegoś podobnego nie zrobili. A dzisiaj co robią »polscy« rolnicy i przewoźnicy? Nie wierzę, że to Polacy… Prawdziwy Polak nigdy nie zadałby ciosu w plecy walczącym o wolność sąsiadom. Nie chodzi o postulaty, chodzi o formę protestu. Hańba i wstyd. PRZEPRASZAM walczącą Ukrainę, przepraszam…".

Przed kilkoma dniami wprowadzenia całkowitego embarga na import ukraińskiej żywności zażądali politycy PiS zgromadzeni na konferencji „Bronimy polskich rolników". „W trosce o najgłębsze interesy Rzeczypospolitej Polskiej rząd Donalda Tuska powinien natychmiast wprowadzić pełne embargo na wszystkie towary rolne sprowadzane z Ukrainy" – grzmiał były minister obrony Mariusz Błaszczak.

Polska konsul we Lwowie nie jest w polityce osobą przypadkową. W latach 2010–2016 stała na czele zarządu Fundacji BZ WBK, wspierając prezesa banku, przyszłego premiera Mateusza Morawieckiego. Następnie szefowała fundacjom Polskiej Grupy Zbrojeniowej i Grupy Lotto.

Wygląda na to, że znalezienie „prawdziwych Polaków" staje się na prawicy coraz trudniejsze. Nie ułatwi tego decyzja Polskiej Fundacji Narodowej o nagłej sprzedaży sztandarowego projektu fundacji – jachtu oceanicznego „I Love Poland". Jacht kupił tajemniczy nabywca „z południa Europy". Jeśli „kochającej Polskę" prawicy nie da się dłużej rozpoznać po ogorzałej opaleniźnie i pamiątkach z karaibskich regat, to pozostaną już tylko wskazówki pani konsul ze Lwowa. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wnuczka Wańkowicza

W 1958 r., po powrocie z emigracji, Melchior Wańkowicz otrzymał kwaterunkowe mieszkanie w mikrokosmosie Polski, jak mówił, na rogu ulic Puławskiej i Rakowieckiej obok hałaśliwej pętli tramwajowej, w starej, odrapanej, śmierdzącej kotami kamienicy, wśród 70 przeważnie robotniczych rodzin, na piątym piętrze, z windą w sąsiedniej klatce (zatrzymującą się tylko na szóstym, skąd schodziło się niżej).

Wykupił je i zapisał swojej wnuczce, która w 1970 r., jeszcze za jego życia, przyjechała do Polski z Ameryki, żeby studiować medycynę. Była córką słynnej Tili, jednej z bohaterek jego „Ziela na kraterze", bardzo uzdolnionej, kształconej przez Wańkowicza w Szwajcarii i Ameryce. Nie spełniła jednak jego nadziei, zawiodła go i mimo amerykańskiego dyplomu zadowoliła się rolą żony i matki oraz macaniem kur, jak ironizował, na farmie prowadzonej razem z mężem. Nie chciała wracać do Polski. Jednak to wszystko, czego oczekiwał od Tili, spełniła jej córka – odważna, zbuntowana, dla której liczyły się bardzo jej polskie i rodzinne korzenie. Nazwano ją Anną Krystyną, na pamiątkę starszej córki Wańkowicza, Krystyny, pseudonim Anna, poległej w powstaniu warszawskim.

Wnuczka w Polsce chciała żyć, pracować – leczyć biednych. Wyszła za mąż za Polaka, związanego z opozycją reżysera Tadeusza Walendowskiego, redaktora podziemnego pisma „Puls". Urodziła dwóch synów – Dawida oraz Eliasza – i żeby podkreślić ich związek z pradziadem Melchiorem, nie w szpitalu, ale w jego dawnym salonie. Założyła razem z mężem coś w komunistycznej Polsce późnego Gierka absolutnie niewyobrażalnego, a mianowicie pierwszy i jedyny oficjalny salon niezależnej kultury, zwany przez jego bywalców „świetlicą", małą wyspą wolności na wielkim czerwonym morzu.

„Świetlica" istniała prawie trzy lata, od roku 1976 do września 1979 r. Regularnie, w co drugą środę, odbywały się tu wieczory opozycyjnych twórców, którzy znaleźli się na czarnych listach cenzury, m.in. Jacka Kaczmarskiego, Jana Krzysztofa Kelusa, Jacka Kleyffa, Haliny Mikołajskiej, Macieja Rayzachera, Szpota, czyli Janusza Szpotańskiego, Stefana Kisielewskiego, Marka Nowakowskiego, Tadeusza Konwickiego, Mariana Brandysa, Jacka Bierezina, Mirosława Chojeckiego, redaktorów „Pulsu" i „Zapisu".

Byłam w „świetlicy" na wieczorze mego sąsiada Piotra Wierzbickiego, poświęconym jego głośnemu esejowi „Traktat o gnidach". Zaproszenie na pięknym kartoniku dostałam od Piotra, na ogół jednak, aby podkreślić jawność swego salonu, Walendowscy rozsyłali je pocztą, podając swój adres i telefon. Naokoło kamienicy stało wiele milicyjnych radiowozów. Przy wejściu i na schodach kręcili się „smutni panowie" i milicjanci, legitymujący niektórych gości. Nigdy jednak nie odważyli się wejść do mieszkania Walendowskich. Na ich drzwiach wisiała kartka „Nie pukać, nie dzwonić – wchodzić!".

Mieszkanie, choć obszerne, pękało w szwach. Na niektórych spotkaniach bywało nawet ok. 200 osób i siedziało się na podłodze, parapetach. W przedpokoju brakowało miejsca na płaszcze, rzucało się więc je i do wanny. W jednym z pokojów sprzedawano najnowsze wydawnictwa drugiego obiegu. Panowała atmosfera swobody, wolności i rodzinności – mali synkowie Walendowskich włazili gościom na kolana, zbierali do kapelusza datki na „bibułę". Zdaniem bywalców „świetlicy" istniała ona dzięki genius loci – duchowi miejsca – i czuwającemu nad nim Wańkowiczowi, a w rzeczywistości – dzięki amerykańskiemu paszportowi Ani. Zależna od zachodnich kredytów ekipa Gierka nie chciała wkraczać do mieszkania amerykańskiej obywatelki. Szykanowała jednak Walendowskich, jak tylko mogła. Nie pozwolono Tadeuszowi nakręcić nawet filmu dyplomowego, nikt nie chciał go zatrudnić, żyli dzięki oszczędnościom zostawionym Ani przez Wańkowicza. Wzywano ich ciągle na przesłuchania. Dla Dawida i Eliasza nie było miejsca w żadnym przedszkolu. Na spotkania nasyłano agentów, a przed nimi wyłączano windę i nawet najstarsi goście musieli wdrapywać się na piąte piętro. Ani natomiast nie przedłużono polskiej wizy, nakazując w ciągu miesiąca opuścić Polskę.

1 września 1979 r. musiała więc wyjechać z rodziną do Stanów. Pracowała jako pediatra, a Tadeusz w „Głosie Ameryki". Nie udało się jednak wygnać ich z Polski na zawsze. Po 1989 r. do wolnego już kraju wrócił z amerykańskim dyplomem ich syn, Dawid, który zawsze czuł się i czuje Polakiem. Rozpoczął pracę w oddziale holenderskiego banku, ożenił się, ma dwóch synów – Szymona i Filipa, praprawnuków Melchiora. Spełnił ostatnią wolę swoich rodziców, sprowadzając do Polski, na cmentarz w Laskach, ich prochy – zmarli przedwcześnie (Ania w wieku zaledwie 59 lat, Tadeusz – 60) niemal razem, przegrywając walkę z rakiem – Tadeusz 28 lutego 2004 r., Ania – 10 marca 2004 r. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

DOKĄD?

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Spytał mnie facet tak: Czy jest sens w obecnych czasach zamieszkać i żyć w USA oraz jak bardzo mentalność Amerykanów jest różna od naszej mentalności polskiej? Czy Amerykanie zbyt dosłownie nie rozumieją swojej wolności?

Nie wiem, jak można wolność rozumieć „zbyt dosłownie". Pytanie, które ten pan zadał, sugeruje, że on swojej własnej wolności nie rozumie dosłownie. To w takim razie jak? Symbolicznie? Bo i tak uznaje, że jest niewolnikiem systemu? Ma wolność słowa, ale nie chce się swobodnie wypowiadać? Ja uważam i tego bronię, że wolność należy rozumieć dosłownie.

W kwestii mentalności Amerykanów odpowiedziałem mu, że kiedyś była inna od naszej i człowiek widział to na każdym kroku. Obecnie imperium się zapada i pojawiło się w Ameryce chamstwo. Wcześniej go nie było, teraz jest wszędzie. Takie chamstwo typowo rusko-ukraińsko-polskie. Mentalność, od której człowiek chciałby uciec.

Pisałem już kilka razy, że jeśli Ameryka padnie, nie będzie dokąd uciekać. A ludzie mnie wciąż pytają dokąd, czy i jak.

***

Kolejny facet pisze: „Czy Pana nie kusiło, by ulokować się na stałe na plaży gdzieś między zwrotnikami z widokiem na ocean i zostawić to wszystko, ten cały syf daleko w tyle, żeby zapomnieć, oddać się kontemplacji Boga, przyrody, po prostu mieć już dosyć tego naszego świrniętego świata, zostawić go zwyczajnie za sobą?".

Owszem, kusiło mnie i skusiło skutecznie – przecież rzuciłem wszystko w pieruny i mam moją „Wyspę na prerii" – rancho na zadupiu świata. Widok z werandy przypomina plażę, a trawa wygląda jak falujące morze. Po horyzont nie widzę nikogo, a gdybym zobaczył, to strzelam w powietrze, bo to tzw. kojoty, czyli przemytnicy ludzi i narkotyków z Meksyku. Gdy słyszą strzały, zmieniają kierunek i omijają moją ziemię, idąc inną trasą. Tak tu robimy wszyscy i... to przypomina dawne czasy na Karaibach, gdy zamiast „kojotów" krążyli piraci.

Mam też podobny zakątek na Karaibach – drewniana buda z desek, które wyrzuciło morze, a którą ja nazywam domem, choć dla kogoś innego to byłaby raczej „buda". Jest tam fotel (też zbity z morskich desek), jest sklep typu SPRZEDAJEMY WSZYSTKO, tylko trzeba się do niego fatygować albo łodzią, albo piechotą po plaży, tak powiedzmy 40 minut. Nie mam zegarka, to nie wiem, może to jest godzina spaceru w jedną stronę, a nie 40 minut – tu czas płynie wolniej; czasami wcale.

Gdy potrzebuję z tego mojego raju polecieć do domu w USA i potem do domu w Polsce, to i tak nie patrzę na zegarek, bo muszę zacząć się zbierać ze dwa–trzy dni przed datą wylotu i najpierw zamówić kogoś z łodzią, potem odwiedzić wszystkich znajomych mieszkających w pobliżu miasta z lotniskiem i dopiero wtedy idę na lotnisko i kupuję bilet (w kasie na miejscu, za gotówkę).

Czyli skusiło mnie skutecznie już dawno, by znaleźć sobie lokum gdzieś pomiędzy zwrotnikami, ale… Mam też w Polsce ziemię przodków, którą kocham. Mam w tej ziemi groby Ojców (chrzestny to też Ojciec) i Dziadków. W Polsce mam też Mamusię, kochane Cioteczki i Stryjenkę, i Stryja, i całą masę innych osób, rzeczy i spraw, a także biznesy i gospodarstwo rolne, które powodują, że z miłości do Polski i do moich Bliskich nie mogę i nie wolno mi po prostu zapomnieć o Ojczyźnie i oddać się kontemplacji podzwrotnikowych pejzaży.

***

Pewien młody człowiek napisał mi, że jest w rozterce. Kocha swoją dziewczynę, ale kocha też podróżowanie, którego z kolei nie akceptuje jego dziewczyna. Chciałby zwiedzić świat, ale musiałby się wtedy rozstać z dziewczyną. Zadał mi pytanie, jak to wszystko pogodzić i jak powinien postąpić.

Przeczytałem dwa razy, bo nie mogłem uwierzyć – jakaś prowokacja. Ale odpisałem. Że to żaden problem i że jest wiele podobnych przypadków – ot, choćby małżeństwa marynarzy. Żony wiedzą, że ich mężowie jadą na kilka miesięcy w rejs, a potem wracają do domu. Dla nich to normalka, bo świadomie weszły w taki układ.

Podziękował mi i stwierdził, że teraz wszystko zaczęło mu się wydawać proste. Ten chłop jest ewidentnie z pokolenia Z („płatków śniegu") albo z millennialsów, albo cóś. Co jeden to Piotruś Pan. Zero odpowiedzialności, zero zobowiązań wobec innych osób, a gdy pojawią się trudności, to najlepiej uciec, zamiast stawić czoła.

W Grecji przed upadkiem było to samo: hedonizm i lenistwo, żarcie, zabawy, rozpasanie – samospełnienie stało się bogiem. W Rzymie przed upadkiem podobnie; nawet przestali produkować cokolwiek, bo przywozili sobie wszystko z krain podbitych. I znowu żarcie, zabawy, rozpasanie. A teraz są pizza i Netflix. Aha, i jeszcze: chciałbym podróżować, ale dziewczyna tego nie lubi, CO ROBIĆ? Ratunku!

Zjawisko stało się powszechne. Upadek cywilizacji, czyli wygodne czasy, które rodzą wygodnych ludzi. Przyjdą czasy trudne, to się zaczną pojawiać ludzie dzielni, twardzi, mocni, odpowiedzialni, zaradni. A na razie pizza, Netflix i komfort to nasze cele doraźne.

Gdzie jest ojciec tego millennialsa i czemu on mu nie odpowiedział na rozterki? Gdy ja poszedłem do mego Ojca z informacją, że potrzebny mi rower, odpowiedział: „To sobie zarób". Zarobiłem i kupiłem. Gdy po kilku latach poszedłem do mego Stryja z informacją, że potrzebny mi lepszy rower, odpowiedział: „Dam ci robotę; zarobisz, kupisz".

***

Dokąd uciec przed upadającą cywilizacją?

Uciekać nie warto. Ucieka niewolnik, który już nie jest w stanie znieść swego losu. Natomiast człowiek wolny jedzie, wyjeżdża, podąża. Niewolnika będą próbowali gonić. Człowieka wolnego raczej zostawią, bo jest niewygodny dla systemu – więc lepiej niech sobie jedzie precz. ©℗

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOMASZ SPECYAŁ
„KATASTROFY II RZECZPOSPOLITEJ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1368~~ ZŁ

420,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 948ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5ec60e9ca7

Narodowy Bank Polski informuje:

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniża, zgodnie z prognozą NBP.

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.

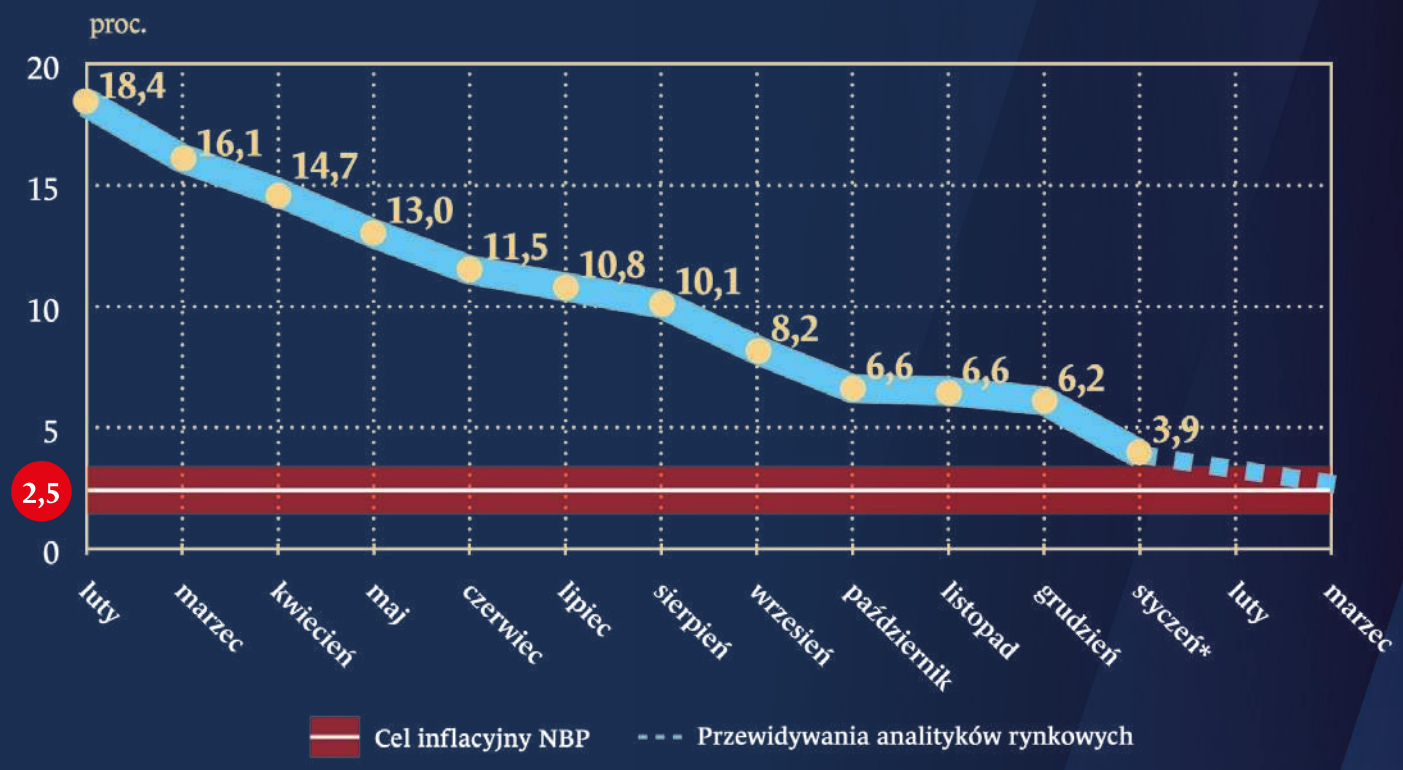

Źródło: dane GUS. | *wstępne dane GUS za styczeń 2024 r.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

W styczniu inflacja wyniosła 3,9% r/r i jest już bardzo blisko celu inflacyjnego NBP, który wynosi 2,5% +/-1 pkt proc.

nbp.pl

eprasa.pl 5ec60e9ca7